ST. TARNOWSKI.

KSIĄDZ
WALERYAN KALINKA.

W KRAKOWIE,
W DRUKARNI »CZASU« FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.
1887.

Skład główny w Księgarni
J. K. ŻUPAŃSKIEGO & K. J. HEUMANNA
w Krakowie.

Osobne odbicie z „Przeglądu Polskiego". — Nakładem Autora.

Jeden z naszych starych poetów, Klonowicz, pisząc wiersz na śmierć Kochanowskiego, kończył swój tren naiwnie słowami: „przyjmij na co mnie stać, albo wstań, pisz sobie.“ Tak samo trzebaby powiedzieć i teraz: „wstań, pisz sobie,“ jeżeli twój życiorys ma być taki jak Jenerała Chłapowskiego przynajmniej, choć słusznie zdałby się większy, kiedy o piękniejszy trudno. Żeby o księdzu Kalince jak należy mówić, trzebaby mieć jego zmysł i rozum polityczny, by oceniać i sądzić; jego zmysł organiczny, żeby nic nie opuścić i nie zapomnieć; żeby o nim jak należy pisać, trzebaby mieć jego talent, jego dar porządkowania i opowiadania faktów i jego sposób pisania. Ale próżno wołać „pisz sobie“ — on nie wstanie, więc pisać musi kto jest i kto może, dopóki pamięć świeża a wiadomość pewna, dopóki szczęśliwa chwila pozwala mówić otwarcie i swobodnie. *Wer weisz was uns die nächste Stunde schwarzverschleiert bringt.* — Przystąpmy więc do tego, co naprędce z własnych wspomnień i uczuć bez pomocy źródeł i dokumentów da się powiedzieć o człowieku, którego historya, polityka, i religia, każda z równem prawem uważa za swego i za znakomitego, a o którym Polska może powiedzieć, że niewielu takich wydała, że niewielu było co jej tak służyli.

Pole to bardzo rozległe, obejmujące polityczne, literackie, i religijne życie Polski w przeciągu czterdziestu lat czasu; każda gałęź tej czynności wystarczyłaby na przedmiot do osobnego studyum: publicystyczna jak historyczna, zakonna jak polityczna. A tymczasem od śmierci X. Kalinki przeszło dopiero kilka miesięcy; zaledwo dość czasu, żeby jego dru-

kowane dzieła przerzucić; a tymczasem wszystkie ślady jego politycznych działań na emigracyi, tak konieczne i niezbędne do poznania i określenia jego życia, są za granicą, nietknięte, nikomu nieznane; a tymczasem cała korespondencya tak długa i tak liczna, korespondencya nietylko z tymi co do jakiejkolwiek sprawy ważnej należeli, ale i z tymi co mieli chęć i myśl robić cokolwiek najmniejszego, najskromniejszego... jakże bez tego o nim mówić? Żeby tylko jedno wybrać i dać poznać, historyka, czy publicystę, czy księdza, trzebaby wiele, wiele więcej czasu i miejsca: a tu ma być mowa o wszystkiem, o całem życiu i całej postaci Kalinki?...

A więc czemu się tak śpieszyć? Czemu nie odłożyć na później, i pracę rozłożywszy sobie porządnie zbadać materyał spokojnie i swobodnie, i potem dopiero przyjść z żywotem prawdziwym już i dobrym? Zrobi się tosamo z siebie: rozłoży się ta praca na przedmioty i okresy czasu; bo nie zaraz przestaną ludzie o Kalince myśleć i pisać, ani odrazu wyczerpią i zamkną tę materyę. Będzie musiał pamiętać o nim i zajmować się nim każdy przyszły historyk Stanisława Augusta, i każdy, kto zechce śledzić dziejów historyografii w Polsce; spotka go każdy i będzie musiał z nim się zapoznać, kto zechce pisać, a choćby tylko znać dzieje polskich zabiegów i działań, czy za granicą do roku 1863, czy później; i ten także, kto zechce zajmować się dziejami prześladowania, obrony, i dźwigania się katolickiego Kościoła w Polsce; i ten przyszły polityk czy historyk, co zechce wiedzieć, jakie koleje przebywał wzajemny stosunek Polski i Rusi, każdy napotka na Kalinkę, każdy będzie musiał zdać z niego sprawę sobie i drugim. Z tego, co oni wszyscy zrobią, wyjaśni się kiedyś całość, summa działań i zasług, z której ktoś dopiero wydobędzie obraz i prawdziwy żywot Kalinki. To zaś, co dziś zrobić można, to przez współczesnego naocznego świadka dla późniejszych zostawiona wskazówka i ułatwienia, a dla dzisiejszych uczynienie zadosyć powinności i potrzebie.

I.

Przyszedł na świat jako obywatel Wolnego Miasta Krakowa[1]). Mądrem zrządzeniem wydaje się ten przypadek, który mu kazał urodzić się w tym kącie Polski. Ojczyzna jest wszędzie — nie *ubi bene*, ale gdzie źle, i wszędzie jej miłość tasama; — przecież są miejsca, gdzie ta siła ziemi ojczystej jest większa, jak żeby warstwa jej humusu była głębsza i bogatsza. Z tegosamego środka rozeszła się kiedyś Polska i doszła daleko w różne strony, aż zapomniała prawie o punkcie z którego wyszła: ale jej korzenie od Łokietka czasów, jeżeli nie dawniej, są tu, od Karpat do Sandomierza: jak jej rdzeniem, jej stosem pacierzowym jest Wisła. Korona drzewa była w Warszawie, a kiedy pioruny waliły w nią aż potrzaskały, ukryty korzeń pozostał niewidzialnie w ziemi, i ciągnął z niej soki jak mógł; a choć także karczowany nieraz i skaleczony, został i żyć nie przestał. Cmentarzem nazywają to miasto z przekąsem, czasem nawet Polacy. Prawda, tylko z dodatkiem tego, co Krasiński mówi o Rzymie „w tych grobach jest życie.“ Niejeden doświadczył że mu przybywało siły, kiedy się tej ziemi dotknął, a na tym cmentarzu wychował się, na myślach które

[1]) W Bolechowicach 20 listopada r. 1826. Ojciec Andrzej, matka Maryanna z Brzeskich.

on w głowie roznieca, wyuczył się niejeden z tych, co w naszych czasach mieli najlepsze myśli polityczne, na nim ci właśnie, co przeszłość znali najlepiej a teraźniejszość najlepiej uczyli. Wszak to tu, i dzięki temu że tu był, wyszedł Szujski na tego „Sługę grobów,“ który o sobie mógł mówić: „we mnie ogień zażegł się miłości do tej wielkiej i świętej przeszłości“ — a Kalinka choć wierszy nie pisał, z pewnością tak jak on, z temsamem uczuciem

„dźwigał te krzyże na barki“

i z tąsamą myślą, w tymsamym celu,

„aby naród był z was kiedyś duży.“

Ale Kalinka starszy, odbierał tu inne jeszcze wrażenia i pod innemi rozwijał się wpływami. Do lat dwudziestu żył w wolnem i niepodległem mieście Krakowie, a choć ono ani wolnem ani niepodległem nie było, z trzema rezydentami w swoich murach i z wojskiem austryackiem na Podgórzu a rosyjskiem na Michałowicach, było ostatnim zabytkiem niepodległości i widomym niejako znakiem jej pamięci i uszanowania, urzędowem przyznaniem jakiegoś do niej prawa, zapisanego jeszcze w sumieniu i świadomości świata, poręczonego międzynarodowym paktem. Biedna mała Rzeczpospolita wywołuje dziś u niektórych uśmiech lekceważenia i politowania; prawda, była bardzo mała, bardzo słaba, a przymawiano jej, że była w sobie zamknięta i w sobie zakochana; że jej senatorowie i różnego rodzaju wielkości chodziły z uroczystą, zbyteczną powagą po swojej małej scenie... Być może, że w ludziach zdarzały się słabości lub śmieszności, ale trzebaby zważyć czego więcej, śmieszności albo szlachetności było w mieście, o którem świat zapomniał, a które zapomnieć nie chciało czem było, owszem, im bardziej w zapomnieniu i poniewierce, tem bardziej czciło w sobie i chciało żeby w niem był czczony potrójny majestat wieku, królew-

skiego pochodzenia, i nieszczęścia; im bardziej jego przeszłość znikała z pamięci ludzkiej, tem bardziej czuło się w obowiązku być jej wiernem i wysuwać ją naprzód. A kto przesady w tem dopatrzy i ze zbytniej powagi żartuje, niech pierwej zliczy, ile w takiem pojęciu siebie samego ma to miasto zasługi, i ile przez nie oddaje ogółowi usługi. Nie ważył go lekko, ani się z niego śmiał instynkt nieprzyjacielski i rozum dyplomatyczny. Ks. Metternich przez lat trzydzieści powtarzał ciągle, że trzy dwory muszą koniecznie raz skończyć z tem Wolnem Miastem, które inaczej nie przestanie nigdy być *la ville sainte du polonisme.* Dziś nienawiść Krakowa, zawziętość na Kraków przeniosła się gdzieindziej, ale odgraża się zawsze, i zęby ostrzy na chwilę kiedyby mogła groźbę wykonać.

W tem więc mieście, pełnem przeszłości i jej ostatnim zabytku, gdzie mogiłę Kościuszki niedawno sypać skończono, dochodziły do duszy młodego chłopca głośne i wyraźne echa dawnych czasów. Odgłosy teraźniejszości były inne, a głównie dwa: panowanie trzech Rezydentów i ich organów nad miastem niby niepodległem, i schodzące się tu jako w miejscu wolniejszem, rozchodzące się ztąd różne pomysły, plany, czasem i rzeczywiste roboty spisków, które w całej Europie rozpowszechnione, u nas znajdowały grunt sposobny i przygotowany. Kalinka miał lat dziesięć w tym roku 1836, kiedy nastąpiło tłumne wydalanie emigrantów z Galicyi i z Krakowa, a odtąd co roku, co miesiąca, musiał słyszeć o nowych a bezprawnych wdzieraniach się Rezydentów w zwierzchnicze prawa rządzącego Senatu; o nowych nadużyciach i bezprawiach, ba, prześladowaniach i srogościach — o szpiegostwach brudnych, o więzieniach nieludzkich: w własnym domu nawet, na własnym ojcu miał przykład i doświadczenie krzyczącego bezprawia. Toczył się proces jakiś, cywilny, w którym interesowany był choć pośrednio Rezydent austryacki Liehmann; wyrok wypadł inaczej niż on chciał czy potrzebował. Niebawem potem przyszła — wbrew woli Senatu i nie z jego inicyatywy — nader niby potrzebna reorganizacya Najwyż-

szego Sądu, nowy jego statut przez Rezydentów ułożony i — złożenie z urzędu (nie licząc niższych) trzech jego sędziów, Krzyżanowskiego, Mąkólskiego i ... Andrzeja Kalinki. Syn miał wtedy lat szesnaście (1842). W takim stanie społeczeństwa wśród którego żył, z takiemi dodatkami krzywd nawet osobistych, a przynajmniej rodzinnych, prosta rzecz, że oprócz gorącego przywiązania do swego miasta i jego tradycyi, uczucia chłopca miały dwa tony składające się w jeden akkord: nienawiść rozbiorowych państw i ich rządów, i żądzę wyłamania, wybicia się z ich mocy.

Ktoby pisał historyę Krakowa z lat ostatnich Wolnego Miasta, ten wymieniając różnych ludzi godnych uwagi, powinienby i to zapisać, że w kamienicy Franciszkańskiej, która dziś taksamo jak przed pół-wiekiem wygląda, i taksamo do żadnej ulicy nie przytyka, tylko przez różne do klasztoru należące dziedzińce i zaułki, zagląda zdaleka na dawny kościół św. Michała i na plantacye, chowało się czterech synów sędziego Kalinki, między którymi był najmłodszy Waleryan. Chłopcy te znaczyły dość wiele między rówiennikami i kolegami. Nie pytano zapewne i nie odgadywano, który z nich odznaczy się najbardziej i w jakim rodzaju: najstarszy może Aleksander, zmarły od lat kilku jako mecenas w Kielcach, ojciec rodziny, otoczony powszechnym szacunkiem, albo Julian drugi, zmarły także doktor medycyny — może młodo i bezżennie zmarły Kazimierz, o rok tylko od Waleryana starszy i jego nieodstępny towarzysz, wydawał się towarzyszom albo i starszym, bardziej obiecującym od Waleryana, ale wszyscy byli wśród młodzieży ówczesnej znaczni i znani, zwracali na siebie uwagę starszych, u rówienników mieli zachowanie i wpływ. Ich mieszkanie często było świadkiem młodzieńczych patryotycznych marzeń, pewnem schronieniem głębokich a tajemnych narad jakby oswobodzić ojczyznę...

Waleryan skończył Liceum i wszedł na uniwersytet w r. 1840. Jego świadectwa są z początku świetniejsze niż później. Na liście uczniów wydziału filozoficznego z r. 1840/41 zapisany jest jako przychodzący z Liceum św. Anny z postę-

pem dobrym. Raport dziekański z Igo półrocza wykazuje examina z eminencyą ze wszystkich przedmiotów, prócz religii, języka greckiego i francuskiego. W półroczu drugiem jest eminencya (prócz historyi) z literatury powszechnej, z religii, z pedagogiki i z języka rosyjskiego. Ale w pierwszem półroczu drugiego roku (1841/42) jest jedna tylko eminencya z historyi powszechnej, a ze wszystkich innych przedmiotów postęp tylko dobry. Po dwóch latach tak zwanej *filozofii*, przeszedł na wydział prawa; ukończył go w r. 1845 i wstąpił do służby rządowej jako bezpłatny aplikant przy trybunale pierwszej instancyi, a tymczasem sposobił się do examinów doktorskich. Ale zarazem, jak w tych latach i w jego latach dwudziestu było prawie nieuniknionem, należał do tych przygotowawczych robót powstania oznaczonego przez kierujący komitet na dzień 20 lutego 1846 r.

Że sprawa sama była niemądrze poczęta i prowadzona, zbytecznie mówić; przekonał o tem wszystkich (prócz sprawców) jej tragiczny koniec. Ale co nie boleśniejsze od nieszczęścia samego, ale przykrzejsze bo upokarzające, to że w tej tragedyi było tyle śmieszności. Gdyby nic więcej jak ten jeden szczegół, że ów nieszczęsny termin mniemanego powstania, które przecież powinno było wybuchnąć znienacka i nieprzyjaciela zaskoczyć, wiadomy był wszem wobec, mówił o nim głośno każdy, a więc i nieprzyjaciel miał czas zastanowić się co zrobi i przygotować! Ale gdyby tylko tyle. Znana jest, i słusznie sławna ta francuska komedya, w której różne tajne rządy następują po sobie w przeciągu godziny, spychają się, oddają się wzajemnie pod sąd, zamykają się w coraz innych pokojach, niebieskich, zielonych, żółtych. Strach pomyśleć, ale ta satyra była rzeczywistością, była prawdą: i była nią w historyi polskiej i w polskiem mieście, na tle polskiej sprawy, w jej imię, z nadużyciem świętych imion wolności i ojczyzny grało się to komiczne intermezzo wśród Herodowych scen rzezi w Betleem i w Ramie, przy odgłosie płaczu Racheli za synami — po których do dziśdnia pocieszyć się nie może. Jakiś człowiek, przez

całe życie wiejski gospodarz, nie wojskowy bynajmniej, tem mniej polityk, zostaje dyktatorem; niezły zresztą człowiek, owszem dobry, któremu się zdawało że robi co powinien i nic innego robić nie chciał, jak służyć ojczyznie! z całego serca służyłby jej jako prosty żołnierz; powiedzieli mu, że ma służyć jako dyktator! Ale ten dyktator był zbyt czerwony, rząd zbyt rewolucyjny, więc znalazł się inny. Profesor uniwersytetu, autor książki o Literaturze Polskiej, (w dziesięciu tomach), z pewną liczbą swoich słuchaczy przyszedł, i zażądał żeby mu się dyktator z miejsca ustąpił. Dyktator usłuchał, abdykował: ale po kilku godzinach wrócił znowu i złożył z dyktatury profesora, a sam ujął władzę... A tymczasem *Dziennik Rządowy Rzeczypospolitej Polskiej* ogłaszał coraz nowe manifesty dyktatora i jego ministrów, ogłaszał nominacyj bez liku, obiecywał we wstępnych artykułach, że „cała Słowiańszczyzna podniesie się, skoro się dowie o wa- „szem posłannictwie, a Europa wspierać je będzie wszel- „kiemi siłami“ (nr. 1); winszował sobie, że „rewolucya przez „jeden dzień zrobiła bardzo wiele, bo stanęła na niewzru- „szonej podstawie, ministerstwa ukonstytuowane czynność „z swą jak najenergiczniej rozwijają; teatr wojny rozciąga się „w dwie strony, ku Kongresówce i w Galicyę; cała prze- „strzeń zmienia się w jedną wielką armię... Dyktator mia- „nował już komisarzy powiatu Bocheńskiego i Wadowickiego“ (nr. 2); dalej donosi *Dziennik*, że rewolucya społeczna z wielkim zapałem ogłoszona była w Wieliczce, i zaprzecza mylnym wieściom rozsiewanym przez niechętnych, jakoby w Galicyi lud wiejski napadał na ex-szlachtę. Coś może wyjątkowo się zdarzyło, ale jak lud dostanie do rąk manifest rządu rewolucyjnego, zapali się zaraz najczystszym patryotyzmem (nr. 4)[1]).

---

[1]) Liczył ten dziennik sześć numerów. Pierwszy nosi datę 26go lutego, ostatni 3go marca. Dwa pierwsze zapełnione manifestami, rozporządzeniami, odezwami; w części nieurzędowej małe artykuły, często podpisane przez Edwarda Dembowskiego. Od trzeciego numeru obejmuje redakcyę

Nie chce się wierzyć czytając, nie chce się wierzyć, że ludzie rozumni i poważni figurowali w tej parodyi powstań i rządów, a jednak tak było: tym dyktatorem, co Tyssowskiego zrzucił, a w parę godzin sam upadł, był Michał Wiszniewski. Antoni Helcel mianowany sekretarzem w ministeryum spraw zagranicznych, Henryk Wodzicki zastępcą ministra skarbu... a nietrzeba myśleć i nie to najsmutniejsza, że raz taka tragikomedya zdarzyć się mogła. To nie jest rzecz, która raz przebyta powtórzyć się nie może. Owszem, ona musi wracać wszędzie, gdzie są tajne rządy bez sił, a mniemane wojny bez wojsk; — u nas powtórzyła się na większą skalę, z gorszemi skutkami w lat 17 później: a w strasznym pogromie Francyi, w tem zawaleniu się Europy, które się stało w roku 1870 i 1871, czy mało było pierwiastków i ludzi podobnych? czy i ten dramat większy od naszych nie był, jak mówi Klaczko (w *Bezimiennym Poecie*) „najbar„dziej rozdzierający przez to, że choć tak tragiczny, był cza„sem podobny do komedyi.“

A w tem pociecha mała, że strona druga, ta silna, co ma wojsko i prawdziwy rząd, postępowała równie niemądrze a brzydziej. Trudno zrozumieć tych Polaków, co ogłaszają dyktatury bez kraju i wojska: ale równie trudno zrozumieć tego jenerała, który z Podgórza wkracza z wojskiem, zajmuje miasto niepodległe, neutralne, i wtedy jeszcze spokojne: trzyma je przez dwie doby pod wojennym a chwilami okrutnym, oburzającym terroryzmem, a potem nagle niewiedzieć

---

jakiś redaktor stały, który się wszakże nie podpisuje, a orzeł odbity na tytule występuje już bez korony. Nominacye jeszcze są i odezwy także, ale już rzadsze. Za to występują modlitwy, wiersze patryotyczne, i — oznaka braku innych wiadomości i materyałów — wiadomości bieżące zagraniczne, z Francyi, z Anglii, z Niemiec, obojętne zupełnie i do sprawy tego powstania nie należące. W dwóch ostatnich numerach, czy taki brak innego materyału, czy może chęć popisania się rozległemi wiadomościami, nowiny z Meksyku i z Bombaju!

dlaczego nagwałt to miasto opuszcza i cofa się na Podgórze. Jeżeli to postępowanie jenerała Collina nie było perfidyą wyrachowaną na to, żeby w Krakowie jakiś rząd rewolucyjny mógł stanąć, a w swoim czasie posłużyć za pretekst do zajęcia i przyłączenia Wolnego Miasta, to było dziwnym aktem łatwowierności, przestrachu, popłochu wywołanego wieściami o nadchodzącej wielkiej niby sile powstańców; w każdym razie należało te wieści sprawdzić pierwej, a potem dopiero wynosić się na Podgórze. Jakikolwiek był powód, to postępek piękny nie był.

Nie tu miejsce na opowiadanie tych dziesięciu dni mniemanej wolności, zakończonych nocnym wyjazdem Dyktatora i Naczelnika siły zbrojnej za pruską granicę, i warunkami poddania miasta postawionemi przez Collina, tak twardemi i tak obostrzonemi groźbą bombardowania i rabunku, że kiedy 2go marca od Michalowic cwałem wpadli na rynek Czerkiesi, miasto widziało w nich swoich zbawców.

Dwudziestoletni Kalinka pierwszy raz patrzał na jakieś wypadki i grał w nich rolę. Jaką? Znamy ją tylko bardzo ogólnie. Należał z braćmi swymi do sprzysiężonych, z upragnieniem czekał 20go lutego; w ich mieszkaniu jakaś mała garstka miała się zgromadzić i ztamtąd na dane hasło (bicie dzwonów) wypaść z krzykiem „do broni,“ i śpieszyć do Strzeleckiego Ogrodu, gdzie miał się koncentrować jakiś niby większy oddział. Stawili się wszyscy, uzbrojeni naturalnie, ale hasła czekali nadarmo; w mieście byli Austryacy i nietylko w dzwony nikt nie bił, ale i zegary wieżowe były zatrzymane. Na kieszonkowych zegarkach zobaczywszy oznaczoną godzinę (czwartą), wypadli na ulicę; warta stojąca pod Biskupim pałacem dała ognia, nikogo nie trafiła; dopadli szczęśliwie na swój punkt zborny do ogrodu. Tu, zamiast jakiegokolwiek oddziału, zastali jakiegoś naczelnika, który ich poważnie pochwalił że zrobili swój obowiązek, i dał rozkaz, żeby jak byli, w kilku, poszli na Kazimierz i spalili most (łyżwowy wtedy), żeby austryakom przeciąć komunikacyę

z Podgórzem. Na to jeden z młodzieńców (Leon Chrzanowski) równie dowcipnie jak słusznie zaproponował panu naczelnikowi, żeby ich sam prowadził. Propozycya naturalnie nie przyjęta: poczem wszyscy, jak kto mógł, rozeszli się do domów. Tak skończyła się czynność wojskowa ks. Kalinki w r. 1846. Nie jego czynność polityczna. Austryacy wyszli, dyktatura stanęła, dziennik rządowy zaczął wychodzić i w swoim numerze pierwszym ogłosił między wieloma innemi nominacyę „Waleryana Kalinki na dyrektora kancelaryi rządowej.“ Był więc w służbie cywilnej, zapewne i dyplomatycznej *in spe*, a nominacya jego, ogłoszona zaraz pod nominacyą Karola Rogawskiego na pierwszego, a Edwarda Dembowskiego na drugiego sekretarza dyktatora, naprowadza na domysł, że musiał być figurą niemałą w tym improwizowanym rządzie. Czy nie on był tym bezimiennym redaktorem *Dziennika Rządowego*? Może już wtedy znano w nim zdolność pisania? może mu to zadanie zwierzono? W każdym razie numer czwarty Dziennika zaczyna się od dwóch artykułów: jeden zaręcza, że Moskale już uciekają, choć jeszcze nie widzą naszych chorągiewek, a król pruski myśli tylko o tem, jak uniknąć rewolucyi w Berlinie; z nami zaś Bóg i pomoc naszych Patronów i duchy Zygmuntów, Sobieskiego, Kościuszki... „Któż nas przy tak dzielnej pomocy pogromić zdoła?“ Litery K. K. zgadzają się z imieniem i nazwiskiem Kazimierza Kalinki. Drugi artykuł podpisany jest literami W. K. Czy może być, żeby człowiek co był takim pisarzem, zdobył się na zdanie naprzykład takie: „ten błogi dzień napawa nas tchem rajskim, ideałem szczę„ścia, o jakim się tylko poetom kiedykolwiek marzyło, zrze„czywistnionem umidłem najlotniejszej fantazyi filantropa?“ Chyba rzecz niepodobna, żeby to Kalinka był pisał! Przecież te litery, jego stanowisko w tym rządzie, nie pozwalają wprost odepchnąć pytania, czy przypadkiem nie mamy tu do czynienia z pierwszą próbą pióra późniejszego redaktora *Wiadomości Polskich*, autora *Czteroletniego Sejmu*? Artykuł sam, pełen gorącej zachęty do boju a wiary w niezwyciężoną

siłę powstania, kończy się twierdzeniem, że „dzień 21 lutego „otworzył epokę, od której zaczynać się będzie nowa era, „era braterstwa ludów a śmierci carów.“

Ku pruskiej granicy, za śladem i przykładem swoich zwierzchników, zmierzał i Kalinka na emigracyę. Aresztowany w Bieruniu, łatwo i prędko wypuszczony, dostał się do Wrocławia, a ztamtąd dalej, do Brukselli.

Dwa lata trwała ta jego pierwsza emigracya, o której tyle tylko wiemy, że znajomość z Lelewelem zostawiła mu wrażenie raczej niemiłe, i że tam zawiązały się przyjazne stosunki z hr. Wincentym Tyszkiewiczem, którego życiorys później napisał przez wdzięczne dla niego wspomnienie, a ten życiorys znowu dał powód do jednego z najpiękniejszych jakie są w naszej literaturze, do życiorysu Jenerała Chłapowskiego, który poczęści na to był pisany, by sprostować i naprawić pomyłkę, jakiej się względem Jenerała w owem pismie o Tyszkiewiczu dopuścił. Najwięcej przestawał z Lucyanem Siemieńskim, przez którego znowu poznał się ze Skrzyneckim i jego rodziną. Właśnie u Skrzyneckiego, w samą Wielkanoc, na święconem, dostali oba z Siemieńskim od poselstwa austryackiego wiadomość, że mają pozwolenie powrotu. Wybrali się też zaraz i razem do Krakowa przyjechali, a trzeci jechał w tymsamym wagonie, zabawny *in diesem Bunde der dritte*, Bakunin!

Z jakiem uczuciem wracał do rodzinnego Krakowa z wiosną roku 1848? Z radością i utęsknieniem do rodziny, do przyjaciół, do miejsc ulubionych, a naturalnie i z tem złudzeniem, które ogarnęło wtedy nietylko młodych. Pierwsze chwile tych wypadków wydawały się i witały jak „jutrzenka swobody“; za nią miało iść „zbawienia słońce.“ Kalinka nie opisał nigdzie co wtedy czuł i myślał, ale ze sposobu, w jaki mówi o tych dniach w późniejszej książce *Galicya i Kraków*, widać, że wypuszczenie więźniów, powrót emigrantów, deputacye z żądaniami kraju do Wiednia, że to wszystko wydawało mu się zadatkiem i początkiem szczę-

ścia. Znać także (kiedy mówi o bombardowaniu naprzykład) całą nienawiść do rządów obcych, a przedewszystkiem do austryackiego. Pierwszy raz wtedy ten krakowiak widział swoje miasto pod austryackim rządem, pierwszy raz widział jego organa, jego wojsko po r. 1846. Wstrząśnienie musiało być silne i bolesne, a równocześnie musiało się zacząć inne; może nie doraźne wstrząśnienie, tylko stopniowe przejrzenie, ale bolesna zawsze przemiana. Wiosnę roku 1848 witali ludzie z rozkosznem, łatwowiernem złudzeniem; w jesieni zostawali odarci ze złudzeń, a bogatsi w doświadczenie. Nie polskie tylko sprawy i smutki, poznańskie utarczki, bombardowanie Krakowa i Lwowa, przyniosły rozczarowanie a sprowadziły (u myślących) wejście w siebie, ale kształt i kierunek, jaki wypadki te przyjęły w całej Europie. Rewolucya francuska była już daleko, z żyjących nikt jej prawie nie pamiętał i na sobie nie doświadczył; z książek i opowiadań wiedziano o terroryzmie i anarchii, ale to zdawało się teoryą i niepowrotną przeszłością, a od upadku Napoleona utrzymywała się w Europie — w Polsce przynajmniej — wiara, że rewolucya to sprawiedliwość i wolność, i na to tylko jest czy będzie, żeby te przywrócić i utwierdzić; wierzyło się w jakąś ostatnią szlachetną i rycerską walkę, a po niej wszystko co złe będzie zwyciężone, i Królestwo Boże na ziemi zrobi się samo. Rok 1848 przypomniał i pokazał, że w praktyce jest inaczej: że ideał wolności i sprawiedliwości o którym się w rewolucyach mówi, doznaje od nich takiegosamego zaprzeczenia, jak od rządów najbardziej despotycznych, z dodatkiem jeszcze zaprzeczenia i rozprzężenia wszystkich społecznych stosunków i związków. Zaczęło się pod koniec tego roku coraz powszechniejsze wytrzeźwienie: rewolucya zostawała celem i siłą dla siebie, z licznym zawsze orszakiem swoich fanatyków i niewolników; ale kto nie był zaślepionym fanatykiem albo zaprzysiężonym niewolnikiem, ten jej wtedy wiarę i służbę wypowiedział, bo się przekonał, że jest takasama, tylko jeszcze trochę zupełniej bezprawna, jak Katarzyna i Fryderyk. Co myślał Kalinka, jak

się ten proces wstrząśnienia w jego duszy odbywał? Śladów niema; niektórzy mówią, że on jest autorem małej historyi polskiej dla ludu pod tytułem *Jaką była dawniej Polska* — napisał *Włościanin z nad Wisły*. Jeżeli prawda, to byłabyto jedyna jego książeczka z r. 1848, ale w tej oczywiście śladów jego przejść i przemian być nie mogło. Że jednak rok ten wywarł na nim wrażenie silne, a zarazem że zobaczony nanowo Kraków wywarł na nim wrażenie przykre, dowodzi bezimienne jego pisemko, wydane w Poznaniu u Wojkowskiego w r. 1850, pisane w ciągu roku 1849, *Listy o Krakowie* przez Pęcławskiego.

Kto znał Kalinkę, choćby nie księdzem, ale tylko starszym i wytrawnym, wyrozumiałym zawsze i spokojnym, łagodnym w słowach, uprzejmym w obejściu, tak, że go czasem o przesadną grzeczność i udaną pokorę posądzano, temu trudno wyobrazić sobie Kalinkę młodym, a do tego porywczym, namiętnym, trudnym do pohamowania. Młodym jednak był, a w głowie paliło się nietylko politycznie, roiły się różne marzenia i pragnienia. W jego *Listach z Wystawy londyńskiej* zostały tego niejakie ślady, naprzykład kiedy opisując jakąś grupę Franceski z Rimini i Paola, mówi: „widno, że miłość natchnęła go czynem, który ich wiedzie „do nieba“ — który czyn wiedzie ich do nieba, romans czy samobójstwo? Ten czczy frazes, z którego późniejszy Kalinka byłby się nietylko śmiał ale gorszył, dowodzi, że był w tych czasach bardzo jeszcze młody i niedowarzony. A że był gwałtowny do namiętności i niesprawiedliwości, dowodzą te *Listy*.

O zastoju, martwości, letargu, zgrzybiałości i tak dalej, biednego Krakowa mówiono tak wiele, że aż się w końcu znudziło i urwało. Prawdy było w tem coś, więcej złośliwości, najwięcej może bezwiednej przyjemności ukazania się w oczach własnych i cudzych lepszym i wyższym od drugiego. Czy zawsze ze słusznem prawem? inne pytanie. To pewna, że o tej ospałości Krakowa nikt nigdy tak dużo, tak gwałtownie, i może nikt tak niesprawiedliwie nie mówił, jak

Kalinka pod imieniem Pęcławskiego. Znać wrażenie, jakie mu rodzinne miasto zrobiło po dwóch latach niewidzenia, kiedy przeszła pierwsza chwila radości, musiało być przykre, gorżkie. Tu miałaby być miłość ojczyzny najgorętsza, pamięć jej najrzewniejsza, służba najgorliwsza; kto tu żyje, miałby być mędrszy i lepszy od innych, miałby dla nich być wzorem, skoro spędza całe życie między Zamkiem a kopcem Kościuszki: a tymczasem zamiast przeszłość rozpamiętywać a przyszłość wypracowywać, ci ludzie grzęzną w najciaśniejszem, najpowszedniejszem, małomiasteczkowem, próżniaczem życiu z dnia na dzień, między śniadaniem w handlu korzennym a partyą wista; i zawsze tosamo, dziś jak jutro, jutro jak wczoraj, i cóż będzie dalej jeżeli tak zostanie! I zaczyna się filippika w dwudziestu listach, niby przez Warszawiaka jakiegoś pisanych. W pierwszych gorące narzekania tylko; na samym początku przyrównanie Krakowa do Grobu św. w Jerozolimie, do którego pobożny pielgrzym śpieszy z bijącem, utęsknionem sercem, a zastaje w nim błoto i śmieci zamiast lamp i kadzielnic, zamiast modlących się ludzi śpiące bydło. W tym rodzaju trzy pierwsze listy, w następnych po kolei różne strony krakowskiego życia. Od zajazdów do kościołów i od polityki do plotek, robi się rejestr krakowskich grzechów, którego summa okazuje, że w całem mieście niema nic dobrego i nic polskiego. Mężczyzni „polityczne darmozjazdy, apostołowie egoizmu, nietoperze, które się gniewają, że za orły nikt ich brać nie chce“; kobiety? kobiet niema; „widziałem brudne gospodynie, mamki, „kucharki, nudne literatki, nudniejsze patryotki i demokratki, „dewotki i bajczarki, ale kobiety nie widziałem.“ Wychowanie chłopców jak dziewcząt głupie i niedbałe, młodzież bez duszy i myśli; — nauczyciele?.., ci dopiero najgorsi. Następuje przegląd wszystkich po kolei wydziałów, a w nich wszystkich profesorów uniwersytetu, których dziełem i grzechem jest nicość tego miasta, bezduszność tego pokolenia.

Autor w zapale nie spostrzega się, jak się sam sobie sprzeciwia; na liście oskarżonych bowiem jest wiele imion, które wymienia nietylko z uszanowaniem, ale z gorącemi pochwałami (Rzesiński, Helcel, Brodowicz, Majer, Czerwiakowski, Zeiszner, Kremer, Kuczyński, Muczkowski (jako profesor, bo jako bibliotekarz owszem niemiłosiernie jest wyśmiany, za szorstkość i popędliwość głównie) — jeżeli ci byli tyle warci ile autor mówi, to już całość nie mogła być tak nic nie warta, jak on opisuje.

Listy są paszkwilem niezaprzeczenie, i paszkwilem bardzo niesprawiedliwym. Ks. Kalinka, który się śmiał jak go było nazywać „szefem kancelaryi dyktatora,“ nie lubił i wstydził się wspomnienia Pęcławskiego. Tego nie biorąc wcale w obronę, trzeba tylko zwrócić w nim uwagę na trzy rzeczy: Jedna jest ta, że oburzenia są niesłuszne i przesadne, ale słuszne i nieprzesadzone są żądania, ideał, z jakim młody autor porównywa rzeczywistość, z któregoto porównania wynika jego gniew. Powtóre, że nawet kiedy w oburzeniu miarę przebiera, to mówi w interesie nauki i młodzieży, i ten interes widzi dobrze; wreszcie, że jego oburzenie często deklamacyjne, bywa przecież chwilami prawdziwie wymowne a w ironii świetne (naprzykład ustęp o powołaniu Pola na katedrę geografii). Wreszcie, że ten młodzieniec nic nie widzi tak dobrze i na nic nie oburza się tak gorąco, jak na marność i nierzetelność polityki kawiarnianej, brukowej i klubowej, i tej demokracyi, której istotą i duszą jest zazdrość. To jest nabytek roku 1848, z jego lekcyi wyniesiona ta nauka. A kiedy jej nabył, nic dziwnego, że autor *Listów* chcąc radzić i działać przeciw biernej ospałości jednych a „ciemnej demokracyi“ drugich, młodzieniec chwilowo pracujący przy Bibliotece Jagiellońskiej jako *amanuensis,* wstąpił do redakcyi *Czasu.*

Kto w ogóle widzieć był zdolny i miał widzieć, temu rok 1848 musiał otworzyć oczy i nauczyć go, że przemoce najgorsze mechanicznie gnębią i tępią narody, ale rewolucye chemicznie rozkładają społeczeństwa; jedno można przetrzy-

mać i zachować siłę i zdolność życia, drugie musi zabić tego kto mu się podda i opierać nie próbuje. Młody człowiek, który się przyłączył do szeregu ludzi rozpoczynających takie właśnie działanie, rozumiał oczywiście, że zadaniem i obowiązkiem głównym względem sprawy polskiej, jest ubezpieczyć, ratować, rozwinąć te warunki społecznego bytu i społecznego ładu, jakie jeszcze są, wytwarzać te których nie było. Jakim sposobem Kalinka wszedł do *Czasu*? kto go tam wprowadził? kto w młodzieńcu tak niedawno jeszcze naiwnie zagorzałym rozpoznał polityczną i pisarską zdolność, czystość sumienia, pewność charakteru, i uznał go godnym wiary i ufności? kiedy właściwie Kalinka wszedł do *Czasu*? wszystko to pytania, na które, parę miesięcy temu odpowiedź była jeszcze najłatwiejsza w świecie; a dziś, kiedy po Mannie i Szukiewiczu, on ostatni ubył, p. Paweł Popiel zaś dokładnie sobie tej chwili nie przypomina, staje się już trudną. Równie trudno w braku tych świadków oznaczyć i wskazać choćby parę tylko ważniejszych artykułów jego pióra. To jedno można twierdzić napewno, że w tem żywem i czynnem zajęciu wszystkiemi kwestyami krajowemi jakiejkolwiek natury — (podatki, służebności, indemnizacya, urządzenia gminne, sądownictwo, szkoly wszelkiego stopnia itd.) — rozbieranemi w *Czasie* z niezmierną pilnością, znajomością rzeczy, rozumem i taktem, musiała być także i Kalinki zasługa, że musiał już tam do redakcyi przynieść dwa nieocenione i charakterystyczne swoje przymioty: pracowitość niesłychaną, i dar dostrzeżenia i wskazania zawsze tego, co było potrzebne do zrobienia lub napisania. W niemożności oznaczenia napewno artykułów jego pióra w pierwszych latach *Czasu*, na domysł ale śmiało pozwalamy sobie jemu przypisać naprzykład szereg artykułów o uniwersytecie krakowskim (z pierwszych miesięcy roku 1851). Styl, układ, charakter praktyczny i realny tych artykułów, systematyczne i statystyczne uzasadnienie wszelkiego twierdzenia lub żądania, to wszystko tak przypomina późniejszy sposób rozumowania i pisania Kalinki, że nie wahamy się uważać go

za autora tej pracy znaczącej, w której żądania są równie słuszne jak stanowcze (powiększenia liczby katedr, powołania więcej i zdolnych profesorów itd.), krytyka opuszczeń i zaniedbań ze strony rządu ostra, a uniwersytetu samego ostrożna i w mierze trzymana.

Pierwsza wystawa powszechna w Londynie, jak była podobno ze wszystkich dotąd najmniejsza ale najpiękniejsza, tak naturalnie jako pierwsza od stworzenia świata budziła najwięcej ciekawości, zajęcia i nadziei. Wydawała się i ona oznaką, zapowiedzią jakiejś ery nowej pokoju, zgody, uszanowania dla praw cudzych, i przymierza Francyi z Anglią, które wyobrażano sobie jako tej zmiany szczęśliwej podstawę i środek. *Czas* sądził, że dla obowiązku i dla honoru winien mieć na wystawie swego sprawozdawcę, i Kalinka pojechał do Londynu. Od końca kwietnia do połowy czerwca napisał ztamtąd listów dwadzieścia pięć; wystawę opisywał jak mógł najdokładniej, starannie a żywo i zajmująco, ale co w tych listach ciekawsze od opisów, to jego usposobienie, jego sposób patrzenia na rzeczy. Zmysł praktyczny nie opuszcza go nigdy: naprzód chce wiedzieć, jak ta wystawa jest uorganizowana i rozłożona; potem, choć na wszystko patrzy, najszerzej zdaje sprawę z tego, co u nas mogłoby się przydać. Gospodarzem nie jest wcale, jednak rozpisuje się najbardziej o nowych pługach i maszynach rolniczych; Phillippsa przyrząd do gaszenia ognia opisuje i poleca tem goręcej, że to tak świeżo po strasznym pożarze Krakowa; ale oprócz wystawy opisuje ochronki i domy poprawy, pralnie i łaźnie dla ubogich; imponuje mu w Anglii bogactwo i ta cywilizacya materyalna, posunięta tak wysoko, że aż działa na stronę moralną; tej zazdrości, tę chciałby przenieść do Polski, a przynajmniej choć cokolwiek, co się da, choć najmniej jeżeli się dać może, naśladować i stosować. Zabawnie jest czytać różne wtrącone mimochodem na cześć płci pięknej komplementa; ciekawe zaś w Liście XVI uwagi, w których szuka różnicy i granicy między sztuką a estetycznym przemysłem i stara się ją określić. Rzadka to rzecz, żeby on o takich mate-

ryach mówił, bo i pociągu i (prawdę mówiąc) zmysłu miał dla nich niewiele. Najciekawsza przecie i najbardziej charakterystyczna jest tendencya, myśl, w jakiej on te Listy pisze. Gdzie na tej wystawie całego świata jest Polska? co na niej polskiego? co z niej Polska wyciągnąć może, jeżeli nie jako korzyść, to przynajmniej jako wskazówkę, pobudkę, naukę? Myśl ta odzywająca się bezustanku, występuje najwyraźniej w początku ostatniego Listu. Jak nieraz politycy polscy chcieli nas wciągnąć w wielkie międzynarodowe sprawy i układy, tak on chciałby przynajmniej widzieć nas należących do spraw ekonomicznych, znaczących w handlu i przemyśle Europy; za tem poszłoby może coś więcej.

„Ztąd i zowąd słyszę, że dziewiąty cud świata, największy jaki dotąd zbudowano i tyle w sobie mieszczący cudów, poczyna zwabiać do siebie ziomków moich z odległych stron. Daj Boże, aby ich jak najwięcej przybyło; mogę im zaręczyć, że coś równie wielkiego nie prędko zobaczą. Na tém polu, gdzie wszystkie narody przyniosły owoc swéj pracy, myśmy niemieli nic do pokazania. Z Poznańskiego niema prawie nic, Królestwo Polskie pomieszane z wystawą rossyjską, niema właściwego charakteru, ani całości w tém co przysłało; z Galicyi niewidziałem nic — nic zupełnie! Przyjdzie kiedyś dziejopis, przejrzy katalog wystawy powszechnéj i powié: Polaków niebyło wtedy na świecie. Bo nas niema tam, gdzie narody zdają examen ze swéj cywilizacyi; zatraciliśmy nić łączącą nas z Europą — my, których ojcowie tworząc granicę chrześciańskiego świata, tak wielkie około cywilizacyi europejskiéj położyli zasługi.

Więc przynajmniej, kiedy pierwsza połowa wieku XIX przeszła pomiędzy nami, jako przechodzi wiatr, który obala a nic nie stawia; kiedy z téj siejby bogatéj, która całą Europę zazieleniła, do nas jedno ziareczko nieprzyszło, — więc przynajmniej śpieszmy tam, gdzie przed nami leży encyklopedya przemysłu ludzkiego; śpieszmy tam zkąd tryska źródło myśli, które wkrótce inną światu fizyonomię nadadzą, zasiądźmy do téj powszechnéj wieczerzy, do któréj choć nie da-

liśmy ani jednéj misy, wolny mamy przystęp. Niema jednego obszaru umiejętności, niéma jednéj sfery życia ludzkiego, na któreby wystawa powszechna nie wywarła ogromnego wpływu; więc z téj kazalnicy postępu, zkąd duch ludzki rozlewa błogosławieństwa, niech i na nas spadnie jedna kropla. Nią podniesieni, porównani z resztą stworzenia, wracajmy i zasiądźmy do warsztatu. Spaliśmy długo; czas się obudzić i pracować, bo historya zna takie sny, z których narody nie budzą się, chyba ocknione trąbą archanioła w ostatnim dniu świata. Tak usnęli Etruskowie, tak usnęła stara Grecya, i nam się na taki sen zabiera".

W czerwcu roku 1851 wrócił Kalinka do Krakowa; we wrześniu (podczas pierwszego pobytu cesarza) był tu jeszcze. Napisał właśnie z okazyi tego przyjazdu artykuł, na który odpowiedzialny redaktor, p. Paweł Popiel, zgodzić się nie chciał, uważając go za zbyt nieprzyjazny. Artykuł p. Popiela znowu wydał się innym redaktorom do zbytku *lojalnym*, aż przyszło do małego nieporozumienia w redakcyi. Ówczesny stan kraju pod policyjnemi rządami dręczył i gniewał Kalinkę niewymownie. P. Popiel świadczy, że powtarzał nieraz: „albo „muszę wyjeżdżać, albo zacznę konspirować nanowo.“ — Więc „wyjeżdżaj,“ odpowiadał p. Popiel, i podejmował się wyrobić pasport, co wtedy nie było łatwem. Jako cel podróży stawiano w tych rozmowach Hiszpanię, rozpoznanie archiwów w Simancas, a przez to rozjaśnienie wielu spraw polskich, zwłaszcza polityki Zygmunta III. Ale zamiast tego nastąpił wyjazd nagły, nie do Hiszpanii i nie za pasportem. Jaki był jego bezpośredni powód? W każdym razie musiał się do niego przyczynić ten stan rozdrażnienia, w którym był Kalinka według świadectwa p. Popiela. Że w tych latach żadnych spisków, ani nawet mowy o spiskach nie było, my doskonale wiemy. Że jednak rząd ówczesny Bacha i Kempena albo je przypuszczał, albo potrzebował udawać, dowodzi najlepiej uwięzienie Adama Potockiego, bo jeżeli kto, to ten z pewnością nie konspirował. Bywały rewizye, spadła jedna niespodzianie i na Kalinkę. Czego u niego szukano, o

jakie związki go posądzano? nie mówił, a może i sam nie wiedział. Dość, że mając przed oczyma przykłady więzień i procesów i bardzo grożnych, z obawy, żeby i na niego coś podobnego nie spadło, wolał nie czekać. Wyjechał za granicę — na drugą, tym razem dłuższą emigracyę. Skończyły się lata pierwszej młodości i nauki, zaczęły się lata wędrówki.

II.

W emigracyi nie działo się w owych latach nic. Towarzystwo demokratyczne po swoich powodzeniach z roku 1846 i 1848, musiało naturalnie stracić choć trochę na kredycie i wpływie; może i samo czuło, że mu jakoś nie przystało wysuwać się naprzód. Mierosławski był zawsze jego wielkim jenerałem, pomimo swoich wielkopolskich i badeńskich kampanij, i zapewne układał jakieś polityczne i strategiczne kombinacye, ale szerszej i śmielszej propagandy nie było. Książę Adam, i ta część emigracyi która się jego trzymała, musieli także zachowywać się bezczynnie, i czekać jak się obróci, co z siebie wyda ten stan niepewności i przesilenia, w jakim była Francya. Właśnie druga republika przez prezydencyę ks. Ludwika Napoleona (niby drugi konsulat), dochodziła do drugiego cesarstwa. Przedmiotem uwagi i zajęcia dla nich była ta nowa warstwa emigracyi, która weszła do Turcyi po wojnie węgierskiej, a o ileby w Turcyi została, mogła stać się ogniskiem polskiego wpływu i środkiem polskich działań, w razie jakiej wojny na wschodzie może zawiązkiem polskiej formacyi. Po wypadkach roku 1848 było naturalnie i w tej połowie emigracyi rozczarowanie i przybicie, a po wojnie węgierskiej, choć nie było w niej nieporozumienia, to był pewien żal do siebie z różnicy zdań wynikający. Jak wiadomo, p. Zamoyski odradzał do ostatka i opierał się wszelkiemi siłami uczestnictwu Polaków w woj-

nie przeciw Austryi: inni mniemali, że wszystkie niepodległości i wszystkie powstania mają jedną naturę i jedną sprawę, i temu zdaniu, a jeszcze więcej uczuciu podówczas powszechnemu w Polsce uległ ks. Adam, kiedy od tej wojny Polaków nie wstrzymywał, owszem, do niej zachęcał.

Ale choć chwilowo nie czynna, a przynajmniej mało czynna, miała emigracya zawsze u Polaków (i u cudzoziemców także) stanowisko, powagę, i rolę zagranicznej reprezentacyi Polski. Ona jak z tą myślą, z tym zamiarem wyszła, tak istotnie aż do roku 1863 była uważana w całej Europie jako żywa protestacya, wniesiona przed trybunał prawa narodów w imię praw Polski. Była Francyi lub Anglii nieraz niedogodna, była solą w oku państwom rozbiorowym, nieraz sama postępowała niezręcznie lub niemądrze i sprawę swoją psuła, ale ten charakter i to znaczenie widzieli w niej wszyscy, nikt ich nie przeczył i nikt się nie dziwił. Młodszemu pokoleniu wyda się to może trudnem do pojęcia i do uwierzenia, a jednak tak było. Czasy to nie zbyt dawne, ale świat był inny. Ówczesny miał w sumieniu swojem jakąś świadomość prawa narodów i jakieś jego poszanowanie: sprawa zwyciężona nie traciła wszelkich praw dlatego, że była zwyciężoną, fakt nie stawał się prawem dlatego że był dokonanym: był gwałtem, którego odwołanie i odrobienie było jeżeli nie interesem wszystkich, to w każdym razie prawem niektórych. Kiedy na porządku dziennym europejskiej polityki stała jaka sprawa, pytano jednak, która w niej strona ma za sobą słuszność i prawo, a wstyd i honor nie pozwalały bezczelnie, cynicznie stawać po złej stronie, choćby do niej ciągnął interes. Rosya była w pokoju ze wszystkiemi, ale w zupełnem porozumieniu z żadnem z państw zachodnich od r. 1815 — a sympatyę z całej Europy znajdowała tylko w Prusach; gdzieindziej miała tylko małą liczbę łatwowiernych lub (różnemi sposobami) ujętych podchlebców.

W takim stanie publicznego sumienia w Europie, niedziw, że emigracya mogła być i mieć się za potrzebną, i nieraz istotnie mieć widoki powodzenia, i — w skutku

tego wszystkiego — mieć powagę, wpływ i znaczenie w kraju.

Kiedy Kalinka nie mógł (lub mniemał że nie może) zostać pod rządem austryackim, prosta rzecz, że udał się do Paryża, stolicy świata i emigracyi. Do której połowy emigracyi miał się przyznać i przyłączyć? Tego pytania ani wahania być nie mogło. Już Pęcławski zbyt wyraźnie wskazywał rewolucyjną demokracyę jako główny powód ostatnich nieszczęść narodu, a okazywał i bez tego powodu głęboki do niej wstręt; redaktor *Czasu* oczywiście musiał się w tych pojęciach i uczuciach silniej jeszcze utwierdzić. Na stronę Towarzystwa demokratycznego i ludzi choćby najdalej i najlżej z niem złączonych, na stronę spiskujących i szukających oparcia w rewolucyi europejskiej jakiegokolwiek kształtu i pozoru, włoskiego, francuskiego, węgierskiego czy rosyjskiego, Kalinka pójść nie mógł. Musiał pójść tam, gdzie widoki wojny o niepodległość były rozumniejsze, bo oparte o widoki wojny wielkich mocarstw z Rosyą, gdzie przyszła Polska, gdyby do niej przyjść miało, była rozumiana jako państwo i jako społeczeństwo, z należycie pojętemi warunkami obojga, potrzebnemi do bytu, gdzie do tego celu zmierzało się nie drogą anarchii, ale regularnej wojny; nie przez konspiracye i tajne rządy, ale przez otwarte międzynarodowe działanie regularnych rządów, reprezentujących cywilizowane i chrześciańskie społeczeństwo.

Najbliżsi towarzysze i przyjaciele późniejsi nie wiedzą dokładnie, co on robił w pierwszych czasach swojego pobytu w Paryżu: z kim zapoznał się naprzód? z kim najwięcej przestawał? Domyślają się, że skoro Ludwik Królikowski uważał swoją księgarnię niejako za biuro informacyjne dla Polaków, i każdy przejezdny a pozbawiony znajomości i stosunków tam się naprzód udawał, więc i Kalinka musiał zrobić taksamo. Ale kogo szukał? do kogo miał pociąg? W każdym razie jego trwałe i znaczące przyjaźni nie zawarły się odrazu. Spotykał się niekiedy z Wrotnowskim albo z Klaczką, z Leonem Kaplińskim albo Ludwikiem Kastorym, ale zna-

jomości te były dalekie, bez wzajemnego pociągu. Owszem, Kalinka nie podobał się zrazu swoim późniejszym towarzyszom. Klaczko (podówczas urzędnik przy Bibliotece Cesarskiej), widział go raz pierwszy na jakiemś zebraniu literackiem u Jana Działyńskiego, i odniósł także wrażenie raczej odstręczające. Świadczy on, że już przez to byli wszyscy względem Kalinki usposobieni nieufnie i podejrzliwie‘ że był współpracownikiem *Czasu*, a *Czas* w ich oczach był haniebnie reakcyjny. Do tego raził ich Kalinka swojem podziwieniem dla Anglii, dla bogactwa, handlu, przemysłu, fabryk, na co wszystko oni patrzali z wielką pogardą, ceniąc w narodach tylko d u c h a, i mniemając, że duch sam sobie da radę bez lichej podłej materyi. Nie mogli Kalinki lekceważyć, bo jego *Listy z Londynu* kazały go uważać za rozumnego, zdolnego człowieka, ale nie czuli do niego najmniejczego pociągu. Napróżno Januszkiewicz ze swoim trafnym sądem i doskonałem sercem starał się pociąg taki obudzić i rozdmuchać; sympatyi, jaką sam już wtedy miał do Kalinki, nie zdołał przelać w drugich. I z tego wynika, że nie bardzo troszcząc się wówczas o to co on robił, dziś nie mogą sobie dokładnie przypomnieć. To pamiętają, że w początkach swego pobytu w Paryżu jeździł do Hollandyi i tam z archiwum w Hadze robił wypisy, na których poczęści opierała się jego późniejsza rozprawa: *Negocyacye ze Szwecyą o pokój 1651—1653.* (Przyczynek do historyi wojen szwedzkich).

Szacunek, zaufanie, przyjaźń wreszcie z towarzyszami lat dalszych, wszystko to rzeczy późniejsze. Na początku, co zwróciło na Kalinkę uwagę ludzi myślących na emigracyi i dało go poznać jako człowieka którego wypadało cenić wysoko, to pierwsza jego większa praca, pierwsza książka, bezimiennie wydana, *Galicya i Kraków pod panowaniem austryackiem.* Paryż 1853 [1]).

---

[1]) Niedawno zdarzyło mi się słyszeć, jakoby ta książka nie była dziełem Kalinki, a przynajmniej nie w zupełności; że przynajmniej niektóre jej części i bardzo ważne, pisane były przez innych. Mianowicie cały rozdział o *stosunku poddańczym*

Jestto najstraszniejsze ze wszystkich oskarżenie rządów austryackich od roku 1772 do 1850, tem straszniejsze, że bez wykrzykników, bez retoryki, napozór nawet bez oburzenia i nienawiści, proste historyczne opowiadanie wszystkich tego rządu urządzeń i rozporządzeń w Galicyi, które wszystkie jedne po drugich albo wprost na jej szkodę są wymierzone, albo przynajmniej wstrzymują to, co jej służyć i pomagać mogło. I to we wszystkiem: w wychowaniu i w kościele, w sprawiedliwości i w zamożności, w stosunkach społecznych — wszędzie. Niektórzy mówią, że Kalinka jest w tej książce stronniczym i niesprawiedliwym, że przesadza, że zaraz w stosunkach poddańczych rządy ówczesne troskliwie brały w opiekę dawnego pana, jego prawo i jego interes. Tylko troskliwiej od niego samego brały do serca jego interes pozorny, a mniej niż on interes kraju i społeczeństwa. Gdyby ten były miały na oku, byłyby jak ten dawny pan kilka razy chciał i prosił, pozwoliły uregulować stosunek pańszczyźniany, ale tego rządy nie pozwoliły. Prawda, że z tem rok 1846 byłby o wiele trudniejszym. Być może, że są niedokładności potrzebujące jakich sprostowań i poprawek, ale darmo: to jest historya wewnętrznego stanu Galicyi, a że przytem jest historyą wielu niegodziwości i niedorzeczności, na nieby się nie zdało przeczyć i ukrywać, jak

---

miałby być pióra Juwenala Boczkowskiego; Kalinka nawet nie mógł (mówią) znać tak doskonale wszystkich patentów i instrukcyi, ani całej manipulacyi administracyjnej i sądowej. To mógł napisać tylko człowiek, który te rzeczy znał z praktyki, urzędnik i bardzo biegły prawnik. Twierdzenia tego z ust poważnych i wiarogodnych nie mogę lekceważyć, wszelako muszę przeciw niemu stanowczo wystąpić, a to przez wzgląd, że 1) przez lat przeszło trzydzieści książka przypisywana była Kalince; że 2) on sam nigdy przeciw temu nie protestował, nie było zaś w jego charakterze, ani w jego zwyczajach zostawiać ludzi w błędzie, zwłaszcza na swoją korzyść a z ujmą dla drugich 3. Że wszyscy którzy go podówczas w Paryżu znali, świadczą iż go na własne oczy piszącym widzieli.

niema także co przeczyć ani ukrywać, że autor nienawidzi tego rządu (choć tego nigdzie nie mówi), uważa go za najprzewrotniejszy może, a zarazem najbojaźliwszy i najmniej zdolny rządzić ze wszystkich trzech rozbiorowych, a przez to wszystko odbija wiernie to usposobienie powszechne, które pamiętamy wszyscy, a które wyrażało się często słowami „już chyba Moskale lepsi.“ Nietylko nie należy ukrywać, ale owszem, dobrze jest wyraźnie takie rzeczy przypominać, bo przypomnienie to prowadzi do porównania tego co było, z tem, co jest. Nie przeszło lat trzydzieści, a autor tej książki, która jest najstraszniejszem oskarżeniem Austryi, nietylko osiadał w tejsamej Galicyi ze swoim zakonem, ale z pozwoleniem i pod opieką Cesarza Austryackiego otwierał w niej zakład wychowawczy, u Cesarza znajdował pomoc i wsparcie dla zakładu, zaufanie dla siebie. Mało kto zapewne, prócz Polaków, wiedział o ks. Kalince i znał się na jego wartości; ale po jego śmierci Cesarz Austryacki kiedy którego z Polaków widział, powtarzał prawie każdemu, że śmierć tę uważa za wielką stratę i że nad nią bardzo ubolewa.

Jako pisarz, dał Kalinka w tej książce nie poznać jeszcze, ale już odgadywać zalety przyszłego autora *Czteroletniego Sejmu*. Ten porządek, ta jasność układu i wykładu, ten zmysł praktyczny, który zawsze dojrzy, uchwyci i wskaże to, co w każdej sprawie istotne i główne; ten dar objęcia i przedstawienia całości a nie pominięcia żadnej części; wreszcie ta gruntowność i dokładność, która nic nie powié bez podstawy i sprawdzenia; ta rzetelna i doskonała znajomość przedmiotu — słowem te przymioty, które cechują wielkiego historyka lat późniejszych, widoczne są, choć nie tak świetne jeszcze w tej pracy, która jest napół historyczną a napół publicystyczną.

W pięciu rozdziałach przechodzi Kalinka po kolei ludność Galicyi, stosunki poddańcze, siły produkcyjne, Kościół, i sądownictwo: wszystko historycznie i statystycznie razem, na jakich prawach stało za Rzpltej, jakim szeregiem praw austryackich zostało przemienione, jak w tej przemianie wy-

gląda: Kraków. stanowi osobny rozdział, szósty. Znajomość i zrozumienie najróżnorodniejszych gałęzi życia społecznego jest tak rozległa i rzetelna, przedstawienie ich tak proste i jasne, że człowiek, któryby tak stan kraju opisał, byłby w kraju niepodległym wzięty do ministeryum jako niezwykła polityczna zdolność i siła. Zmysł organiczny, ten przymiot najcelniejszy umysłu Kalinki, okazał się tu już zupełnie wyraźnie; talent pisarski okazał się takim, jakim został aż do dzieł historycznych, to jest bardzo prawdziwym i dobrym, ale jeszcze nie tak świetnym, jak później. Sposób i zalety pisania są tesame, tylko ich stopień jeszcze nie tak wysoki. Ze szczególną uwagą czyta się rozdział o Kościele, a zwłaszcza może ustęp o Kościele unickim, z pytaniem, czy Kalinka już o tych rzeczach tak myśli, jak później? Co do Unii, jest już zupełnie na drodze do swoich późniejszych przekonań, są one w zarodzie, ale są takiesame. Dążność książki już tasama, co wszystkich pism późniejszych, daje się określić trzema krótkiemi wyjątkami z przedmowy:

„Na duch narodowy wymierzone są gromy; w duchu „narodowym, w jego pełnem, poważnem, statecznem działa- „łaniu jedyny dla nas ratunek. Miłość Boga i Ojczyzny, to „ostatnia twierdza, ostatnia przeciw wrogom ochrona.“

„Droga, po której nas dotąd wiedziono, droga rewolu- „cyjna, od szałów i niecierpliwości prowadzi do znużenia i „niemocy.“

„Tylko temu, kto stoi na gruncie narodowym, daje „Bóg wytrwałość. Bądźmy wytrwali w tej ogromnej pracy, „abyśmy odbudowanie Ojczyzny od odbudowania nas samych „poczęli.“

Byłaby rzecz ciekawa i dobra, gdyby teraz, trzymając się tegosamego planu, zrobił kto drugi taki obrachunek stanu Galicyi. Wykazałby on zapewne, że się wiele zmieniło, że niejedno logiczne następstwo ówczesnego stanu, wtedy niewidoczne i nieznane, urosło i stało się wielkiem złem dzisiejszem; wykazałby zwłaszcza zupełnie rozwinięte te niebezpieczeństwa stanu ekonomicznego, które wtedy były dopiero

w zarodzie. Wykazałby w zmienionych formach podobne wady w administracyi, w jej mechanizmie. Ale czy w każdym rozdziale z osobna nie pokazałoby się także jakieś dobre, którego wtedy nie było, i czy summa tego dobrego nie mogłaby dodać pewnej otuchy? Kończy się tę książkę, którą autor słusznie ma prawo nazywać „wiernym obrazem,“ z tą uwagą i z tem wrażeniem, że dziś z różnych stron jesteśmy może gorzej zagrożeni jak wtedy, ale że wewnątrz nas samych jest więcej trafnego rozumienia rzeczy, więcej woli i stałości, że te przymioty są dziś częstsze niż były, i że zapewne wiele Pan Bóg jedną ręką odjął, ale drugą dał wiele warunków, których ówczesna przeszłość nie miała, a które przyszłości mogą się obrócić na pożytek.

Książkę tę, wyraz swoich oburzeń na rząd austryacki, a owoc swojej doskonałej już znajomości stanu kraju, przywiózł z sobą zapewne już zaczętą, ale świadkowie naoczni mówią, że pisał ją głównie w Paryżu. Skończył na wiosnę roku 1852, skoro przedmowę do niej podpisał 2 czerwca r. 1852. Czy miał zamiar dopełnić ją — co ta przedmowa zdaje się obiecywać — osobnem studyum o galicyjskiej administracyi, policyi i skarbowości? W każdym razie miała ona to jeszcze w jego życiu znaczenie, że posłużyła do zawarcia jednego z najbardziej znaczących i wpływowych w tem życiu stosunków.

Władysław Zamoyski po przeczytaniu książki o Galicyi nabrał dobrego wyobrażenia o zdolności jej autora; słyszeliśmy także, że wiedząc o wcale trudnych stosunkach pieniężnych Kalinki, przyszedł mu w pomoc pożyczką, udzieloną tak szlachetnie i nieznacznie, jak on to robić umiał. Wreszcie, że myślał o tem, jakby go używać i do siebie przywiązać, ale znając go mało, szukał o nim dokładnych wiadomości. W tej niepewności udał się do wspólnych znajomych, na których sam polegał, a którzy tamtego znali. W Paryżu był takim poręczycielem Kalinki Eustachy Januszkiewicz, w kraju Paweł Popiel. „Zasady jeszcze nieustalone, ale prawość i honor pewne jak skała,“ odpisał on na

zapytanie, a to świadectwo może wiele zaważyło na szali dalszych losów Kalinki. Myślą Jenerała, przez Kalinkę chętnie i skwapliwie przyjętą, było, żeby każdą część Polski tak opracował i opisał, jak *Galicyę i Kraków*. Układ był zawarty, i do tej pracy zapewne przygotowywał się Kalinka przez rok 1853; odwróciła go w inną stronę wojna wschodnia.

W każdym razie zawiązała się znajomość z człowiekiem, który więcej niż każdy inny na Kalinkę wpłynął. Żadnego też Kalinka nie kochał i nie podziwiał, dla żadnego nie miał tak żywej, tak wielkiej wdzięczności. Tę wdzięczność okazać i zostawić jej ślad trwały w wiernym wizerunku człowieka którego miał za swego mistrza, było do ostatka najulubieńszem Kalinki marzeniem. „Jeżeli mi Bóg da skoń-„czyć *Sejm Czteroletni*“ — powtarzał zawsze — „to muszę „potem choćby ostatek sił wydobyć, ale koniecznie napisać „Żywot Jenerała.“ A jeżeli zapewne szkodą jest nieodżałowaną i większą, że „Bóg nie dał mu dokończyć *Sejmu*,“ to ogromną także i także nieodżałowaną jest, że tego marzenia nie ziścił. Przez niego bowiem napisany żywot Zamoyskiego, byłby naprzód historyą emigracyi przez całe jej lat trzydzieści, historyą napisaną tak, jak jej już nikt nie napisze, bo choć równy talent znaleść się może, to ten talent przyszły, choćby najdoskonalszy, nie będzie naocznym świadkiem we wszystko wtajemniczonym, *pars magna* tych spraw. Prócz tego byłby ten żywot z pewnością w swoim rodzaju arcydziełem, klejnotem naszej biograficznej literatury, a wreszcie byłby dokładną historyą i żywym wizerunkiem człowieka mało znanego, pojmowanego fałszywo, a człowieka, którego pod względem politycznym nikt może nie znał lepiej jak Kalinka.

Dla emigracyjnej demokracyi przedmiot nienawiści, jakiemu równego nie było — dla ludzi nawet bardzo rozumnych i szlachetnych z drugiego obozu, przedmiot niedowierzań i posądzań jako wieczny niby, a w środkach niezawsze przebierający konspirator; cel najliczniejszych i najnik-

czemniejszych potwarzy od jednych, trwożliwych podejrzeń i zastrzeżeń od drugich; ten wreszcie, na którego właśni i najbliżsi stronnicy walili wszystkie pomyłki stronnictwa i odpowiedzialność za jego niepowodzenia, pan Zamoyski, skoro Kalinka poznać go nie da, nie będzie zapewne już nigdy prawdziwie poznanym. Źle o nim mówi nawet Mickiewicz, cichaczem źle o nim myślało (może jeszcze myśli) wielu; broni go jeden Zygmunt Krasiński.

„W sam dzień i chwilę pogrzebu Mickiewicza, na schodach Magdaleny, gdy za trumną wstępował ten, co najznakomitszy wytrwałością, odwagą, wiarą i duszy wzniosłością „z wszystkich wygnanych naszych, rzucił się nań z tyłu Jażwiński kapitan i dopuścił się świętokradztwa narodowego „na tym obchodzie narodowym, śmiał bezbożną i bezecną ręką „uzbrojoną w pałkę, dwa razy z wszystkiej siły uderzyć go „w plecy. Odwrócił się spokojny, jak zawsze, i tylekroć wśród „bojów najkrwawszych spokojny ów, o którym mówię. Złoczyńca schronił się do hufca towarzyszy czy wspólników, którzy go okrążyli i dali mu się wymknąć. Jeden Budzyński był „go za kołnierz porwał i zatrzymał, gdy chciał w pierwszej „chwili jeszcze trzeciem uderzeniem zbezcześcić nie tego, na „którego się zamachiwał, ale ten dzień, tę trumnę, to miejsce i własny naród. Nikt zresztą nie porwał się do obrony „napadniętego, wypuścili Barabasza! Tak zawsze się dzieje. „Ten człowiek był niegdyś strażnikiem celnym pod Krzemieńcem; w powstaniu dorwał się kapitaństwa, później żebrał po wszystkich domach paryskich, należąc do owej szui, „co po ulicach napada. Później z własnej woli zaciągnął się „do pułku Sułtańskich kozaków, który dziś pod dowództwem „tego, którego uderzył; i zaciągnąwszy się, w ośm dni zbiegł, „pułk porzucił, udał się do Stambulu i tam szynk założył. „Później tu wrócił i napastował wszędzie najszlachetniejszego „z ludzi, dowódzcę swego, który mu zawsze odpowiadał „groźnie, że ze zbiegiem nie ma nic do mówienia. Takie „dzieje tego niegodziwca. Ale cóż powiesz, ma obronicieli, „ma stronników, i wielu się cieszy, że się taka obrzydliwość

„stała! Ah nieszczęśliwym my narodem? W Barabaszach ko-
„chać się zaczynamy. Już nas robaki ostatecznie toczyć za-
„czynają. Od rzezi 1846 roku takiej boleści nie doznałem.
„W takiej chwili, przy tej trumnie, na schodach przybytku
„Pańskiego, ten, co nigdy nie zwątpił, ten, który jeden coś
„był wywiódł na przyszłość ze swoich zabiegów i starań
„męczeńskich, ten, co wznowił był dopiero co tradycyę le-
„gionów i chwycił sztandar ich z ziemi i wzniósł go nazad
„ku niebu, ten o postaci tak rycerskiej i chrześciańskiej, o
„tak niespożytym żadnemi boleściami ani przeszkodami du-
„chu, ten wśród tłumu ziomków, z których *żaden, żaden* na
„pomoc mu nie przybiegł, ten wart czci i podziwu za cnotę
„żelazną, ten najdzielniejszy, ręką podłą uderzon,.. to strach!
„strach nie dla niego, ale dla Polski i Polaków! I wiesz,
„co wyrzekł zaraz w pierwszej chwili! oto te słowa prze-
„dziwnie piękne: „Sądziłem, że początek męczeństwa więcej
„boli.“ Tylko uważano, że podczas mszy, co nastąpiła zaraz
„potem, czasem konwulsyjnie ściskał poręcz krzesła, na któ-
„rem klęczał. Nie, w tem wszystkiem o niego mi nie idzie. Co
„może dziki żwierz, podły żwierz przeciw ludzkiej naturze i
„to jeszcze najwznioślejszej? Ale mnie chodzi o te znaki
„zgnilizny, rozsiane po społeczeństwie naszem, ten duch
„stronniczy, duch zawiści, duch kłamstwa wiekuistego, który
„nas opanował i sprawia, że oburzenia dość niema wśród
„naszych z powodu takiego wydarzenia. Zkąd idzie, że to
„wydarzenie zaczyna takim sposobem nas wszystkich kalać,
„a przynajmniej wykazywać, żeśmy bez ducha, *bez przeświad-
„czenia, co złe a co dobre, co święte a co bezecne, żeśmy bez
„żadnej opinii publicznej*, a to są znaki śmierci! I to wszystko
„staje się w chwili, kiedy tak łatwo będzie pewnym potęgom
„świata powiedzieć o nas: Patrzcie, czy warci odżycia!“

„Zrazu jenerał był spokoju pełen. Ale następnych dni
„duch jego wpadł w ciemną boleść, gdy ujrzał, że ta sprawa
„przybiera barwę stronniczej walki, że dwa obozy się kształcą,
„jeden za nim, drugi za Jaźwińskim; że więc listy bezimienne,
„pełne gróźb i obelg, stronnicy tego ostatniego doń piszą...

„Jaźwiński także po scenie na schodach Magdaleny znów „list wyzywający napisał... Okropny to wypadek. Lecz prze- „konany jestem, że Jaźwiński był podbechtany i namó- „wiony. Ręka, co tem kierowała, pozostała w ukryciu, a tylko „nią poruszone lalki ukazały się na jaw. Pierwiastku władzy „nienawidzą, a że jenerał zawsze ją wyobrażał, zatem znie- „nawidzony jest mimo najświętszych zasług. Wszystko to „grobowo smutne.“ (Baden 7 lutego 1856. List CCXIII. *Przegląd Polski.* Styczeń 1877).

Kalinka widział i sądził Zamoyskiego jak Krasiński, i przylgnął do niego całą duszą. Ciągnął go Zamoyski do siebie naprzód tą siłą rozumu, tym jego stopniem, który geniuszem nie jest, ale się do geniuszu przybliża. Ktoś, co nie widział nigdy żadnego z tych ludzi których nazywamy wielkimi, a chciał ciekawie wyobrazić sobie, jak może mówić, myśleć, jakie na drugiego robić wrażenie jeden z tych co przekraczają zwykłą miarę ludzką a dochodzą miary bohaterów i geniuszów, Zamoyski mógł być odpowiedzią, zaspokojeniem ciekawości, on dawał przybliżone wyobrażenie. Tak rozumnie, z taką znajomością człowieka, z takiem doświadczeniem spraw tego świata, mógłby mówić najtęższy mąż stanu, choćby Richelieu albo Cromwell, tylko gdyby Richelieu i Cromwell miał przytem rycerski honor i katolicką żarliwość Godfreda, i chrześciańskie sumienie, które zawsze naprzód pyta i zawsze doskonale wié, co uczciwe a co nie. Z tym urokiem wyższości — a uroku większego niema na świecie — łączył Zamoyski urok obejścia łatwego i miłego, ujmującego i podbijającego; nauczał nieustannie i otwarcie, widocznie, ale sposobem tak przyjaznym i tak przyjemnym, czasem nawet tak wesołym i zabawnym, że choć było się przy nim zawsze na kazaniu, to kazanie skutek tylko sprawiało, czuć się nie dawało i nie przykrzyło się nigdy. A dopieroż to, co Krasiński nazywa żelazną cnotą, ta służba bez wytchnienia, bez jednej chwili straconej, bez jednej myśli o czem innem jak Polska; ta summa trudów i poświęceń, ta praca w strasznych i prawie nieustających cierpieniach, to oddanie się swojej

sprawie tak zupełne, że można o niem powiedzieć iż ze wszystkiem co było jego, „palił się wciąż ofiarą na ołtarzu swej ojczyzny,“ to go uzupełniało dopiero ostatnim najwyższym rysem, i sprawiało, że z ludzi, na których nasze pokolenie patrzało, żaden nie robił takiego wrażenia wielkości. Czy się nigdy nie mylił? Z pewnością musiał się mylić nieraz; jak kiedy, w jakiej mierze, z jakiego powodu, to byłby nam pokazał jego żywot, gdyby go Kalinka był napisał. Ale że na jego nagrobku możnaby napisać te słowa, które żartem mówili o nim Anglicy, słowa *spectre of Poland*, że jeżeli emigracya była widmem Polski, które zjawiało się ciągle, niepokoiło sumienia i wstydem chyliło czoła szczęśliwych i zapominających; jeżeli mogła być — a była istotnie — protestacyą i utrzymaniem międzynarodowego charakteru sprawy polskiej, to w wielkiej części za Zamoyskiego sprawą i zasługą: — to święta prawda, której zaślepiona i uprzedzona teraźniejszość nie chce czy nie umié widzieć i uznać, ale którą przyszłość kiedyś odkryje i ogłosi — choć nawet Kalince nie starczyło czasu do napisania żywota.

Na Kalinkę wpłynął Zamoyski w dwóch (oczywiście najgłówniejszych) kierunkach. Naprzód wykształcił go politycznie. Z Krakowa wychodząc i polskie tylko stosunki znając, a do tego bardzo jeszcze młody, Kalinka może ogólnie i teoretycznie wiedział, że są jakieś na świecie zagraniczne stosunki i interesa, ale jaka ich natura, jaki sposób ich prowadzenia, jakie ich wrodzone prawa których obrazić nie może kto nie chce działać bez skutku, tego oczywiście znać nie mógł; miał pod tym względem wyobrażenia mniej naiwne niż większość naszych wiejskich polityków, ale wyobrażenia bardzo niejasne i niedostateczne. Od niedawna dopiero — a głównie z pism Kalinki — zaczęliśmy miarkować, że polityka zagraniczna jest i sztuką i umiejętnością, i że my tej umiejętności (a nawet praktycznej tradycyi) nigdyśmy dosyć nie mieli. Naród, i nawet najwytrawniejsi w nim ludzie, sądzili, że nic łatwiejszego; wystarcza instynkt narodowy, który umié zawsze przeczuć, kto przyjaciel a kto

wróg, i zdrowy rozsądek, który każe przyjacielowi wierzyć i pomagać, wrogowi nie ufać i nie dać się używać. Że to sprawa i sztuka trudniejsza, nauczyło nas doświadczenie emigracyjne — rozumié się tej części emigracyi, która miała polityczny zmysł i polityczny talent. Ona pierwsza z Polaków od bardzo dawna musiała praktycznie, realnie, zetknąć się ze sprawami państw obcych i z dyplomatycznem działaniem. Nie mogła już być tak naiwną jak niegdyś agenci konfederacyi Barskiej, ani tak nawet (choć ci już mniej), jak dyplomaci Czteroletniego Sejmu, a nie mogła (jak ludzie Księstwa Warszawskiego) patrzeć na skinienie kogoś mocniejszego i jego się trzymać. Musieli sami myśleć, poczynać, upatrywać, starać się, okoliczności wywoływać, przeszkody zwyciężać, i tą praktyką nauczyli się, co to jest polityka zagraniczna. Znajomość jej wyniósł ze swego petersburskiego ministeryum i na tym gruncie polskim zaszczepił książę Adam; ale Zamoyski, z zawodu, wychowania i upodobania wojskowy, ale z natury głównie dyplomata, sam wyuczył się prędko i w drugich rozumienie tych spraw rozwijał. Kalinka przy nim kształcił ten zmysł dyplomatyczny, który praktyka i doświadczenie rozwinęły tak, że stał się prawie przymiotem najświetniejszym jego politycznego rozumu, i sprawił że jego dzieła historyczne tak się odznaczają rozumieniem i znajomością tych spraw, że są (nie waham się powtórzyć) najlepszą jaką mamy w literaturze polskiej nauką polityki zagranicznej.

A drugi wpływ, jaki Zamoyski na Kalinkę wywarł, był religijny. Przez pobożnych rodziców chowany, Kalinka miał grunt religijnego uczucia, znać go w najmłodszych jego latach i najmniej wytrawnych pismach. Ówcześni znajomi świadczą, że w samych początkach swojej emigracyi był już bardzo pobożny. Ludzi stanowczo niereligijnych było bardzo mało między Polakami w Paryżu, a ci co byli, wydawać się z tem nie śmieli; sam Mierosławski przecież pisywał czasem pobożne frazesy na cześć Matki Boskiej. Kalinka wszakże, już stalszy w przekonaniach swoich od innych, w rozmowach

często schodzący na kwestye kościelne, wydał się niektórym zanadto pobożnym, a gdy jeszcze widziano go chodzącego do kościoła z książką, zgorszono się i uznano go *Jezuitą*. Do kościoła chodzić, to nie szkodziło, a może nawet było dobrem, ale chodzić z książką! to była oczywista hipokryzya. Im dłużej bawił we Francyi, im bliżej widział tamtejsze życie katolickie, tem bardziej wzmacniały się jego przekonania i wzmagała się miłość wiary i Kościoła. Wpływ Montalemberta i otaczających go ludzi, wpływ X. Lescoeur, wpływ Horacego Delaroche, przez którego zapoznał się z francuskiemi dziełami miłosierdzia, posuwały go coraz dalej w tym kierunku, ale w tymsamym także działał i posuwał go wpływ Zamoyskiego.

Ten był — i dziwnie, bo już w młodości, już w pierwszych chwilach emigracyi — tak wierzącym i w katolickich przekonaniach stałym, jak mało kto w emigracyi, jak nikt może, z wyjątkiem tego grona ludzi (Mickiewicz, Jański, B. Zaleski, Koźmianowie, Cezary Plater, Witwicki), zpośród których wyszedł pomysł zakonu, a następnie i zakon Zmartwychwstańców. On pierwszy z emigrantów wybrał się do Rzymu, do Papieża. Czuł potrzebę złożenia obedyencyi, ale zarazem i wypowiedzenia co myślał. I kiedy cała emigracya bolała nad bullą Grzegorza XVI z roku 1832, a poczęści odstawała od Kościoła, on jeden pojechał, mówił, żalił się... i otworzył oczy. Trafne rozumienie Rosyi, jakie Grzegorz XVI miał później, zaczęło się od pierwszej audyencyi Zamoyskiego; on rzucił jakieś pierwsze światło, które im dalej, tem lepiej się rozjaśniało. Sam zaś coraz gorętszy w uczuciach, a coraz stalszy w przekonaniach katolickich, szukał ich w drugich i rozniecał je z całą siłą swego rozumu, z całym zapałem swojej duszy. Nietylko Kalinkę polityka, ale i Kalinkę katolika i księdza on w wielkiej części wychował i przygotował.

Miały się więc z inicyatywy Zamoyskiego na wzór *Galicyi* pisać książki o innych częściach Polski; układ między nim a Kalinką był zawarty, kiedy zaszły wypadki, które

Zamoyskiego jak Kalinkę innemi natchnęły myślami, do innych powołały robót.

Jeżeli rok 1848 nie zostawił na Polakach — z wyjątkiem rewolucyonistów — głębszych śladów i wrażeń, ani trwalszych u nich wspomnień, to inaczej miała się rzecz z pośredniem następstwem tych wypadków, z ogłoszeniem Cesarstwa we Francyi. Od r. 1831, odkąd była we Francyi emigracya, żaden fakt w historyi Europy nie był dla niej tak ważny, żaden nie usprawiedliwiał tak jej ciągłych nadziei, że karta Europy musi się zmienić.

Nowy Cesarz, Bonaparte traktatem wiedeńskim nazawsze odsądzony od francuskiego tronu, musiał, jeżeli się chciał utrzymać, zaprzeczyć i unieważnić tę podstawę prawa międzynarodowego, musiał być nieprzyjacielem świętego przymierza. Musiał — jeżeli umiał myśleć i z doświadczeń a nawet smutnych na wygnaniu refleksyj stryja korzystać — musiał wiedzieć, że on na tronie Francyi i Francya w swoich granicach o tyle może być bezpieczną i pewną, o ile na wschodzie Europy byłoby coś, coby się weisnęło między złączone zawsze ręce Fryderyka i Katarzyny, jakiś klin wbity między Prusy i Rosyą, i nie dopuszczający im złączyć się na trzeciego, zrobić koalicyę. Musiał wiedzieć i to, że Francya go przyjmie i uzna za swego, jeżeli ją otoczy blaskiem potęgi i chwały, zatem że będzie musiał się bić; i to wreszcie musiał wiedzieć, że Francyę wtedy tylko do wojny zapali — Francyę, jaką wtedy była — jeżeli jej miecza z pochwy dobędzie w imię i w obronie czegoś wielkiego i słusznego. Oto ówczesne rozumowanie polskie: i dlatego, jeżeli wstrząśnienie Polski w roku 1848 było sztuczne i słabe, to kiedy usłyszała, że we Francyi jest cesarz, wstrząsła się naprawdę do szpiku kości, do głębi duszy. Zapomniała o krzywdach i błędach pierwszego cesarza, pamiętała tylko, że się bił z jej nieprzyjaciołmi i że był zwyciężony. Za to synowiec poszuka odwetu, a przecież historyę stryja zna, i wié dlaczego tamten upadł!

Czy się Polska znowu łudziła? Myślała logicznie, to stwierdziły fakta. Nie myliła się nawet co do człowieka, od-

gadywała go nieźle, czuła w nim przyjaciela. Jakikolwiek był koniec Napoleona III, Francya tylko ma prawo na niego się żalić lub mu złorzeczyć. Polska byłaby niewdzięczną, tem niewdzięczniejszą, że do jego niepowodzeń i później ciężkich błędów, do tego nieprzytomnego szukania jakiejś drogi, na którem zeszły jego ostatnie lata, pośrednio do jego i Francyi nieszczęścia a Prus panowania w Europie, przyczyniła się sama tym wybuchem powstania, którym siebie śmiertelnie raniła a jego wyrzuciła z równowagi.

Flegmatyk i wyrachowany z temperamentu, ale z charakteru uczuciowy a poniekąd ideolog, Napoleon III kiedy na ten tron francuski wstępował, miał głowę pełną marzeń nie jasnych ale szlachetnych, które brał za dojrzałe plany. Była w nich demokracya doprowadzana do doskonałości (w głosowaniu powszechnem), i było prawo narodów na prawdzie, na prawie bożem oparte, ujęte w formułę nieokreśloną i nadużytą „narodowości.“ Świadectwa ogłoszone już po jego śmierci, dowodzą i szlachetności jego uczuć, i pewnej naiwności jego pojęć. Przy pierwszym zjeździe z ks. Albertem, mężem królowej angielskiej, Cesarz odrazu z tem się wynurza, że jego głównem zadaniem jest niepodległość Włoch i Polski. Na tem zasadza swoją politykę i przyszłość Europy. Mówiąc tak, Cesarz naprzód nie uważa lub nie domyśla się, że tajemnicę swoją wydaje przed nieprzyjacielem swojej myśli; a prócz tego nie rozumié różnicy, jaka zachodziła między temi dwoma sprawami; nie widzi, że jedna rewolucyjna w swojej naturze może zwyciężyć tylko rewolucyjnemi środkami, kiedy druga da się rozwiązać środkami prawnemi a skończyć ubezpieczeniem prawa wszystkich. Sądził Cesarz w tych latach i powtarzał, że Ludwik Filip upadł dlatego, że spraw tych podjąć nie miał odwagi, i obiecywał sobie w swoich rządach ustrzedz się błędu swego poprzednika. Ideologiem mógł być, ale miał (jak zwykle tacy ludzie) żywe i trafne uczucie tego, co być powinno. Alians z Anglią —alians cywilizowanego Zachodu przeciw despotyzmowi wewnątrz a kłamstwu i grabieży nazewnątrz, to jego pierwszy

krok, i najusilniejsze do końca choć często bezskuteczne staranie. A w jego widokach przyszłości, w tem przetworzeniu Europy, o jakiem marzył, było coś chrześciańskiego i coś tradycyjnie francuskiego; jakiś do innych tylko czasów zastósowany ideał Henryka IV, i ostatecznie była ta ambicya, żeby o jego czynach mogło bylo być powiedzianem *Gesta Dei per Francos*. A co do Polski? Mało cudzoziemców, mało było Francuzów, którzyby jej sprawę i swój interes rozumieli jak on. Że wojny wschodniej nie dała mu na Polską ziemię przenieść Anglia, że ona znowu — i za czyjem staraniem — cofnęła *ultimatum* i udaremniła kongres w roku 1863, to zbyt wiadome: i zbyt widoczne, że w pierwszym jak w drugim razie sam zostawać nie mógł. Że zaś w jego pojęciu sprawy polskiej był nietylko rozum, ale honor i sumienie (choćby były pomyłki i błędy), dowodzi cale jego postępowanie aż do tych ostatnich nieszczęsnych dni wojny pruskiej. W samych jej początkach, ale kiedy obrót zły już przewidywać zaczęto, dyplomata pewien zwracał uwagę Cesarzowej na to, że położenie Francyi zmieniłoby się odrazu, gdyby Rosya chciała się za nią oświadczyć, i poddawał myśl, żeby pozyskać Rosyę ofiarą Galicyi ze stósowną dla Austryi kompensatą. Ale o tem Cesarzowa ani słyszeć nie chciała. — „Jakto? wydać im jeszcze tę resztę Polski? nie! nigdy. Raczej zginąć!“ Rosya byłaby może tej ofiary nie przyjęła, ale dość, że oni tą ofiarą ratować się nie chcieli. Nie — my nie mamy prawa źle o nich mówić.

A teraz, dlaczego Cesarz lepiej czuł i wiedział jak działał? Na to pytanie mógłby odpowiedzieć tylko ktoś, co znał dobrze rodzaj jego umysłu i jego charakteru. Musiała w tym „intelligentnym flegmatyku,“ jak się sam miał nazywać, być jakaś trudność decyzyi, z której zmęczony wahaniem, przechodził w pośpieszny nerwowy pochop postanowienia i działania; była może w ideologu niezdolność do praktycznego poznania i prowadzenia spraw, a może też (i najbardziej) uczucie szlachetne, popędy rycerskie, myśli zdrowe, skutkiem wychowania, kolei życia, przykładów, zwyczajów, nie doj-

rzały nigdy w przekonania, nie ustaliły się w zasady, i człowiek został chwiejnym i miękkim. Adam Potocki opowiadał, co słyszał z ust księdza Ventury samego, że sławny kaznodzieja, a przez czas pewien kaznodzieja cesarskiej kaplicy, przez Cesarza chętnie i poufnie przyjmowany, rozmawiał z nim często o sprawach politycznych, o jego i Francyi przyszłości, i oto treść tego, co mu mówił: „Masz przed sobą „Polskę i Włochy, i między niemi się wahasz. Zastanówże „się i przejrzyj, że jedno byłoby twojem zbawieniem, drugie „musi być twoją zgubą. Oswobodzone Włochy zechcą się „zaraz zjednoczyć, zjednoczone zechcą być mocarstwem, a „że sąsiadem na lądzie i morzu jest Francya, więc tylko „jej kosztem wzrastać może ich potęga, i złączą się z każ-„dym jej nieprzyjacielem. Włochy zechcą Państwa papieskiego „i Rzymu, a gdyby im go Francya nie dała, to dojdą do „niego przez Francyi wrogów i nieszczęścia. A kto wié „jeszcze, czy zjednoczone Włochy nie staną się kiedy za-„chętą i przykładem do zjednoczenia Niemiec. — To mu mó-„wię, ale nadarmo. *Et ce n'est pas qu'il ne comprenne pas „— il comprend: mais le malheureux ne peut pas.*"

Anegdota w każdym razie jest ciekawa, a że autentyczna, więc zapisać ją warto, choć tu ściśle do rzeczy nie należy.

W ustach księdza Ventury znaczyły te słowa, że Cesarz związany był dawnemi przysięgami z rewolucyą włoską i od niej zależny. Ogłoszone od tego czasu pamiętniki lub korespondencye wielu głównych aktorów sprawy włoskiej, od Mazziniego począwszy, dowodzą przeciwnie: bo gdyby związek taki był zachodził, oni byliby mieli właśnie interes w jego wyjawieniu, a nie mówi o nim żaden. Niemniej trafne było zdanie kaznodziei, że jedna z tych spraw mogła być zbawieniem, druga musiała stać się zgubą Francyi. Ciągnęła bowiem za sobą sprawę Rzymu, a gdy tej Cesarz nie chciał poświęcić, Włochy obróciły się przeciw niemu, łączyły z jego nieprzyjaciołmi, i dziś jeszcze uważają się za „zwolnionych „ze wszystkich *śmiesznych* obowiązków wdzięczności, bo „Francya zmazała pod Mentaną to, co zrobiła pod Magentą

„i Solferino.“ — Cesarz nie rozumiał tej różnicy i nie przewidywał tych skutków tak trafnie jak ksiądz Ventura, bo od młodości wśród emigrantów włoskich żył, do nich przywykł i przywiązał się, a jak większość ówczesnego świata, brał wszystkie narodowości i niepodległości za podobne sobie, jeżeli nie za równe, i sprawy rewolucyjnej od restauracyjnej nie rozpoznawał.

Nowy Cesarz w przymierzu z Anglią, z bezpośredniego powodu opieki nad Ziemią Świętą, w obronie Turcyi przyjaciołki przez wspólnych nieprzyjaciół, wydał wojnę Rosyi. Przyszła chwila, na którą emigracya czekała od lat dwudziestu.

Dlaczego nie skorzystała z niej lepiej? Jeżeli pytanie odnosi do tej partyi która się gorącą zowie, a w powstaniach brała inicyatywę, to odpowiedź znalazłaby się może w jej politycznej zręczności. Jak kiedyś, nie podczas wojny tureckiej, ale aż po niej, w roku 1830, tak teraz nie podczas wojny wschodniej, ale dopiero w r. 1863! Co do strony drugiej, ks. Czartoryskiego i otaczających go ludzi, to ci naprzód od początku do końca żadnego powstania w kraju na niepewne wywoływać nie chcieli. Ich wyrachowanie było to, że naprzód wkroczenie wojsk sprzymierzonych na ziemię polską (miało być z Wołoszczyzny na Ukrainę), a wtedy dopiero powstanie. Zdradzono nas tyle razy, że i tym razem zdradzić mogą, zawrzeć pokój, a nas zostawić na łaskę i niełaskę. Zatem nie narażać ludzi, póki się sprzymierzeni dobrze i głęboko w tę sprawę i w nasze kraje nie wpakują. Powstawać przedtem, zwłaszcza w Królestwie, byłoby to wyprowadzić Prusy z neutralności, Rosyi dostarczyć zbrojną pomoc, i sprawie własnej i sprzymierzonych zaszkodzić. Zatem czekać aż wejdą na terytoryum, aż ogłoszą w manifeście o co się biją — wtedy dopiero powstawać, a tymczasem za ich zasłoną organizować polskie pułki, zawiązek polskiego wojska.

Takie było rozumowanie w tym razie, taka była stała ich zasada i polityka. A do tego jeszcze i to przypomnieć trzeba, że jeżeli po śmierci Mikołaja, po sfolgowaniu a poniekąd rozprzężeniu sprężyn rządowych w Rosyi, ruchawka

powstać mogła w roku 1863, to za życia Mikołaja, w roku 1854 nie byłaby zdołała ani nawet się rozpocząć.

Plan francuski i polski był, z Wołoszczyzny dostać się na Ukrainę; udaremnił go plan angielski wyprawy na Krym. Wszelako tamten stanowczo zarzucony nie był.

O ile należał do wojny krymskiej Kalinka? Należał do niej jako adjutant (a raczej sekretarz) Zamoyskiego. Listy i raporta obudwóch, znajdujące się w Paryżu, a których w tym krótkim czasie poznać nie miałem możności, pozwoliłyby dokładnie dzień za dniem opisać, co tam każdy z nich robił. W żywocie X. Kalinki, w żywocie Zamoyskiego, w żywocie księcia Adama, w historyi emigracyi wreszcie, wszystko to powinno się znaleść, i da Bóg że się znajdzie. W tym pobieżnym szkicu, właściwie tylko wspomnieniu pośmiertnem układanem z pamięci, miejsca na to niema, poprzestać trzeba, choć z żalem, na najogólniejszej tylko wiadomości. Poco pojechał, co robił Zamoyski, to pozwolimy sobie przytoczyć w słowach już znanych i zaledwo przed rokiem drukowanych [1]).

„Byli wówczas u steru rządu mężowie stanu tureccy przyjaźni Polsce, Reszyd pasza był wezyrem, Mehemed Ali seraskierem. Mehemed Ali zawiadomił ks. Czartoryskiego, iż Sułtan prosi go o przysłanie czterech wyższych oficerów polskich, którzyby jako jenerałowie w armii tureckiej byli użyci. Ich wybór pozostawiono księciu, atoli Sadyk Pasza (Czajkowski) wskazywał Dembińskiego, Chrzanowskiego, Zamoyskiego, Bystrzonowskiego. Dembiński nie przyjął, bo chciał, aby Sułtan do niego wprost się udał, a nie przez księcia Adama go przyzywał; przytem sądził, że go powinni zaprosić na wyższą komendę. I Chrzanowski także nie przyjął, bo uważając siebie słusznie za najlepszego na Zachodzie znawcę armii rosyjskiej, sądził, że Anglia i Francya zażądają jego udziału w wojnie. Przestano więc na tem, że wysłano Breańskiego, który pułkownikiem był w armii piemontskiej od r. 1849, i Bystrzonowskiego, a

---

[1]) *Przegl. Polsk.* czerwiec 1886. Michał Czajkowski.

także Zamoyskiego. Dwaj pierwsi otrzymali przeznaczenie do Karsu, Zamoyski miał być dowódzcą korpusu polskiego. Wziął z sobą na swój koszt, kilkunastu oficerów z r. 1831 (między nimi celniejsi: podpułk. Słubicki z 4 pułku lin., major Kirkor, kapitan Lange etc.), do których przybrał kilku z kampanii węgierskiej z r. 1848, i tych w Stambule utrzymywał. Turcya okazała się skłonną do zadekretowania formacyi polskiej, i w tem Baraguay d'Hilliers, ambasador francuski, skutecznie ją popierał. Wprawdzie Austrya czyniła trudności, ale Reszyd nie tracił nadziei, że uda się pociągnąć ją do wojny z Rosyą. „Za Polskę niepodległą oddamy Austryi najchętniej Księstwa naddunajskie.“ Na Prusy nikt wówczas nie zważał i nie zadawano sobie pracy zapytywania, co na taką formacyę powiedzą. Rzecz zdawała się bliska pomyślnego zakończenia, kiedy ją niespodzianie zatrzymał lord Stratford Redcliffe. Wszechwladny ambasador angielski widział z niechęcią ten projekt, który Francyi przypisywał. Zazdrosny swej przewagi, oświadczył Reszydowi, iż nie można Zamoyskiego uważać za jedynego reprezentanta Polaków w Stambule, że jest tu inny pełnomocnik partyi demokratycznej, jenerał Wysocki, który ma od emigracyi upoważnienie do układu z rządem tureckim; że więc byłoby najwłaściwiej użyć obu jako dowódzców dwóch legij polskich, arystokratycznej i demokratycznej, jednej w Europie, drugiej w Azyi. Czy Stratford szczerze to radził, czy też dlatego tylko tę myśl podsunął, aby skrzyżować projekt popierany przez Francyę, trudno dziś wiedzieć; dość, że Reszyd pasza tę propozycyę Zamoyskiemu uczynił. Zamoyski przyjął ją z oburzeniem. „Polacy chcą, odpowiedział, aby ich uważano za naród; jako płatni Szwajcarzy użyć się nie dadzą. Zaręczam, że Wysocki tęsamą da wam odpowiedź. Co większa, oba tu przyjdziemy i powiemy wam, że każdy z nas woli służyć pod komendą drugiego, niż tworzyć dwie polskie legie, od siebie niezawisłe.“ Zażądał tedy rozmowy z Wysockim, z którym się dotąd w Stambule nie spotkał, i proponował mu, aby poszli razem do Reszyda i do Stratforda

z tem oświadczeniem. Ale Wysocki rozumiał dobrze niższość swej pozycyi i przewidywał, że jeśli oznajmi, iż woli służyć pod Zamoyskim, niż mieć osobną komendę, to chociaż Zamoyski tożsamo złoży oświadczenie, nie jemu, ale Zamoyskiemu oddadzą komendę. Wymówił się więc, odpowiadając, że nie jest panem swoich postępków, że jako upoważniony od emigracyi, musiałby wprzód zasiągnąć jej zdania: i z Zamoyskim razem do Porty i do ambasady angielskiej nie poszedł.

Projekt upadł; byłoto w połowie 1854 r. Armia turecka pod wodzą Omera Paszy odparłszy Rosyan pod Silistryą, przeprawiła się za nimi za Dunaj i zajęła Wołoszczyznę, którą Paszkiewicz opuścił. Omer założył kwaterę w Bukareszcie, a wojska swoje do Mołdawii rozciągnął. Czekał na rozkazy wkroczenia do Bessarabii, a także na posiłki sprzymierzonych. Tymczasem armia francuska i angielska zbierała się w Warnie, a w Paryżu i w Londynie naradzano się, gdzie dalej wyruszyć. Z Bessarabii droga na Ukrainę, a tam z kwestyą polską trzebaby było się spotkać! Anglia podała więc myśl wyprawy do Krymu, aby zająć Sebastopol i zniszczyć flotę rosyjską, która ztamtąd zagrażała Stambułowi.

„Zamoyski tę expedycyę potępiał, rozumiejąc dobrze, iż sprzymierzeni dlatego idą do Krymu, aby nie iść do Polski. Postanowił udać się do Omera i jego zachęcać do marszu naprzód. Już też Omer wyprawił Sadyka z pułkiem kozaków sułtańskich do Maximeni (w Mołdawii) i oddał mu komendę nad przednią strażą armii tureckiej. Ale Omer czuł się za słabym, aby iść naprzód, i gdy sprzymierzeni zażądali jego pomocy w Krymie, tam znaczną część swego wojska wyprawił. Tyle jednak Zamoyski na nim uzyskał, że na przedstawienie tureckiego wodza, Sultan wydał *irade* nakazujące formacyę drugiego pułku kozaków sułtańskich, który z samych Polaków miał być złożony i pod komendą Zamoyskiego zostawać.

„Polskich ochotników nie brakowało. Znajdowali się naprzód zpośród jeńców lub dezerterów rosyjskich, których

z Krymu odwożono do Stambułu i razem z żołnierzami rosyjskimi miano ich odwozić do Korsyki. Zamoyski tyle jednak wyjednał, że oddzielano od nich Polaków i jemu ich oddawano. Przybywali także ochotnicy z emigracyi, których rząd turecki przyjmował i pod Warną gromadził.

„Zamoyski otrzymawszy upoważnienie do formowania pułku polskiego, wszystkich Polaków ściągnął do Szumli i komendę i organizacyę powierzył Słubickiemu. Atoli z Turkami ekwipowanie pułku szło bardzo nierażnie. Każdy szczegół potrzebny (konie, siodła, mundury, broń) trzeba było z wielkim trudem w Seraskieracie zdobywać; ludzie i oficerowie, już w znacznej ilości byli zebrani, a niczego, nawet żołdu, nie można się było doprosić. Tyle tylko, że dawano racye żywności; skończył się rok 1854, upłynęła zima i wiosna 1855 r., a formacya nie postępowała. Zamoyski zjechał sam do Szumli i ratując pułk z własnej kieszeni, bronił go od rozejścia swoją powagą i awansami które czynił.

„Przeciągała się wojna w Krymie. Po zwycięstwie nad Almą, sprzymierzeni rozpoczęli oblężenie Sebastopola. Przyszło do kilku krawych utarczek z Rosyanami, w których Anglicy (mianowicie pod Bałakławą) bardzo mocno ucierpieli. Armia angielska (której w Krymie nie było więcej nad 30,000) prędko stopniała. Rząd angielski nie mając własnego gotowego żołnierza, począł w całej Europie werbować ochotników. Podsunięto w Londynie myśl, że możnaby użyć Polaków. Lord Palmerston napisal o tem do Zamoyskiego i zawezwał go do Londynu, aby się z nim porozumieć.

„W połowie 1855 roku, Zamoyski wybrał się do Anglii. W przejeździe przez Paryż był u Napoleona, który go mocno zachęcał, aby wszedł w stosunek z rządem angielskim. Cesarz Francuzów zmęczony był już wojną, a raczej fałszywym jej kierunkiem. Utrzymanie armii pod Sebastopolem kosztowało ogromne summy; prócz zwykłego budżetu, trzeba było zaciągnąć trzy pożyczki: 300 mil., 500 mil. i 750 milionów. Trzecia pożyczka szła już mniej raźnie. Napoleon oświadczył, że trudno mu wymagać nowych ofiar od narodu,

jeżeli się nie postawi takiego dla wojny celu, któryby Francuzów mógł zentuzyazmować. Proponował więc: albo *granice Renu dla Francyi,* albo *odbudowanie Polski.* Pod temi warunkami przystawał na dalszą kampanię. Granice Renu Palmerston odrzucił natychmiast; co do odbudowania Polski, odpowiedział, że tak daleki cel musiałby przerazić Anglików, którzy zajdą i dalej niż inni, byleby ich nie zniechęcać na początku. Że zresztą ogłaszać odbudowanie Polski jako cel wojny, w chwili, gdy armie sprzymierzone są tak daleko od Polski, byłoby to tej ostatniej oddać najgorszą usługę, bo rząd rosyjski nie omieszkałby wywieźć wgląb Rosyi wszystkich celniejszych Polaków. Proponował, po zajęciu Sebastopola, na rok przyszły zdobycie Kronstadu."

„Od tej chwili Napoleon był już zdecydowany na zawarcie pokoju z Rosyą, i po śmierci Mikołaja począł porozumiewać się przez posła saskiego Seebacha z Aleksandrem II. Ale przypuszczając, że jeżeli Rosya nie ustąpi, trzeba będzie wyjść z Krymu i ruszyć na północ i zawadzić o ziemie polskie, rad był, że legie polskie formować się będą i że ta formacya wciągnie Anglię do śmielszej wojny. Przypuszczał też, że ona da do myślenia Rosyi, że ją uczyni skłonniejszą do zgody, i dlatego nakłaniał Zamoyskiego, aby przyjął cokolwiek mu dadzą Anglicy, a reszty, czegoby nie dostawało, sprzymierzeni i wojna dostarczą."

„Anglicy przelękli się zrazu formacyi polskiej. „Wy nas skompromitujecie wobec Rosyi" — mówili, chociaż z Rosyą byli w wojnie. Dłużej trzech miesięcy trwały układy w Londynie z Lordem Panmure, ministrem wojny. Pieniędzy ofiarowali hojnie, żołd angielski (1 szyl. dziennie na żołnierza) i oprócz tego 5 Ł. *bounty* każdemu ochotnikowi. Zamoyski przyjąć tego nie chciał, mówiąc, że tworzy wojsko dla przyszłego rządu polskiego, który nie mógłby tak drogo opłacać żołnierza; zato domagał się chorągwi polskiej, komendy, mundurów narodowych etc. Przed tem znowu Anglicy się cofali, odmawiając każdej rzeczy polskiej, choćby tylko orzełków polskich na guzikach. Nareszcie w grudniu 1855 r. stanęło

na tem, że ma stanąć dywizya polska, imiennie do kozaków sułtańskich należąca, ale na żołdzie i pod rozkazami Anglików, a broni i mundurów miała Francya dostarczyć. Byłato więc legia sprzymierzonych. Posłani do Szumli jen. Breański i pułk. Kamieński, jeden nad piechotą, drugi nad jazdą objęli komendę. Ludzi było już około 1500."

„Wielokrotnie jenerałowie francuscy zapytywali podczas wojny Zamoyskiego, dlaczego nie idzie do Krymu? „Wyście tam poszli, odpowiedział, aby Polski uniknąć; jakże ja mogę iść tam!" „Masz racyę (mówili na to), ale na rok przyszły jak z Krymem skończymy, trzeba będzie ruszać do Kijowa, a wtedy wy, co dzisiaj stoicie w tyle, pójdziecie naprzód, przed nami."

Ale Kalinka? cóż w tem wszystkiem Kalinka? O nim niema tu wzmianki, bo to on sam pisał (jako informacye do roli Sadyka Baszy w tej sprawie i jego stosunku do formacyi Zamoyskiego, na prośbę niżej podpisanego kiedy ten po śmierci Michała Czajkowskiego pisał o nim artykuł). Opowiadał zaś o sobie tak mało zawsze, tak nie miał na to czasu, i mówił tylko o rzeczach które za ważniejsze uważał, że z jego ust nie mam o nim z tych czasów szczegółów żadnych.

Krasiński kiedy opowiada jak Zamoyski uderzony był kijem przy wejściu do kościoła na pogrzebie Mickiewicza, dodaje w liście następnym (do Sołtana CCXIV *Pzegląd Polski* Styczeń 1877 str. 16): „Kalinkę, sekretarza Jenerała, „*niezmiernie zdolnego* młodzieńca, w tych dniach nowy napastnik w głowę uderzył." Czy go Krasiński znał i sam przez się o jego zdolności mógł sądzić? W każdym razie późniejsze to już, powojenne czasy.

Za tego pobytu w Turcyi poczęły się nie starania jeszcze, ale pierwsza myśl późniejszych starań o nawrócenie Bułgarów. Oddawna już uwaga księcia Adama zwrócona była na Słowiańszczyznę turecką; oddawna jego agenci siedzieli tam i śledzili usposobienie tych ludów i postępy rosyjskiej między nimi propagandy; oddawna książę zwracał uwagę państw zachodnich na ten element kwestyi wschod-

niej. On lepiej od własnych ambasadorów w Stambule umiał otwierać oczy francuskim i angielskim dyplomatom, tłómaczyć im, że kiedy myślą tylko o napadzie flot i wojsk rosyjskich na Konstantynopol, spuszczają z oka ten proces rozsadzania Turcyi od wewnątrz, który Rosya prowadzi cicho ale nieustannie; lepiej od ambasadorów wiedział, co te ludy myślą, co się między niemi dzieje, i dostarczał informacyi gabinetom, które supremacyę rosyjską na wschodzie uważały za klęskę dla siebie. Ale byłyto ostrzeżenia i zabiegi czysto polityczne: śledzenie i krzyżowanie działań rosyjskich pożyteczne, ale oczywiście słabe i nieznaczne w porównaniu ze środkami, jakiemi rozporządzała Rosya. Czem możnaby jej zagrodzić drogę do jądra tych krajów i serca tych ludów? gdzie znaleść silną tamę, któraby jej wpływ odepchnęła? Nienawiść Turków, nadzieja wyswobodzenia, podobieństwo języka, jedność wiary, wszystko pcha Słowian południowych w ręce Rosyi, która te ręce z anielskim uśmiechem otwiera. Jak się raz w nie rzucą, uśmiech się zmieni, i wtedy Bułgarzy, Serbowie, wszyscy inni, poznają po czasie co to Rosya: ale dziś próżno mówić i ostrzegać, muszą jej wierzyć muszą iść na jej lep!

Ale gdyby mieli inną wiarę? gdyby byli jak niegdyś katolikami? w takim razie nabyliby innego ducha, wyswobodziłoby się od Rosyi ich sumienie, ich wiarę, ich duszę, a wtedy ich wola stałaby się także inną jak wola Rosyi, osobną, samoistną, o świat zachodni opartą i ku niemu zwróconą. Ale czy to możebne! Wieki tradycyi religijnej i narodowej, wieki rosyjskich zabiegów i darów, umysły ciemne, znajomości świata żadnej. I kto się do tego weźmie, kto poprze? kto dostarczy środków? kto choćby zrozumié że to potrzebne? Trzebaby dla takiej myśli pozyskać Papieża i Sułtana, rząd francuski i bułgarskich pasterzy! A gdyby i to zrobić się dało, to wtedy dopiero pytanie, czy ten lud od wieków syzmatycki zechce odstać od tej wiary, do której musi być przywiązany? Wprawdzie patryarchat grecki i duchowieństwo tak go cisną i gnębią, w takiej u niego są nie-

nawiści, że o tę nienawiść dałoby się może jakie działanie zahaczyć; ale gdyby nawet, to czy o wierze rzymskiej dadzą sobie mówić? Chyba gdyby obrządek wschodni zachował im w całości to, do czego są przywiązani i przyzwyczajeni... chyba gdyby Unia, niegdyś w Polsce wynaleziona, wprowadzona, niedość utrwalona, a dziś przez Rosyę tępiona, tutaj puściła nową latorośl na chwałę Boga, zbawienie dusz, rozszerzenie Kościoła i... zaszachowanie Rosyi!

Takie pytania stawały w głowie Kalinki i Zamoyskiego podczas tego w Turcyi pobytu, a w lat parę później pewien odłam bułgarskiego ludu okazał skłonność do połączenia się z Kościołem. Turcya nie miała nic przeciw temu, poselstwo francuskie wzięło tych ludzi w opiekę (choć nieurzędownie), Pius IX witał ich, jak niegdyś Klemens VIII Rusinów; i zrobił się ten początek Unii bułgarskiej, za którym poszły parafie, szkoly, missye, dwa obrządki zakonu Zmartwychwstańców: około wiary i Kościoła, około prawdziwej niepodległości słowiańskiego ludu i jego prawdziwej cywilizacyi polska zasługa, a zasługa podobno głównie Kalinki, przynajmniej zasługa pomysłu i inicyatywy. Dziś ta Bułgarya, w małej tylko części katolicka, przecież jest tamą na drodze Rosyi do panowania nad światem. Kto wié, czy ta jej obecna rola, ta oznaka przyszłej, daj Boże, samodzielności Słowian południowych, nie jest skutkiem i nagrodą owych starań, Bożego nad dobrą myślą i dobrym zamiarem błogosławieństwa.

Po wojnie przyszedł kongres paryski. Zdarza i powtarza się to często, że kiedy z dwóch sprzymierzeńców jeden nie chce w obronie wspólnego interesu i celu iść tak daleko, działać tak stanowczo jak drugi, ten drugi pozostały zniechęca się do niego, a nabiera jakiegoś pociągu do tego, który przed chwilą był nieprzyjacielem. Kiedy Cesarz pomiarkował, że Anglia zabawiwszy go obleganiem Sebastopola, chce jeszcze bawić obleganiem Kronsztadu, a o wojnie prawdziwej i skutecznej nie myśli, zaprzestał wojny, ale nie mogąc Rosyi uczynić nieszkodliwą, chciał ją uczynić sobie przyjazną, i poczęły się te dobre stosunki, które z cza-

sem doszły we Francyi do ostatniego zaślepienia, do bałwochwalstwa Rosyi. Zwrot ten w polityce Cesarza, i pokój paryski, był oczywiście dla polityki polskiej bolesną przegraną, klęską, i zapewne na długo. Należało wszakże zawód ten znieść, upokorzenia i gniewu nie dać po sobie poznać, i czekać cierpliwie sposobnych okoliczności. Tak rozumiała położenie i swój obowiązek jedna część emigracyi — szkoda, że nie tak druga.

Nikt już dziś nie wie — prócz tych, co pamiętają, bo doznali — jakie wrażenie ówczesny pokój zrobił na umysły i na serca polskie. Przeszliśmy od tego czasu o tyle gorsze że tamto się zatarło, ale można twierdzić, że od kampanii rosyjskiej Napoleona I, nie doświadczyliśmy takiego zawodu, jak ten rosyjski pokój Napoleona III. W nadzieję najbliższą, najpewniejszą, uderzył grom! Rosya zwyciężona i zdawało się tak już blizka wymiaru boskiej i ludzkiej sprawiedliwości, wstawała znowu obłudnie cicha, ale pewna siebie i urągająca, a Francya przed Polakami spuszczała oczy ze wstydu, ale do tamtych wyciągała rękę. A więc i to zawiodło! a więc nigdy nie będzie końca i nigdy zwycięstwa, które tym razem tak było blizkie! Zawód całej Polski, dla emigracyi, dla tej jej części do której należał Kalinka, był prawie rozpaczą i wstrząśnieniem najgłębszem, najboleśniejszem, jakiego ci ludzie aż dotąd doznali.

Wszystko zawiodło! Cóż zostaje? Nic: na świecie nic, tylko własna miłość Ojczyzny, i Bóg! i z tego trzeba wszystko stworzyć. Z zawodu i rozpaczy wstaje ta miłość i ślubuje wszystko znieść, wszystko zrobić, wszystko pokonać i poprawić, co tylko zdoła; i wstaje myśl, że ofiarą złego w sobie, zwycięstwem nad sobą, trzeba Boga przejednać i ubłagać. Dokonywa się i wzmaga zwrot religijny, niemal mistyczny, dążący do poprawienia i podniesienia Polski, zaczynający od poprawy i podniesienia siebie; zwrot, który porwał i Kalinkę także, ale nie jego jednego tylko.

Sposobne okoliczności! jakie i kiedy? Czekać cierpliwie! Jak długo? Nie byłoto łatwo na to się rezygnować,

ale było potrzebnie, skoro było oczywistem, że w polityce zagranicznej niema nateraz nic do roboty. Nie idzie zatem, żeby nie było do roboty nic zgoła. Takie chwile i lata spokoju są właśnie sposobne i doskonałe na to, by stan wewnętrzny naprawiać, podnosić, pozbywać się tego co doświadczenie wskazało jako złe, nabywać sił, i w okolicznościach sprzyjających (kiedy się zdarzą) wystąpić z pewną mocą.

Jaki jest stan Polski? w różnych jej częściach i pod różnemi względami? Trudności i niebezpieczeństwa pochodzące od rządów, i te które leżą w nas samych? Jak postępują z nami i jak my przeciw temu postępowaniu działamy? czy mamy rozum i oświatę? czy mamy rozum polityczny? czy mamy w charakterze statek dla siebie, a powagę i godność wobec rządów? czy mamy dbałość i gospodarność w rzeczach ekonomicznych? jakie są nasze skłonności, popędy, instynkta i upodobania w życiu politycznem jak prywatnem, w literaturze, w sztuce? jakie nasze książki i dzienniki? czy i o ile to wszystko jest u nas siłą albo słabością? Gdyby te wszystkie pytania roztrząsnąć, ten stan wewnętrzny Polski zbadać i jej pokazać, możeby to się przydało i wyszło na dobre. W każdym razie zrobiłby się porządny inwentarz tego co jest, porządny obrachunek, a od tego zawsze musi się zacząć wszelka poprawa, w interesach czy w sumieniu. Takie rozmowy, takie dochodzenia nad polską naturą, do których każdy przynosił swoje spostrzeżenia i doświadczenia, w tej myśli i nadziei, żeby dojść do psychologicznej i patologicznej znajomości narodu, toczyły się często, długo, zawsze, między towarzyszami wygnania i pracy, zbliżonymi do siebie wiekiem, przekonaniami i przyjaźnią, między którymi dwóch odznaczało się i górowało zdolnością: Julian Klaczko i Kalinka. Takie myśli i słowa stały się w niedługim czasie i czynem. Pokój paryski odbył się w roku 1856, w r. 1857 zaczęły wychodzić *Wiadomości Polskie*.

III.

Przez czas wojny Wschodniej wychodził mały dzienniczek, w dwunastce, służący interesom formacyi legionów polskich, utrzymywany przez Zamoyskiego (nie bez subwencyi angielskiej), zapełniony rzeczami wojskowemi, a uzupełniony wyciągami z dzienników krajowych; nosił nazwę *Wiadomości Polskich.* Wydawał go Felix Wrotnowski, Litwin, dyrektor Biblioteki Polskiej. Do Biblioteki, w której on panował jako dyrektor, przychodził Klaczko, zajęty wtedy zamierzoną Historyą Poezyi polskiej i robiący do niej przedwstępne przygotowania, przychodził i Kalinka, po powrocie ze Wschodu, zabierający się także do pisania *Historyi Emigracyi.* Tą pracą zajęty i zastanawiający się coraz głębiej nad naturą i losem narodu, zaczął dostrzegać i uwagę Klaczki zwracać na to, że złe, jakie oba widzieli w Emigracyi, nie było jej właściwością i nie od niej się zaczęło, ale że było odziedziczonem po długiem pasmie pokoleń i dziejów. Z tych rozmów, z tych nawzajem sobie udzielanych spostrzeżeń, zrobiło się nareszcie zupełne między nimi zbliżenie, a jego pierwszym objawem i skutkiem, był pomysł wspólnego studyum psychologii narodu polskiego, w różnych lepszych i gorszych, dawnych i dzisiejszych typach, jego skłonności i natury. Zajętego literackiemi kwestyami Klaczkę, Kalinka namawiał i wciągał do prac praktycznych, publicystycznych i politycznych; przekonywał, że i z krajem i z zagranicą jest coś do zrobienia, ale pracować nad niemi trzeba bezpośrednio

i bez wytchnienia. Rozmowy takiej treści jak wyżej wspomniano toczyły się między nimi bez wytchnienia. Aż pewnego dnia — opowiadamy to wszystko prawie dosłownie z listów i słów Klaczki — Kalinka sam zafrasowany, zafrasował i jego pytaniem, co się stanie z Wrotnowskim? Z formacyą ustały i angielskie subsydya, z temi ustanie i jego dzienniczek, a w jego dochodach będzie to ubytek bardzo dotkliwy. Czyby nie można coś takiego wynaleść, coby i jego los zabezpieczyło i ogółowi się przydało? czyby nie można rozwinąć jego *Wiadomości* na pismo znaczące i pożyteczne? „Wystawię Księciu „pożytek takiego pisma, mimo upadku nadziei wojennych. „Ale trzeba to robić ostrożnie, bo Wrotnowski nas nie lubi, „naszych przekonań nie podziela“ (był trochę Towiańczykiem i miał ukryty pociąg do Towarzystwa Demokratycznego) „a „podejrzliwy jest.“ Zaprosili Wrotnowskiego z sobą na exkursyę do St. Germain, wytłómaczyli pożytek takiego pisma, zachęcili żeby objął redakcyę, pomoc ciągłą przyrzekli, i Wrotnowski dał się nakłonić. Dał się nakłonić (choć nie bez trudu) i Książę, którego otoczenie nie bardzo im sprzyjało, a nie było w Paryżu Zamoyskiego, któryby wpływem swoim pomagał. Stanął wreszcie układ: koszta wydawnictwa, o ile nie pokryte prenumeratą, miał ponosić Książę; redakcyę obejmował Wrotnowski, i on jeden za wynagrodzeniem; Kalinka i Klaczko pisywali zadarmo. Częścią materyalną i drukarską zajmował się chętnie i gorliwie Januszkiewicz, który i do narad redakcyjnych, przez to do dyrekcyi pisma, czynnie należał. Zamoyski zdaleka zachęcał i przyklaskiwał; dodawała odwagi i ufności swojem współczuciem szlachetnem i rozumnem, swoją przyjaźnią, księżna Marcelina Czartoryska, której dom był pod względem towarzyskim i umysłowym pociechą i rozrywką, główną kwaterą redakcyi i jej przyjaciół. „Oto „szkielet pierwszego zawiązania się naszej spółki,“ mówi Klaczko (List z Rzymu 9 marca 1887) [1]).

---

[1]) Oprócz *Wiadomości*, wydała ta Spółka *Relacye Nuncyuszów*, *Pamiętniki Krzysztofa Radziwiłła*, księcia Adama *Żywot*

Przy okazyi wydania *Wiadomości* pod tytułem *Roczników Polskich* w r. 1867, zdając z nich sprawę w tymsamym *Przeglądzie* (w lipcu 1868), mówiliśmy o nich to, co dziś jeszcze przekonaniu naszemu zupełnie i najściślej odpowiada. Dlatego nie wahamy się powtórzyć tu całych ustępów z rzeczonego artykułu, tem bardziej, że w swoim czasie bardzo mało a dziś wcale nieznany, będzie on prawie nowym, a dziś niemniej może jak wtedy potrzebnym i usprawiedliwionym.

„*Wiadomości* nie były dziennikiem w ścisłem słowa znaczeniu; nie były nim nie dlatego tylko, że nie co dnia lecz raz na tydzień wychodziły, ale więcej dlatego, że założeniem i treścią swoją różniły się wielce od tego, co zazwyczaj rozumiemy przez dziennik. Wydawane w samem centrum współczesnej polityki i historyi, nie trudnią się przecież wcale bieżącą polityką; o wypadkach nawet ważnych nie wspominają ani słowem, jeżeli te wypadki nie mają wpływu na sprawę polską; o wypadkach potocznych, codziennych, nie mówią wcale. Stoją one w wielkim prądzie europejskiego życia i znać to na każdej ich karcie; ale na to co się wokoło nich dzieje, patrzą o tyle tylko, o ile spodziewają się ztąd lub obawiają, dobrego lub złego wpływu na Polskę lub jej losy. Ale w Polsce zato nie trafi się ani jedno

---

Niemcewicza, później zbiorowe wydanie Mickiewicza 1861 itd. Przedtem jeszcze, bo w styczniu roku 1857, wydał Kalinka w *Dodatku do Czasu*, pod pseudonymem Bronisława Kamieńskiego, artykuł historyczny p. t. *Negocyacye ze Szwecyą o pokój 1651—1653. Przyczynek do historyi Wojen Szwedzkich.* Rozprawa ta, ciągnąca się przez trzy zeszyty, opowiada dzieje kongresu w Lubece, czyli starania królowej Krystyny o przymierze z Rzpltą, udaremnione nieszczęsną ze strony polskiej niezręcznością, i niechęcią króla zrzeczenia się pretensyi do korony szwedzkiej. Pisany na podstawie rękopisów Biblioteki cesarskiej w Paryżu i wypisów przywiezionych przed laty z Hagi, przez historyków bardzo ceniony, jest ten artykuł pierwszą ściśle historyczną pracą księdza Kalinki.

choćby obojętne napozór zdarzenie, żeby *Wiadomości* o niem nie wiedziały, żeby go nie oceniły w odniesieniu do sprawy naszej, żeby nie sądziły jego pożytków lub nie przewidziały złych następstw; nie zdarzy się ani jedna krzywda, ani jedno prześladowanie o któreby się one nie upomniały, ani jeden obowiązek któregoby nie wskazały, ani jedna dobra sposobność o którejby nie przestrzegły. Jeżeli się stanie jakieś małe zboczenie z drogi obowiązku, jakaś płochość, jakaś lekkomyślność, *Wiadomości* zaraz przywołują do porządku; — jeżeli w dziennikarstwie, w literaturze, w życiu społecznem lub obyczajowem, objawi się jaki kierunek fałszywy i niebezpieczny, *Wiadomości* upominają zaraz i grożą skutkami, które bystro przewidzieć umieją; — a kiedy im przyjdzie spotkać się z jakiem publicznem zgorszeniem, z grzechem obrażającem polskie sumienie, z działaniem zgubnem dla tego odrodzenia narodu, dla którego pracują same i innych do pracy chcą znaglić, wtedy karcą i chłoszczą tak, że napiętnowany przez nie kierunek lub człowiek, obronić się nie może, a podnieść chyba tylko odmianą i poprawą.

„I tak przez lat cztery były *Wiadomości* jakżeby strażnicą polskich interesów i wewnętrznego życia Polski; z myślą wiernie w przyszłość zwróconą, wlepiły wzrok w teraźniejszość, i przypatrując się jej pilnie, bacznie, niezmordowanie, przykładały do tej teraźniejszości miarę tej przyszłości i nasze uczynki sądziły podług tego, czy one dla przyszłości, narodu były złe lub dobre, czy ją budowały lub podkopywały. Nie na jedną zaś część Polski, ani na dwie zwrócona była uwaga *Wiadomości*, ale na całą dawną przestrzeń Rzpltej; o częściach mówią one dla całego narodu i z myślą o całości; wydają się jak majtek na najwyższym maszcie, obejmujący cały widnokrąg morza dookoła i wyglądający na wszystkie strony, zkąd idzie chmura, zkąd burza, zkąd się sunie podejrzany korsarz lub nieprzyjacielska flaga powiewa — wreszcie zkąd zerwie się ten wiatr i ten prąd, który okręt do portu zapędzi. — Nie gazeta to więc, ale raczej wszechstronny i zupełny obraz życia Polski przez ciąg waż-

nych bardzo lat czterech, obraz wierny, i godzien, żeby na niego popatrzeć.

„Zaczęły *Wiadomości* wychodzić w roku 1857, w rok po pokoju paryskim; w krótki czas po wojnie wschodniej i po śmierci cesarza Mikołaja, a w chwili, kiedy potęga Francyi jaśniała najświetniejszym blaskiem, kiedy pod niesłychanym w owej chwili urokiem polityki Napoleona III ludy i rządy domyślały się czegoś więcej jak uroku, bo stateczności niezłomnej, zamiarów opartych na zasadzie, śmiałości czerpanej w wielkich i szlachetnych zamysłach, i prawdy. Czuł wtedy każdy człowiek i każdy naród, jak i dziś czuje, że Europa przyśpieszonym ruchem pędzi ku przeobrażeniu; tylko wówczas każdy sądził, że przeobrażenie to odbędzie się ramieniem Francyi, tej Francyi chrześciańskiej, cywilizowanej i cywilizacyjnej, pod kierunkiem człowieka rozumiejącego potrzeby wieku, a wiedzącego, że świat wtedy tylko dojdzie do porządku i pokoju, kiedy nie siła przed prawem, lecz prawo będzie przed siłą. Tak pojmowano w Europie Napoleona III: dlatego obawiało się go niejedno mocarstwo w Europie, dlatego niejeden naród czekał od niego hasła i sposobności, jeśli nie mocy do oswobodzenia; — a dziś jeszcze nie można zaprzeczyć, że trafnym był ten instynkt, który przeczuwając konieczność zmiany międzynarodowych stosunków w Europie, pragnął, żeby ta zmiana dokonała się pod natchnieniem i kierunkiem Francyi, a wyglądał jej od monarchy, który nie mając nic wspólnego z dawnym porządkiem rzeczy, do nowego musiał zmierzać, żeby na nim oprzeć panowanie swoje i swoich następców.

„Cóż w takich stosunkach miała robić Polska, której na przetworzeniu karty Europy zależało i zależy najwięcej? jak się miała zachować? czy stan jej wewnętrzny uprawniał ją do nadziei, że w danym razie potrafi wpłynąć korzystnie na swoje losy? a jeżeli nie, to jaką drogą, jakiemi sposoby dojść może do tego stanu, który pozwala narodom objawić swoją wolę i przeprowadzić ją? pytania te nasuwały się same umysłom myślącym i patryotycznym, i oneto dały początek wy-

dawnictwu o którem mówimy. Znać Polskę i dać jej poznać siebie samą, ażeby mogła dokładnie obliczyć swoje duchowe i materyalne siły, aby się przekonała wiele i czego jej nie dostaje do warunków odrodzenia, to był środek — upominać ją o poprawę i postęp, to był cel pisma. W kraju przedsięwzięcie takie udać się nie mogło, nietylko ze względów cenzurowych i policyjnych, ale i dlatego, chociażby tamte nie były istniały, że pismo krajowe wychodząc w jednej części Polski, nie może tak dobrze i w każdej chwili objąć całości — patrzy przedewszystkiem na stosunki i potrzeby tej prowincyi w której wychodzi, nie może zarówno strzedz interesów wszystkich. Pismo emigracyjne jest pod tym względem w położeniu daleko korzystniejszem; nie należąc do żadnej wyłącznie prowincyi, łatwiej może zachować równowagę pomiędzy wszystkiemi i miejscowe ich sprawy odnosić zawsze do szerokiej sprawy ogółu; jakkolwiek oddalone od kraju, może ono przecież swobodniej się znosić z każdą jego częścią, niż części te pomiędzy sobą; stoją zaś w samym środku europejskiego życia, musi korzystać wiele z tego potężnego ruchu umysłowego, literackiego i politycznego, pośród którego żyje, a o każdorazowym stosunku sprawy polskiej do ogólnej europejskiej polityki, sądzić może trafniej i z większą znajomością rzeczy, jak organa opinii krajowej. To też w chwili, kiedy zdawało się, że wszystkie wielkie bezprawia tego świata wejdą prędzej lub później w bezpośrednią styczność z tą polityką, pismo takie, obejmujące ogół ziem polskich, wytykające słabe strony każdej z nich, i obliczające jak każda o sprawie ogólnej pamięta i o ile ją naprzód posuwa, mogło zdawać się potężnym i skutecznym środkiem działania, a zatem pracą obowiązkową.

„Podjęło ją to grono ludzi, ktróre wyszedłszy na tułactwo po roku 1831, w miarę sił ubywających nowemi zasilane, zawiedzione sto razy w nadziejach, pojone sto razy goryczą, wśród zawodów i porażek, wśród szyderstw i potwarzy, nigdy na chwilę nie ustało w pracy, ale przez lat trzydzieści bez wytchnienia pracowało ile mogło, „szukając nieprzyjaciół

nieprzyjacielowi swemu“ — szukając ich w królewskich pałacach i w chacie półdzikiego Bułgara, w żołnierskich szeregach i w wielkich dziennikach francuskich lub angielskich, w klasztornych celach i w parlamentach, nad Bosforem i nad Sundem, wszędzie, gdzie ich się domyślać kazał ich interes lub zacne uczucie.

„Nie możemy zapuszczać się w obszerne i szczegółowe sprawozdanie. Cztery tomy rozpraw najrozmaitszej treści, a po większej części krótkich, wymykają się, jak każdy łatwo pojmie, z pod szczegółowego rozbioru; iść za redakcyą krok w krok i każde jej słowo z osobna ważyć i sądzić, możnaby jedynie w czterech tomach równej niemal objętości; komentarza takiego niktby nie chciał czytać, skoro za tensam czas mógłby z prawdziwym pożytkiem i przyjemnością obeznać się z dziełem samem. Musimy zatem mówić o *Wiadomościach* ogólnie, dzieląc co najwięcej traktowane w nich przedmioty na pewne kategorye i pomijając (z żalem) wiele pięknych i doskonałych prac, ogólny mieć tylko na uwadze kierunek.

„Rzeczą jest znaną i uznaną powszechnie, że pismo peryodyczne, choć z natury swojej najdalsze od tych utworów ludzkiego ducha, które zowiemy dziełami sztuki, może przecież i powinno mieć swoją harmonię, swoją organiczną, i jeżeli wolno powiedzieć, artystyczną całość. Im więcej tej harmonii, tem lepszem będzie pismo. Nie polega ona oczywiście w zewnętrznych zaletach, ani nawet w wewnętrznej budowie i dobrej proporcyi pojedynczych części lub oddziałów tego pisma, ale w tem raczej, żeby wszystko co pismo to podaje, z jednej płynęło myśli i jednym duchem natchnione, do jednego zmierzało celu. Cel praktyczny, tendencya, jest istotą każdego dziennika i racyą jego bytu; wszystko, co z niego wychodzi i przez niego się rozchodzi, powinno służyć jednej zasadzie, dążyć w tymsamym kierunku, krzewić tesame przekonania. Jak w wojnie żołnierz pieszy i ułan, artylerzysta i inżynier, każdy inną bronią za tęsamą walczy sprawę i jak jeden drugiego wspiera, tak w piśmie, którego redakcya nie jest przypadkowym zbiorem luźnych indywi-

duów, ale gronem ludzi przejętych jedną myślą, połączonych jedną miłością i jedną zasadą, artykuły polityczne, literackie, obyczajowe, ekonomiczne, choć różne przedmiotem, zakresem i sposobem działania, działać przecież będą razem i każdy pozna po nich, że z jednego stanowiska pisane, na jeden i tensam obrachowane są skutek, że sobie wzajemnie pomagają, a wszystkie razem jedną popierają dążność i zasadę.

„Takiej harmonii, takiej zgodności i jednolitości myśli, przy wielkiej rozmaitości przedmiotów, są *Wiadomości* najświetniejszym jaki znamy przykładem w dziennikarstwie, nietylko polskiem, ale europejskiem. Zaleta to dla publicystów polskich (mówimy o znakomitych) łatwiejsza do osiągnięcia, niżeli dla innych; bo im cel większy, a im dalszy także, im większe potrzeby, a im zadośćuczynienie trudniejsze, im gwałtowniejsze złe a im rzadsze i słabsze sposoby ratunku, tem tendencya owa występować musi energiczniej, tem częściej, tem natarczywiej. Dzienniki zagraniczne mogą czasem wypocząć w obronie i dać spocząć czytelnikom; u nas jest *periculum in mora*, u nas czego się dziś nie obroni, z tem jutro trzeba pożegnać się nazawsze; a do tego nie o tryumf stronnictw i doktryn u nas idzie, ale o exystencyę, o przyszłość, o życie. W takich stosunkach to zbliżenie i ta solidarność u piszących, ta jednolitość i zgodność w ich pracach staje się pod naciskiem okoliczności łatwiejszą, niżby była w szczęśliwszem położeniu. Nie dziwujemy jej się też wcale, ale tylko konstatujemy, że w całych tych czterech tomach niema jednego, choćby najdrobniejszego artykułu, któryby się wyłamywał z pod tej ogólnej harmonii, któryby w swoim zakresie nie służył do tegosamego celu, któryby nie był natchniony tąsamą patryotyczną myślą; a czy oddają cześć rzeszowskiemu włościaninowi Maciągowi i jego szlachetnym zapisom dla młodzieży, czy piętnują ofiarę hr. Tyszkiewicza dla cara, czy mówią o zabawach czy o korespondencyach dzienników, o stosunkach kościelnych czy ekonomicznych, o ulotnych pisemkach czy o najpoważniejszych dziełach, zawsze do wszystkiego i wszystkich przykładają *Wiadomości* jednę

i tęsamą miarę użyteczności dla sprawy, a to jedno mając *criterium*, podług niego bezstronnie, *sine acceptione personarum* chwalą, ganią i sądzą, i tego *criterium* trzymają się wiernie przez lat cztery, nie zbaczając od niego ani na chwilę, ani na jednę linię, tak, że istotnie zdawaćby się mogło że wszystko co one zawierają wyszło z jednego umysłu, z jednego serca, z pod jednej ręki; i nie wahamy się powiedzieć, że niema w tych czterech tomach ani jednego artykułu, choćby się w kilkunastu wierszach zamykał, któryby nie miał takiej patryotycznej tendencyi i takiej patryotycznej wartości.

„A temu wielkiemu i rzadkiemu uczuciu obowiązku, które nigdy nie usypia i nie słabnie, towarzyszy równie cenna i może równie rzadka znajomość Polski w najszerszem tego słowa znaczeniu, to jest, znajomość jej wewnętrznego i zewnętrznego stanu i jej interesu. Z pierwszej płyną wszystkie rady, wszystkie nauki, upomnienia i nagany; z drugiej pewne axiomata polityki polskiej, których się *Wiadomości* trzymają i które chcą wprowadzić w świadomość całego kraju.

„Z rokiem 1859 zmienia się stan rzeczy w Polsce. Owe przeczucia o polityce napoleońskiej, o których mówiliśmy wyżej, znajdują faktyczne potwierdzenie w wojnie włoskiej. Wojna o niepodległość jednego narodu, wojna dla idei, krok to zdawał się ogromny ku owemu przeobrażeniu Europy, ku odrodzeniu jej w duchu sprawiedliwości. Musiała wojna ta znaleść odgłos i w polskich sercach, musiała wydać się zwycięstwem w zasadzie sprawy polskiej. Tak też pojmują ją *Wiadomości*. „Placem boju“ mówią one w prześlicznym artykule o Wojnie Włoskiej, „jakkolwiek ciasne granice chciano „i umianoby tej wojnie nadawać, placem boju będzie zawsze „wielki świat chrześciański, i jeśli nie o ziemię, to o duszę „Polski zawsze ta wojna potrąci. Bo duszą Polski jest sprawiedliwość i prawo; gdziekolwiek one stają do boju, duch „Polski jest z nimi, i o nas choć bez nas głosi wszelka „myśl szlachetna, wszelkie słowo twórcze, w paktach Europy „objawione.“

„Ale obok tych korzyści jest i niebezpieczeństwo. Postęp tak znakomity, może umysłom lekkim a gorącym wydać się zwycięstwem samem; gotowe one wziąć kwiat za dojrzały owoc i sięgnąć poń ręką nierozważną i pośpieszną, i zerwać przed czasem to, co jest dopiero nadzieją, zawiązkiem owocu. Fakta dowiodły, że niebezpieczeństwo to urojonem nie było, a wpływ wojny włoskiej na śpieszny rozwój wypadków w Królestwie Polskiem był niezaprzeczony i każdemu z nas znany z doświadczenia. Przed tem więc niebezpieczeństwem, przed tem złudzeniem, przed tym pośpiechem przestrzegają *Wiadomości* od tej chwili aż do końca swojego istnienia, który przypada na koniec roku 1860. Wojna z Rosyą będzie dopiero koroną dzieła, nagrodą trudu i wytrwałości; rachunek z sobą, trzeźwe ocenienie własnych sił, przygotowanie nie powstanie, myśl o sile, nie o wojnie, i wyrabianie tej siły cierpliwością, rozumem, spokojem, to obowiązek Polski. „Pamiętajmy, że jeżeli Piemont teraz cały świat zajmuje, to dla „tego, że przez dziesięć lat sobą się tylko zajmował, kiedy „świat zdawał się o nim zapominać, i że dopiero wskutek „pielęgnowanej wewnątrz siły przyszła mu pomoc z zewnątrz.“ W tym duchu przemawiają *Wiadomości* stale i niezmiennie, a tem silniej, tem wymowniej, im groźniejszem stawało się położenie, które zrazu przewidywane tylko nie wymagało nic prócz przestrogi, a które później wyraźne i rzeczywiste, potrzebować zaczęło gróźb, próśb, zaklęć, dowodów, łez i gromów. Coraz widoczniej bowiem rozchodzić się zaczęło działanie Polaków w dwa przeciwne kierunki. Jedni, licząc się ściśle i trzeźwo z siłami, radzili czekać, czekać choćby najdłużej, ażby Polska wzmogła się w sobie, a Rosya w skutku sprawy wschodniej (lub innej) stanąć musiała do boju z całą Europą; — drudzy, którzy rączy do czynu a pochopni do władzy, wmawiali w siebie, że z dwudziestomilionowego ludu łatwo wyciągną milionową armię, i upojeni odurzającem *farà da se,* które u Włochów nawet było tylko przechwałką nie godną wielkiego narodu, przez konspiracye i organizacye doprowadzili prosto do roku 1863 i jego skutków. Pierw-

szego kierunku nikt w całej Polsce nie bronił dzielniej ani odważniej, jak *Wiadomości*.

„Wierzą one, że odrodzenie Polski przyjść może tylko przez wpływ i pomoc cywilizowanej Europy, na jej równie jak na naszą korzyść; ale widzą i uczą zarazem, że stać się ono musi nie przez zewnętrzne tylko działania, ale przez naszą własną pracę. Własnemi siłami żaden naród podbity nie stoczy nigdy pomyślnej wojny z nieprzyjacielem, mającym na rozkazy wszystkie środki uorganizowanego państwa; ale żaden też nie dźwignie się bez użycia sił własnych, a użyć ich może wtedy dopiero, jeżeli je naprzód pomnoży i dobrze wyćwiczy. Z tego stanowiska wychodząc, w interesie zmartwychwstania Polski, nie przypuszczają *Wiadomości* powstań; bo wiedzą, że gdzie niema armii ani skarbu, tam wojny zwycięskiej być nie może; wiedzą, że konspiracye i organizacye dostarczają wielu wprawdzie jenerałów, ale nie dostarczają ani jednego żołnierza, i że rewolucyjna propaganda może wywołać rozmaite ruchy, ale nie ruchy powstańcze i narodowe. Walczą więc z teoryą własnych sił naprzód, a następnie z konspiracyą. Zrazu walka ta jest zaledwie przestrogą przed złem nieprawdopodobnem, a w najgorszym razie dalekiem; zaczyna ją artykuł z roku 1857 pod napisem: „Nasze zadania i uchybienia"; ale niebawem złe się przybliża, niebezpieczeństwo przybiera kształty wyraźniejsze i rzeczywistsze rok 1859 i wojna włoska, jak z jednej strony działa dobroczynnie na naród i pośrednio na sprawę, tak z drugiej przynosi niebezpieczne złudzenia i zgubne usiłowania. Pomiędzy krajem a zagranicą zaczynają się coraz częstsze stosunki, przejazdy, podróże, i tak zwane missye; z różnych emigracyjnych oficyn wychodzą i milczkiem rozchodzą się po kraju różne peryodyczne i nieperyodyczne pisemka, pełne odezw, obietnic, nadziei i planów; młodzież tak zwana gorąca, coraz gęściej pielgrzymuje do Paryża i Londynu, coraz nabożniej słucha apostołów ruchu, proroków polskiego *farà da se;* symptomy coraz częstsze i coraz groźniejsze; zachcianki powstania, a raczej prowadzenia tego powstania, coraz widocz-

niejsze. Więc miałażby Polska w chwili właśnie, gdy sta Europy coraz bardziej zbliża się do wielkiej katastrofy, w której ona odegrać może tak wielką i stanowczą rolę, w chwili kiedy coraz bliżej do wielkiej wojny europejskiej, i do zbawienia, — powstaniem nieprzygotowanem, słabem, illuzyjnem sama cofnąć i popsuć swoją sprawę? miałażby nie nauczona doświadczeniem z roku 1831, 1846 i 1848 nie wiedzieć, że chwilę swoją upatrywać powinna, i zrzec się dobrowolnie tych warunków zwycięstwa, które jej owa chwila, niedaleka z pewnością przyniesie? miałażby narazić się na to, że kiedy z czasem owa chwila nadejdzie, ona z niej skorzystać nie zdoła? Mieliżby jej synowie jeszcze nie wiedzieć, że nie godzi się Polski na niepewne narażać, i że każde powstanie nieudane, jest nowym szczeblem nie z grobu, ale do grobu że ducha nie budzi, ale zabija; że siły marnuje, nie pomnaża? Widząc sprawę na takiej pochyłości, rzucają się *Wiadomości* do ratunku. Jakiej tylko broni użyć może pisarz taka tam jest użytą, ażeby bałamucących i obałamuconych zmusić do czekania. Rozumowanie i uczucie, zapał i argumentacya, prośba i dowcip, przykłady obcych i własne doświadczenie, ironia i zaklęcie, miłość i zgroza, wszystko tam mówi: „czekać,“ a mówi tak wymownie, tak serdecznie, tak rzewnie, tak strasznie, że dziś jeszcze, zwłaszcza dziś, serce się krwawi czytając.

„Jako ważny objaw życia i ducha publicznego w kraju zajmuje dziennikarstwo polskie obszerne miejsce w *Wiadomościach.* Stanowisko jego, pośrednie niejako pomiędzy polityką czynną a literaturą, działanie jego nieustanne podobne do działania kropli wody na kamień, nadaje mu w każdym razie wielkie znaczenie i wpływ, wedle ducha w jakim działa, dobry lub szkodliwy. Tak jak dziennikarstwo sumienne, rozumne i patryotyczne, może w rozmaitych kierunkach służyć sprawie publicznej; jak się może przyczynić do wyrobienia i rozszerzenia zasad prawdziwej polityki narodowej; jak może utrzymywać, krzepić i krzewić zdrową opinię jak może swoim sposobem naprawiać niejedno złe społeczne

lub niejedne towarzyskie narowy i przywary; jak wreszcie, pośrednio wprawdzie ale nie bezskutecznie, popierać może rozwój dobrego sądu i dobrego smaku w rzeczach literatury lub sztuki; tak znowu dziennikarstwo lekkomyślne i płoche, albo pochlebiające, albo spekulacyjne, albo zawistne, może wykrzywić pojęcia polityczne, bałamucić opinię, tumanić sumienia, literaturę fałszywym sądem prowadzić na fałszywe drogi, słowem, przynosić narodowi nieobliczone i wielorakie szkody. Daje też pismo emigracyjne pilną baczność na krajowych swoich kolegów, a ilekroć zdarzy się któremu zboczyć w jakimkolwiek kierunku, przeoczyć jaki obowiązek, pobłażać lub sprzyjać jakimkolwiek złym nałogom publiczności, natychmiast, w imię dobra publicznego, przywołanym zostaje do porządku. Niema w tem żadnej polemiki, a zbytecznie byłoby mówić, że niema współzawodnictwa z dziennikami; są tylko sprawozdania, a gdzie potrzeba krytyka ich kierunku, przy zupełnem i sprawiedliwem uwzględnieniu tych trudności, z któremi łamać się muszą pisma wychodzące pod surową i nieprzyjazną cenzurą.

„Jeżeli w polityce jeden głównie zarzut, w owym czasie słuszny, robią *Wiadomości* dziennikom krajowym, zarzut nieoględności, łatwowierności względem Rosyi, a niewytłómaczonej i nieroztropnej jakiejś niechęci do Zachodu, z którym związek, jak zawsze, jest warunkiem utrzymania cywilizacyi i tradycyi narodowej, tak w przyszłości musi być warunkiem i środkiem narodowego odrodzenia; to pod względem literackim, artystycznym, obyczajowym, zarzuty są o wiele liczniejsze. Spadają one na tych korespondentów zagranicznych, którzy albo bawią publiczność polską brukowemi plotkami, albo wyrokują dogmatycznie o wielkiej polityce, którą znają z kawiarni; — na korespondentów krajowych, którzy zamiast o moralnym, umysłowym, materyalnym stanie swojego powiatu, zamiast o przebiegu sprawy włościańskiej, zamiast o zasługach lub usterkach obywatelstwa, donoszą o balach i kuligach; — na redakcye wreszcie (głównie na redakcye dzienników warszawskich), że schlebiają panującemu wówczas

delirium artisticum i same szczepią i roznoszą tę niebezpieczną chorobę. Na kierunek tak fałszywy oburza się w *Wiadomościach* i polskie i artystyczne uczucie, i instynkt sztuk i instynkt obowiązku. „Z tym fałszywym kierunkiem, niby a naprawdę antiartystycznym, z tą krytyką równie nieumiejętną jak pozbawioną najczęściej nawet zdrowego w rzeczach sztuki instynktu, prowadzą *Wiadomości* systematyczną kampanię, w której liczne podjazdowe utarczki grupują się naturalnie około walnej i stanowczej akcyi, którą jest najwięcej może znany i rozpowszechniony artykuł o „Sztuce Polskiej.“ [1])

„Krytyka literacka *Wiadomości* jest tego rodzaju, że z żyjących naszych pisarzy-krytyków, dwóch tylko, p. Lucyan Siemieński i p. Małecki, stanąć może śmiało obok krytyków paryskiego pisma. Przyzna nam to każdy, kto przeczyta rozbiór *Krewnych* Korzeniowskiego, *Metamorfoz* p. Kraszewskiego lub *Gladyatorów* Lenartowicza. Co tam za głęboka znajomość zadań i warunków powieści lub poezyi; co za delikatne ocenienie natury i właściwości każdego z pisarzy; co za uznanie zalet każdego utworu obok zawsze słusznych nigdy uprzedzonych zarzutów! Ze stanowiska czysto-literackiego, jestto krytyka poważna, wysoka i uczona; ale że tak jak poezya i literatura w ogóle nie same tylko estetyczne ma w Polsce zadania, tak krytyka nie same tylko artystyczne wymagania stawiać może i powinna, więc ten jeszcze wzgląd ważny podnieść nam wypada, że krytyka *Wiadomości* umie spełniać zarówno estetyczne jak i patryotyczne swoje obowiązki, że ani jednych, ani drugich z oka nie spuszcza, że jednym jak drugim odpowiada w zupełności, i że cokolwiek sądzi, sądzi zawsze z artystycznego lub naukowego, z obywatelskiego i polskiego stanowiska.“

---

[1]) Niespodziewany i wielki postęp, jaki od tego czasu nastał u nas w Sztuce, zaprzecza tylko przewidywaniom autora pomienionego artykułu, ale nie znosi prawdy w jego pojęciach czy o sztuce jako takiej, czy o jej stosunku do innych kierunków życia: ani świetności artykułu samego.

W streszczanie, a choćby tylko wymienienie celniejszych artykułów, wdawać się tu nie możemy; w przypiskach podamy spis artykułów przez Kalinkę spisanych, tak jak on sam w jednym exemplarzu *Roczników Polskich* oznaczył. Nie da się to wszakże zrobić z dokładnością zupełną, bo artykuły *Wiadomości* nie były podpisywane, a po latach wielu pamięć najwierniejsza może się w niejakim szczególe pomylić; i sam świadek klasyczny w tej sprawie Kalinka, nie mógł być pewnym, czy każdy (drobny i mniej ważny) artykuł właściwemu autorowi przypisze. Co wszakże pewne, to, że prowadzenie pisma spoczywało w wielkiej części na Kalince. On układał numera, on wskazywał kwestye które powinny być obrobione; on upatrywał właściwych do każdej kwestyi ludzi; on każdego autora pilnował żeby był gotów na czas. Wszechstronności i żywotności pisma peryodycznego nikt lepiej od niego nie umiał przestrzegać, nikt nie rozumiał lepiej na czem ona zawisła.

Co dziwna, to że on, później tak niezmiernie czuły na czystość języka i poprawność stylu, w tych latach znosił jego potoczność zbyteczną, powszedniość, prawie niedbałość, które raziły wykwintny zmysł artystyczny Klaczki. Niezwykłą swoją piękność pod tym względem zawdzięczały *Wiadomości* temu, nie Kalince.

Z artykułów jego pióra spotykamy naprzód w pierwszym roku mały, ładny i mądry, o *Żalach Polaków na Zachód*, bardzo znaczący jako pierwsza krytyka polskich opinij, upodobań i zwyczajów. W emigracyi wywołał on pewne zdziwienie i wrażenie, ale nie niekorzystne. Gniewano się trochę, ale czytano i zastanawiano się więcej. Uwaga była zwrócona na pismo; utwierdziła ją doskonała, niebawem ogłoszona druga praca Kalinki *Listy o Królestwie*. Po tych Listach następuje znowu Kalinki mały artykuł o *Naszych zadaniach i uchybieniach* i dalej jego zawsze *Listy o Rusi*.

Rok pierwszy wiódł się szczęśliwie; zjednał pismu powagę, a nawet pewną popularność w emigracyi. Nie tyle może skutkiem artykułów Kalinki, ile skutkiem świetnych,

olśniewających artykułów Klaczki, które podobały się bardzo, zwłaszcza kiedy uderzały gwałtownie, jak na Korzeniowskiego naprzykład, z powodu *Krewnych*. Ale ta wziętość nie trwała długo; znikła już w drugim roku. Ten drugi zawiera więcej artykułów Kalinki. Rozpoczyna go *Rząd Rosyjski* (podzielony na cztery rozdziały: o Radzie państwa, o władzy imperatorskiej, o powodach podniesienia sprawy włościańskiej i o polityce zagranicznej), a prawie zamyka drugi: *Polityka rosyjska w Polsce*, obejmujący sprawy gminne, poddańcze, kościelne, i wreszcie stosunek narodu, rządu i samego Alexandra II do Polski. Między te zaś dwa obszerne i zasadnicze, historycznego nawet znaczenia i wagi, wchodzi liczba dość znaczna artykułów mniejszych na rozmiar, nie zawsze mniej ważnych. Ładne wspomnienie pośmiertne Reszyda-Paszy szlachetnego sprzymierzeńca: *Przewodnik Polski w Paryżu*, który przyjezdnego a ciekawego chce uczyć, że powinien poznać w Paryżu nie to tylko co świetne, ale i to co święte, żeby naśladował jak do domu wróci: a więc różnego rodzaju zakłady miłosierne francuskie. I to był ten pierwszy kamień obrazy, na którym padła popularność *Wiadomości*. Wiemy już, że redaktorowie usposobieni byli bardzo religijgijnie, a pod wrażeniem takiej przegranej, jak pokój paryski, nieledwie mistycznie. Kalinka, coraz więcej przywiązany do Kościoła, wtajemniczony (przez Francuzów takich jak ks. Lescoeur i Horacy Delaroche) we wszystkie kierunki i dzieła życia katolickiego, zdumiony i wzruszony niemi do głębi duszy, napisał ten artykuł, który dał hasło i początek do wielkiego krzyku oburzenia na *Wiadomości*, jako na organ niegodziwy obskurantyzmu i jezuityzmu, dla ducha narodowego wielce niebezpieczny. Zbawiennem *antidotum* dla tego ducha, którego pod złym wpływem nie godziło się zostawiać, miał być postępowy *Przegląd Rzeczy Polskich*, pod redakcyą Seweryna Elżanowskiego. A kiedy w roku następnym Klaczko ogłosił *Katechizm Nierycerski*, *Wiadomości* zostały już zupełnie wyklęte przez *postępową* i *gorącą* opinię.

Polska pod trzema obcemi rządami, która otwiera rocznik trzeci, należy, zdaniem naszem, do celniejszych pism Kalinki, tak celnych, że choć z jednego ustępu, z zakończenia chcemy czytelnikowi dać poznać ducha i rozum *Wiadomości*, i tego artykułu, który dziś·jak wtedy powinien być programem wszystkich i praktycznym poradnikiem każdego.

„Do walki moralnej i duchowej, trzeba moralnego wyrobienia i duchowej siły, i oczyszczenia. Pierwszym do niej warunkiem jest wzmocnienie w nas wiary religijnej, która jako Boska, uzdalnia do wszystkiego co wzniosłe i zacne, i stanowi nadto cechę i moc narodowości naszej. Lecz dźwignienie wiary bez gorliwego, przykładnego i oświeconego duchowieństwa, byłoby nader trudnem zadaniem. Ku utworzeniu takowego, wszelkie krajowe starania zwrócić się powinny. Niech zacniejsze, zamożniejsze w kraju rodziny nie skąpią dla Kościoła synów swoich, prawdziwe objawiających powołanie, niech z niem nie walczą, gdy się takowe okazuje; niech im właściwej nauki w kraju lub za granicą dostarczają. Niech stan duchowny ujrzy się otoczony uszanowaniem, ufnością jakie go w dawnych czasach wspierało, a to poparcie stanie się zachętą do przystępywania do tegoż stanu. Poznańskie odznacza się światłem, gorliwem duchowieństwem, które od mieszkańców doznaje poważania i pomocy. Niechże ten przykład z jednej części kraju, i w innych naśladowanie znajdzie.

„Dokładne i zdrowe pojęcie obowiązków szlachty i właścicieli polskich w stosunkach z ludem, jest dla sprawy ogólnej najważniejszem zadaniem. Innego one są rodzaju tam, gdzie lud już posiada ziemię i z zależności dawnych panów zupełnie wyszedł; innego tam, gdzie dzieło usamowolnienia w tym właśnie czasie jest do przeprowadzenia. Wszędzie jednak tażsama myśl w postępowaniu przewodniczyć powinna, że tylko w związku z ludem wyższe społeczeńskie klasy stanowią naród, lub utworzyć go mogą, i że tylko tam, jak to widzimy w Anglii, niepodległość narodowa i prawdziwa

wolność ustaliły się, gdzie te wyższe klasy, gdzie szlachta, obrony ludu i opieki nad nim nigdy się nie wyrzekły.

„Jednem z niebezpieczeństw istotnych, sprawie ogólnej grożących, jest zprowincyonalizowanie rozerwanych części dawnej całości. Jeżeli w myśli naszej zacierać się zacznie pojęcie całej ojczyzny, jeżeli ona przestanie stawać nam na oczy w wyraźnej postaci, a przeistoczy się tylko we wspomnienie, w marzenie wieszczów, w jakiś cień poetyczny: pozostając jeszcze Polakami, już dla Polski pracować przestaniem i dźwignąć jej nie zdołamy. Skłonność do patryotyzmu prowincyonalnego, do działania może użytecznego, lecz oderwanego, zajmowanie się wyłączne miejscowemi sprawami, a obojętność na potrzeby bratnich prowincyj, dają się w tym czasie spostrzegać. Ta dążność upowszechniająca się, jest następstwem wyrobionego przekonania o niemożności podniesienia jego mocy wewnętrznej i znaczenia, razem z ziemią, z mieszkańcami, ze wszystkiemi żywotnemi i twórczemi siłami. Jeżeli odstąpienie od dawniejszego kierunku, który tyle nieszczęść na kraj sprowadził, jest wielce pocieszającem, zapuszczenie się w drugi, bez żadnego oglądania się naokół, nie jest także bez niebezpieczeństwa. Przestawszy być rewolucyonistami, nie dobijajmy się o stanowisko, jakie Kurlandczyki i Finlandczyki w państwie rosyjskiem zajmują. Nie myślmy o rewolucyi, myślmy zawsze o Polsce.

„Jednym ze skutków tego zatopienia się w patryotyzmie prowincyonalnym, jest błędne pojęcie sprawy ogólnej, a więc mylenie się we wskazaniu najniebezpieczniejszego z jej nieprzyjaciół. Kto utrzymał silne i czyste sumienie polskie, tego instynkt zachowawczy ostrzega, że największe niebezpieczeństwo zawsze nam z północy zagraża. W narodowej politycznej wierze, panslawizm jako herezyą na potępienie skazać należy. Nie godzi się go używać nawet jako środka do oddalonych a niepewnych celów. Kto się grzechem posługuje, prędzej czy później sługą grzechu zostaje.

„Jeżeli nas zgubiły anarchia, lenistwo, dworskość, jeżeli później chorobliwe rozmarzenie utrzymało nas w niemocy i

wyzuło z hartu duszy, tylko przeciwne tym wadom przymioty dźwignąć naród mogą. Serca nasze nie ostygły jeszcze, lecz w uczuciach naszych należy pewny ład i sforność zaprowadzić. Rzuciwszy okiem na to, co się dzieje w Europie, widzimy nie w jednym jej zakątku pewną dojrzałość polityczną, wiodącą do zbawiennej jedności. Dali jej nam świeży przykład dawni hołdownicy nasi, powołani przez Europę do objawienia swych potrzeb i życzeń. Czyż Polska nie byłaby zdolna takiej cnoty, na jaką się Multany i Wołoszczyzna zdobyły? Jednakże żądanie jednomyślności w dzisiejszym stanie narodu, byłoby tylko niepodobnem do urzeczywistnienia marzeniem. Do porozumienia się i zgody trwałej, zwykle dochodzi się po walce; zwycięstwo tej stronie zapewnione, która większą działalność rozwinie, silniejszą organizacyę zaprowadzi, do większej odwagi i wytrwałości zdolną będzie. Do prowadzenia tej walki, pozbycie się lenistwa, zachowanie niepodległości, żadnemi podrzędnemi wpływami nie zachwianej, jest koniecznym warunkiem.

„Pracy w żadnym zawodzie nie zaniedbujmy. Starania około podniesienia bytu materyalnego kraju i pojedynczego mienia pochwalajmy, wspierajmy i naśladujmy; lecz uważażając poszukiwaną zamożność nie jako cel, lecz jako środek, środek zapewniający niezależność osobistą i ułatwiający możność łożenia ofiar. Zbrójmy się w odwagę świadczenia prawdy użytecznej zawsze i wszędzie, a więc w to rzadkie u nas męstwo objawienia przekonań przeciwnych hałaśliwym i łatwy obieg zyskującym wyobrażeniom. Jeżeli jaką naukę za zgubną uważamy, walczmy z nią bez złożenia broni.

„Nad młodem pokoleniem rozciągajmy straż pilną, wołajmy na nie, zaklinajmy, aby w kraju uzdalniało się do służby w sprawie narodowej; za krajem, aby miodem pochlebstwa zaprawnych łakoci, często dziwnie ckliwych, do ust nie przyjmowało i ponętę zdradnych nauk odpychało ze wstrętem. Niech w kraju, w którym żyć jest przeznaczona, zamiast oddawać się próżnowaniu lub wyłącznie zatrudnieniom rolnym, młodzież garnie się do służby publicznej, zachowując

zawsze i czystość wiary politycznej i godność moralną. Niech poprzednio nabywszy gruntownego polskiego wykształcenia, usposabia się na zdolnych sług krajowych, dla korzyści i pomocy ziomków w obecnym czasie, a na przyszłość dla użytku wspólnej nam wszystkim ojczyzny. W stosunkach z rządami kraju zachowujmy godność, zacność, bez nieużytecznego ich drażnienia, ale też bez godzenia się i bratania z nimi. Niech wiedzą, że ani uprzejmością jałową, ani dogodnościami wyrządzanemi, ani łaskami osobom pojedynczym świadczonemi, zjednać nas sobie nie potrafią.

„Tak wyrabiając się i kształcąc, taką drogę postępowania obrawszy, uzdolnim się na rycerzy do owego wielkiego duchowego boju, który nam jedynie teraz dozwolony. A tak bój ciągle, wytrwale prowadząc, zmusimy nawet nieprzyjaciół naszych do pamięci o nas, i w dogodnej porze podania nam dłoni, a co najpewniejsza, choćby dla opuszczonych od świata, wybłagamy sobie zacnemi czynami zmiłowanie Boże.“

Kalinka sam cenił ten artykuł, nawet lubił kiedy mu go było wspominać; kiedy znowu *Wyznanie Jereja* — streszczenie jakiejś rosyjskiej, bardzo zajmującej książki o schizmatyckiem duchowieństwie, podobało mu się może z tych własnych mniejszych prac najwięcej; ostatni ustęp tego artykułu pisany był był przez Klaczkę. Klaczki także jest *Sprawa włoska i Opinia europejska* i *Konspiracya i jawne działanie*, ale krótki a tak dowcipny artykuł: *Sofiści i młodzież za czasów Sokratesa*, i *Plan konspiracyi i kadrów powstańczych*, są Kalinki.

W czwartym (ostatnim) roku życia *Wiadomości* (1860) wikłały się sprawy tak, że wybór był coraz trudniejszy, a czujność coraz potrzebniejsza nad sumieniami i nad krokami polskiemi. Wślad za wojną włoską poszła sprawa władzy świeckiej Papieża, i razem działanie coraz śmielsze konspiracyi polskiej. Porozumienie Francyi z Rosyą trwało: ale (w jesieni) odbywał się zjazd trzech monarchów w Warszawie. Położenie Galicyi zmieniało się przez dyplom cesarski z października. Trzeba było wszystko mieć na oku, o wszyst-

kiem wiedzieć, wszystkich przestrzegać. Oto jak to ostatnie traktowane jest w *Wiadomościach* [1]):

„W powołaniu zwiększonej Rady państwa (w lecie 1860) widzą one krok do zmian korzystnych; dyplom październikowy wreszcie witają jako wielki zwrot polityczny, mogący zmienić stanowczo politykę a nawet naturę Austryi i losy Galicyi. Następuje potem dymisya hr. Gołuchowskiego; do władzy przychodzi pan Schmerling i przynosi z sobą patent lutowy, ten zaród sześcioletnich zatargów z Węgrami i niezadowolenia wszystkich nieniemieckich krajów Austryi, powód ciężkiej niemocy państwa. Zwrot ten oceniają *Wiadomości* jako dla Austryi samej szkodliwy i niebezpieczny dla jej przyszłości, jako zły dla Galicyi, ale niemniej zły dla monarchii całej. W ogóle *Wiadomości,* choć nie oszczędzają dawnych austryackich rządów i surowo sądzą politykę którą się one względem Galicyi powodowały, przecież, w owym nawet czasie zachowują widoczną i wielką różnicę pomiędzy Rosyą lub Prusami a Austryą. Nieprzyjaźń ich względem Austryi pochodzi z dawnych krzywd Galicyi, ale nie jest zasadniczą ani nieubłaganą; przedmiotem jej są rządy, systemy, polityka, nie państwo samo. W całych czterech tomach, obok wielu gorzkich skarg na Austryę, niema ani jednego życzenia jej upadku lub osłabienia, *Wiadomości* snać wiedziały, że ze wszystkich państw rozbiorowych Austrya pierwsza będzie musiała wystąpić ze świętego przymierza, i że Polacy w tejsamej chwili przestaną widzieć w niej nieprzyjaciela. Polityka więc tego pisma względem Austryi jest bardzo oględną, bardzo umiarkowaną, rzeklibyśmy nieledwie życzliwą. Wyrzutów, skarg, nagan wiele, ale nienawiści i złej woli niema. Dyplom październikowy przyjmują *Wiadomości* ze szczerą radością, widzą w nim tryumf wolności i zapowiedź sprawiedliwości; patent lutowy budzi w nich niepokój i niedowierzanie, ale nie wpływa to na tę względność i umiarkowanie, które wzięły jakoby za regułę sądów swoich o Austryi i austryackich stosunkach, a

[1]) „Roczniki Polskie.“ *Przegląd Polski* 1868.

która wzmaga się i rośnie z każdym rokiem, w miarę jak wypadki podkopywały absolutyzm w Austryi, i jak słabnął stopniowo dawny związek pomiędzy nią a Prusami i Rosyą. A jak na politykę rządu, tak też baczne zwracają oko *Wiadomości* na zachowanie kraju, któremu świeże zmiany dawały lub przynajmniej zapowiadały większą swobodę działania. Z radością witają każdy objaw przebudzonego ducha, a śledzić w nich można z zajęciem, jak inicyatywa kraju nieśmiała, zrazu niepewna, ograniczona do małej liczby ludzi, wzmaga się coraz bardziej i na coraz donośniejsze zdobywa się kroki. Zrazu jak żeby na próbę czy istotnie opadły wody policyjnego potopu, wychodzi skromna prośba uczniów akademii krakowskiej o zaprowadzenie języka polskiego, i wraca z mniej dobrą wieścią jak gołąb do arki Noego (jesień 1859). W kilka miesięcy później, zwołanie zwiększonej Rady państwa, daje już powód do manifestacyi szerszej i ogólniejszej; adres do powołanych przez Cesarza trzech radców z Galicyi, oceniają *Wiadomości* jako mądry i znaczący krok polityczny. Wreszcie w jesieni 1860 r. nadaje Cesarz konstytucyę; z końcem tegoż roku zbiera się cały kraj nie wołany przez nikogo, i w akcie wielkiej stanowczości i powagi stawia program swoich potrzeb i żądań, a w pierwszych dniach stycznia 1861 składa ten swój program u tronu i wypowiada w nim śmiało, co uważa za swoje prawo w monarchii. Adres ten był wymownem zaprzeczeniem tego twierdzenia, więcej rozpowszechnionego jak uzasadnionego, jakoby w Galicyi duch polski słabł i obumierał. Pokazało się, ze skoro tylko znalazł możność po temu, umiał się i silnie i roztropnie objawić. Pismo paryskie oceniając ten adres, mówi, że „może to jest na„grodą daną Galicyi za wszystko, co przed niedawnemi czasy „ucierpiała, że mogła teraz wystąpić z aktem tak poważnym, „jakiemu podobnego oddawna nie wydała Polska w niewoli; „z jednym z tych rzadkich aktów, co zwracając na nas „uwagę zagranicy, nie był zarazem gońcem nowego dla nas „śmiertelnego ciosu.“ Adres ten jest zarazem ostatnim faktem, jaki *Wiadomości* o Galicyi zapisują — początkom na-

szego życia sejmowego, walkom parlamentarnym naszych posłów w Reichsracie już one nie towarzyszą; przed otwarciem pierwszego sejmu lwowskiego, w chwili właśnie, kiedy prowincya nasza zaczęła grać rolę ważniejszą i ciekawszą, i kiedy sąd *Wiadomości* mógł jej być najpożyteczniejszym, pismo to zakazanem zostało w Prusiech, a straciwszy przez to wstęp do jednego kąta polskiej ziemi który mu stał otworem, przestało wychodzić."

W sprawie władzy świeckiej — będzie to może dziwne dla wielu, co je o *moderantyzm* oskarżają, oświadczają się *Wiadomości* stanowczo za władzą świecką; artykuł *Papież i Polska* pisany był przez Kalinkę. Wreszcie, *Polska w roku 1860,* zamknięcie roku, jego polityczny obrachunek, a zarazem zamknięcie rocznika i pisma, jest wspólną pracą Klaczki i Kalinki.

Czytelnicy *Wiadomości* znali nierównie więcej Klaczkę, niż Kalinkę. Na artykuły tamtego rzucali się z największym zapałem, tego czytali tylko z zajęciem i uszanowaniem. Nic dziwnego: Klaczko swoim talentem olśniewał i porywał, czarował i wstrząsał, działał na uczucie, na fantazyę, na zmysł artystyczny, nawet na zmysł słuchu. Kalinka spokojniejszy, cichszy, nigdy nerwowy, zawsze sobie równy, zawsze doskonale poprawny, wielkim stylistą i wielkim artystą okazał się dopiero w swoich dziełach historycznych. Tam się dopiero pokazało, że to talent i pisarz inny, ale nie mniejszy od Klaczki — i pisarz, na którego doskonałości nie tak bijącej w oczy nie każdy i nie tak łatwo się pozna. W *Wiadomościach* niezrównana świetność *Katechizmu Nie-Rycerskiego, Krewnych, Gladiatorów, Sztuki Polskiej* i podobnych, ćmiła niezaprzeczoną wartość i doskonałość *Polski pod trzema rządami.* Ale pomimo większej świetności, *Wiadomości* bardziej stały Kalinką niż Klaczką. Oba byli konieczni, oba (doskonale z sobą zgodni) byli *Wiadomościami;* oba razem byli tym wybornym rozumem i politycznym kierunkiem, tym trafnym zmysłem polskiego interesu i świętym instynktem polskiego honoru, który w ich piśmie świeci najczystszem, naj-

jaśniejszem światłem. Ale Klaczko zajmował się *Wiadomościami* ogólnie, w *Wiadomościach* tem, co do niego bezpośrednio należało; Kalinka wszystkiem. Wyjątkową świetność wielu artykułów zawdzięczało pismo Klaczce; swoją wyjątkową dziennikarską i patryotyczną doskonałość, swoją wszechstronność, zawdzięczało Kalince.

Na zakończenie mała (smutna) anegdota. Kiedy *Revue des deux mondes* miała pierwszy raz ogłosić pracę Klączki (*Poète Anonyme*. Styczeń 1862), stary Buloz zdumiony pięknością tego co przeczytał, pytał autora, czy był już w jakiem piśmie. Tak: wydawał jedno pismo polskie. *Et combien aviez vous d'abonnès?*

— *Cent.*

— *Cent mille? diable!*

— *Non; Cent.*

Że, prócz w Wielkopolsce, wszędzie były zakazane, to prawda; to też gdy i tam zakazał je rząd pruski, musiały przestać wychodzić. Ale że choć zakazane w Królestwie i w Galicyi, miały zawsze abonentów zamało, to pewna, pomimo wszystkich zakazów zamało: i w Wielkopolsce, gdzie miały wstęp wolny, i u nas, gdzie przecież zakazane rzeczy przekradać umiano. Jak dalece były nieznane, jaka była obojętność na rzeczy literackie i dla znakomitych w narodzie ludzi, można powziąć ztąd, że kiedy Klaczko jako poseł, zabrał głos na sejmie we Lwowie (w r. 1870), zdarzalo się słyszeć wykrzykniki naiwnego ale gorszącego zdziwienia, że on mówi tak rozumnie i tak piękną polszczyzną!

Były *Wiadomości* (w swoich małych rozmiarach) pismem pod względem politycznym i literackim tak doskonałem, jak przed niemi czy po nich nie widzimy, które z pism polskich byłoby im równe. Ale były one i wielką w naszem życiu nowością, wielkim nabytkiem i zwrotem. Znajomość i czujną kontrolę siebie samych, one pierwsze tak wyraźnie, tak silnie affirmowały jako postulat teraźniejszości i warunek przyszłości: z Mickiewicza i Krasińskiego wzięły wzniosły, chrześciański ideał Polski i Europy, a odrzuciły ideali-

zowanie siebie samych; w polityce, jak w literaturze, dążenie do ideału łączyły ze znajomością i z sądem rzeczywistości; w jednej, jak w drugiej mówiły prawdę. Że się podobać nie mogły, nic dziwnego; że na najmędrsze rady ich rozumu i najgorętsze zaklęcia ich miłości ojczyzny zatykano uszy, to pokazało się w bliskiej po nich przyszłości. Nie przydały się; miały garstkę wiernych i przywiązanych, co rozumieli i słuchali, ogół dzielił się na takich co nie znali, takich co nie dbali, i takich co się oburzali naiwnie lub szkalowali przewrotnie. Już w tem dość dla redaktorów smutku, a to tylko jeden z wielu. Czy domyślają się ci — bezmyślni albo przewrotni — którzy na nich gromy swoje rzucali, czy zdolni byli pojąć, jaką przebywa mękę człowiek z sercem jak być powinno, kiedy się spostrzega, że jego naród, który on chciałby mieć najlepszym na świecie i najpierwszym, nie jest nietylko doskonałym, ale nawet tak szlachetnym, jak on sobie dotąd wyobrażał? że jego ojczyzna, którą kocha nad wszystko w świecie, w przeszłości miała w sobie samej mnóstwo przyczyn swego upadku, dziś ma ich w sobie mnóstwo, które jej dźwignąć się nie dają? Czy kto wié, jak się zmienia świat, jak się dusza rozdziera, w chwili takiego odkrycia? Odradza się ona zapewne i hartuje, ale co przebywa, co musi wytrzymać? a potem ten obowiązek powiedzenia prawdy surowej, gorzkiej, bolesnej! kto był zmuszony drugiemu oznajmić nieszczęście, zadać mu cios w samo serce, ten niech spróbuje wyobrazić sobie, ileto kosztuje powiedzieć swemu narodowi: nie jesteś tam gdzieś myślał, ale dalej, bo nie jesteś taki, jak o sobie myślisz! Prześladowanie, jakie się za tę otwartość znosi, jest niczem w porównaniu z tamtą boleścią, ale boli przecie i ono. A dopiero strach o przyszłość, a zawód w najdroższych i pewnych prawie nadziejach, jak pokój paryski...... trudno jest zliczyć, trudno dziś odgadnąć, co przez te lat cztery wytrzymali wydawcy *Wiadomości.*

Bo i dodatkowych przykrości nie brakło. Nieprzyjaciele udaremniali robotę, szkalowali robotników; swoi, nawet bliscy,

nie bronili i nie pomagali. W niewielkiej liczbie abonentów wielkopolskich, gorliwych przyjaciół miały *Wiadomości* jeszcze mniej. Z liczby najwierniejszych był Kajetan Morawski i Tadeusz Chłapowski. W Paryżu samym, u najbliższych chłodna obojętność albo otwarte wyrzekanie się *Wiadomości* i wszelkich spraw ich. Książę Adam je cenił, chwalił w nich poprawność i czystość języka, ale gorącego poparcia nie dawał pismu, choć na nie łożył. Jego najbliższe otoczenie trzymało się jeszcze dalej; serdecznym, gorącym stronnikiem i przyjacielem *Wiadomości* był w tem gronie ludzi jenerał Zamoyski jeden, i druga jeszcze osoba, księżna Marcelina Czartoryska, która dzieliła wszystkie troski i dążenia redakcyi, a nieraz opieką i przyjaźnią swoją umiała przynieść ulgę w trudach i zmartwieniach.

Nie brakło krzyżów i cierni na tej drodze, a co pomogło znosić je tak wytrwale? właśnie to dziwne podniesienie serc, to idealne pojęcie służby, obowiązku, patryotyzmu, które pod wpływem ostatnich zawodów doszło u nich do swego szczytu. Wszystko złe jakie mogło być w Polsce, dawnej czy dzisiejszej, trzeba wyplewić z niej jak chwast — ale najpierwej z siebie samych, bo inaczej nie można drugich uczyć, ani od nich żądać. A więc zmusić się do cierpliwości, bo Polska była popędliwa; do wytrwałości, bo była niestała; do pokory, bo była zuchwała; do wyzucia się z osobistości, bo ona miłością własną i obrażliwością nieraz się gubiła.

„Słowo tylko, to marna połowa
„Arcydzieł życia. Modlitwa jedyna,
„Co godna Stwórcy, od hymnu się wszczyna,
„Lecz nie zna uczuć i czynów rozdziału.
„Co w duszy nosi, to wciela pomału
„W kształt dotykalny,“

a co w drugich chce poprawiać, to poprawia naprzód w sobie! Ofiara z miłości własnej, bezosobistość, to było hasło,

przykazanie, które *Wiadomości* stawiały naprzód sobie. Do jakiego stopnia ona dochodziła, niech da miarę następujący szczegół, choć należący do lat cokolwiek późniejszych. Klaczko napisał pierwszą swoją pracę po francusku, *le Poète Anonyme*, rewelacyę gieniuszu i poezyi Krasińskiego przed cudzoziemcami; przeznaczał ją do *Revue des deux mondes*. Kalinka wtedy przyszedł do niego i powiedział, że z tej pracy można zrobić użytek daleko lepszy. On, Klaczko, pisarzem francuskim i tak nie będzie; cóż mu na tym artykule i na sławie u obcych zależy! Ale gdyby tę pracę ustąpił któremu z Francuzów piszących o Polsce i za Polską, to ten Francuz odrazu miałby zrobione stanowisko i sławę, i wtedy byłby nam nierównie pożyteczniejszy. Klaczko przystał. Żal mu było wyrzec się najpiękniejszej rzeczy jaką był dotąd napisał, najpiękniejszej jaka była i jest o Krasińskim; ale miłością własną gubiła się Polska, ofiara z miłości własnej będzie poprawą, expiacyą — a więc dobrze, zgodził się. Na szczęście dowiedział się o tym zamiarze Zygmunt Jordan; wpadł w wielki gniew na te przesady, na te niepotrzebne mistyczne ofiary, i kiedy sam nie zdołał tamtych przekonać, wytoczył sprawę przed Zamoyskiego. Ten zmiarkował i wytłómaczył im, że ofiara zbyteczna, bo niepotrzebna; niezdrowa, bo szkodliwa; że sława, jaką tem pismem zrobi sobie u cudzoziemców Klaczko, jest także korzyścią, i większą niżby przyniosła sława wielkodusznie darowana Francuzowi. Tej interwencyi Jordana i Zamoyskiego zawdzięczamy, że jedna z najpiękniejszych rzeczy jakie kto kiedy o poezyi polskiej napisał, została własnością Polaka, i przez to, choć po francusku pisana, polskiej literatury. Ale ten fakt daje poznać ten stan duszy, wzniosły a cokolwiek mistyczny, w jakim oni żyli; daje też i miarę tej wysokości, do jakiej drugich sa sobą ciągnęli. *Wiadomości* były doskonałem pismem, ale były fenomenem i wyjątkiem zupełnym pod względem pojęcia, z jakiem redaktorowie przystępowali do dzieła. To była służba Boża, to było powołanie obowiązujące do wyższej doskonalszej cnoty, prawie jak powołanie zakonne; kto tym

sposobem myśl Bożą, prawo Boże, sprawę Bożą, podejmował się krzewić i w życie wprowadzać, ten sam z siebie wszelki stary kwas musiał wyrzucić. Kto dla swego dzieła chciał Bożej pomocy, ten musiał na nią zasłużyć; kto chciał pismem robić dobrze a nie szkodzić, ten musiał prosić o światło, o łaskę, o natchnienie... kiedy w ważnej jakiej kwestyi ważny artykuł miał być napisany, redaktorowie nie zaczynali go pisać inaczej, jak po spowiedzi i komunii. — Było i jest wiele pism sławniejszych od skromnych nieznanych *Wiadomości*, ale wznioślejszego pojęcia publicystycznego zawodu i obowiązku, cnotliwszego jego pełnienia, nie było nigdy i niema.

IV.

Wojna Krymska i pokój Paryski nie przyniosły żadnej korzyści, sposobność oczekiwana od ćwierć wieku przeszła bez skutku! W gorżkiem rozczarowaniu Polski, a przedewszystkiem emigracyi, górowała nad innemi myśl, że powodem tego złego obrotu spraw, była nieznajomość i niezrozumienie rzeczy w gabinetach i w opinii Zachodu. Gdyby rząd francuski wiedział lepiej, ile pokojowi świata zależy na tem, żeby Rosyę odgrodzić od niego czemś coby ją trzymało na wodzy; gdyby francuski naród wiedział lepiej, jaka jest natura i jakie działanie Rosyi, a jaki ucisk tam gdzie ona panuje; gdyby ta opinia zrozumiała, że ideału prawa i pokoju, wolności i sprawiedliwości, do którego wtedy była przywiązana, nie osiągnie bez złamania i upokorzenia tych potęg, które się na bezprawiu i przemocy opierają; gdyby ta opinia sama należycie dawała swemu przekonaniu i żądaniu wyraz energiczny, rząd francuski nie byłby mógł (jak teraz świeżo na paryskim kongresie) na pierwsze słowo ambasadora rosyjskiego udać, że zamyka oczy i ma za dobre to co się dzieje, a za prawdę to co mu mówią. Z tej nieznajomości i tego niezrozumienia wynika, że jak niegdyś za ks. Talleyranda *la question polonaise étant de toutes la plus éminemment européenne*, tak dziś za Napoleona III *l'interêt de la France étant partout où il'y a une cause juste et civilisatrice* — trzeba pozwolić Rosyi robić z Polską, co jej się podoba!

6*

A kiedy nie wiedzą lub wiedzą nie dosyć, że to jest *une cause juste, civilisatrice* i *éminemment européenne*, więc trzeba ich o tem przekonać i to im przypominać, trzeba działać na tę opinię, żeby nie powtórzyło się raz jeszcze to, co się już nieraz i jeszcze teraz stało.

Działać na opinię Zachodu? Jak? przez dzienniki i pisma codzień, przez parlamenty czasem. Tak robią wszyscy. Rosya jedne dzienniki sama utrzymuje, a drugim się opłaca; Włochy taksamo. Najgłośniejsze i *najnieskazitelniejsze* organa opinii stoją na żołdzie Cavoura, a co najmniej przyjmują od niego subwencyę; i wszyscy tym sposobem (ale tylko tym) dochodzą do pozyskania sobie opinii francuskiej, do wpływu na postanowienia francuskiego rządu. Jeżeli sprawa polska ze swojemi zażaleniami i żądaniami, ma znaleść posłuch i narzucić się opinii Zachodu, to musi wszystkim większym dziennikom dostarczać *primo* częstych, ciągłych o sobie wiadomości, *secundo* pieniędzy. W tej mierze co Rosya albo Włochy, oczywiście dawać ich nie może: ale ile może dawać musi, jeżeli chce stanąć i utrzymać się na porządku dziennym.

Z takiego rozumowania wynikła praca, którą nazywano podówczas krótko *Biurem*. Byłato pewna liczba ludzi z różnych części Polski, którzy rozumiejąc powyższą potrzebę, podejmowali się dostarczać wiadomości i korespondencyj, i także dostarczać pieniędzy. Nie byłoto bynajmniej organizacyą: żadnych przyrzeczeń, tem mniej przysiąg, żadnych rozkazów ani posłuszeństwa; żadnej propagandy ani werbowania. Stosunek paryskiego *Biura* do jego przyjaciół i pomocników w Polsce, stosunek tych do osób dających pieniądze, opierał i ograniczał się jedynie na znajomości, ufności i dobrej woli. Żadnego ukrywania czy nazwisk, czy robót, żadnego nawet zobowiązania co do cyfr. Każdy przysyłał tyle pieniędzy, ile ich zebrać potrafił, mniej czy więcej, nikt go o to nie pytał. Nie byłoto tembardziej konspiracyą. *Wiadomości* dowodzą dostatecznie, że w tem gronie ludzi nie było nigdy myśli ani zamiaru ruchawki, owszem był stanowczy przeciw takiej polityce opór, tak silny, jak go nigdy przedtem nikt

w Polsce nie widział. Jak wojna bez objektu do którego zmierza, tak konspiracya nie może być bez jakiegoś faktu, który chce wywołać. Tutaj nie było ani tego, ani innych nieodłącznych znamion, tajemnicy, organizacyi, posłuszeństwa przynajmniej, jeżeli nie przysięgi i propagandy. Prawda, że tak pojęta i założona rzecz, musiała być ograniczoną na małą stosunkowo liczbę ludzi połączonych wzajemnem zaufaniem, wspólnem przekonaniem, dobrą wolą i uczuciem obowiązku; przy małej zaś liczbie ludzi, nie mogła liczyć na wielkie środki działania. To też prawda: nie były one potężne. A jednak wystarczały na to, żeby przez trzy lata opędzać bardzo znaczne wydatki, i zdołały przez trzy lata sprawy polskie narzucić opinii i uwadze świata i utrzymać je na porządku dziennym, aż do chwili, kiedy je zepchnął i w zapomnieniu pogrążył nieszczęśliwy spraw tych obrót, któremu już nie ci ludzie byli winni.

Biuro miało bieżące codzienne czynności i ważniejsze ogólne sprawy. Te ostatnie załatwiały się na tygodniowych sesyach (w środy) pod prezydencyą samego księcia Adama, a po jego śmierci księcia Władysława. W tych uczestniczyli ludzie, którzy swoją powagą i wpływem mieli wstęp zawsze otwarty do sfer rządowych, parlamentarnych, literackich czy dziennikarskich. Oprócz Księcia, jego synów i jenerała Zamoyskiego, oprócz znakomitszych ludzi z kraju, o ile byli w Paryżu, widziało się tam zawsze Teodora Morawskiego i Barzykowskiego, Andrzeja Koźmiana, Ludwika Wołowskiego, który jako Francuz, deputowany, członek Instytutu, pisarz, miał stosunki bardzo rozległe we wszystkich sferach (nie wyjmując nawet rządowych, choć należał do opozycyi). Kalinka i Klaczko liczyli się do młodszych w tem gronie, a kto od nich był młodszy, ten się już nigdy prawie nie śmiał odezwać. Francuzi, Delaroche albo Ravelet, zabierali głos częściej, bo i śmielsi byli, i jako Francuzi miewali prawie zawsze jakieś do Francuzów polecenia, z których musieli zdawać sprawę; młodzież polska przysłuchiwała się cicho a odzywała się chyba z konieczności albo zapytana. Przedmio-

tem takiej sesyi bywały wiadomości i korespondencye, jakie nadeszły w ciągu tygodnia z kraju lub z różnych stron świata (najczęściej ze Stambułu i Bułgaryi); w razie potrzeby kroki, jakie w ich skutku należało przedsięwziąć, informacye, jakie należało podać do wiadomości rządu: wywołanie w Ciele prawodawczem francuskiem i w parlamencie angielskim czy to interpellacyi, czy (gdyby się dało) wzmianki o Polsce w adresie, i w dalszem następstwie dyskusyi. Często jakieś żądanie, zapytanie, objaśnienie do ministrów albo do samego Cesarza: co ma być zrobionem, przez kogo, w jakiej formie? Równie często lub częściej dyskusya nad tem, co odpowiedzieć na jakieś przychodzące z kraju zapytanie lub żądanie; czy się da wykonać albo nie? czy (jeżeli żądano rady) doradzać to lub owo postanowienie i postępowanie, jak w skutku niespodziewanych jakich zmian i zajść zmienić sposób postępowania... Po tygodniu każdy zdawał sprawę z tego co miał zrobić, a każdy tydzień przynosił roboty nowe.

Kiedy zaś na takiej sesyi uchwalono ogólny kierunek, w jakim wobec danych faktów należało wpływać na dzienniki, to zastósowanie praktyczne i szczegółowe tego kierunku stawało się bieżącą codzienną czynnością dość licznych pomocników, Francuzów i Polaków, częścią płatnych, częścią ochotników, pod dozorem Kalinki.

W Bibliotece Polskiej — (na drugiem piętrze w domu jenerała Zamoyskiego, na wyspie św. Ludwika, quai d'Orléans, numer 6) — trzeba było być codzień rano, mniej-więcej o 10tej. Dostawało się do roboty albo listy do pisania, których treść zawsze była wskazana, albo do czytania listy świeżo nadeszłe, z których należało wyciągnąć treść, a w ważniejszych razach robić wyciągi, albo wreszcie wszystkie dzienniki polskie do przejrzenia. Wszystko co one ciekawszego i ważniejszego przynosiły, przesyłało się w krótkiem francuskiem streszczeniu redakcyom zaprzyjaźnionych dzienników. Najczęściej trzeba było dla objaśnienia dodać mały komentarz do faktu lub stosunku, którego inaczej nie byłyby

zrozumiały. Jeżeli zaś chodziło o umieszczenie dłuższego i ważniejszego artykułu, natenczas inspirowało się Francuza, który go miał pisać, obszernym, wyczerpującym wykładem kwestyi. Pisarze takiego znaczenia, jak St. Marc Girardin, Prévost-Paradol, Forcade, sławny kronikarz *Revue des deux mondes*, albo młody podówczas ale już głośny Mazade, odbierali takie *inspiracye* jak inni, z tą różnicą, że nie przychodzili po nie do Biura, tylko chodziło się do nich (najczęściej Klaczko). Kiedy kwestya była ważna i zawiła, wtedy wykład taki podejmował Klaczko albo Kalinka; lżejsze i łatwe zdawano na młodszych. Praca nie była małą. Każdego dnia przeciągała się lekko do drugiej lub trzeciej po południu, a w czasach gorętszych, kiedy wiadomości goniły jedne za drugiemi, trwała często od rana do nocy. Przykrzyła się niekiedy; byłoby się wolało zbijać bruki i przypatrywać się Paryżowi, jak ślęczeć w dalekiej i nieświetnej części miasta nad zadanem *pensum:* ale przykrzyły się chwile tylko, a całość tego życia była dziwnie szczęśliwa, a co dziwniejsza, była powabna; tęskniło się za tem życiem będąc daleko: będąc na miejscu używało się na niem z przyjemnością, z radością, z obawą żeby nie uciekło; a w dalekiej przeszłości, po długich latach jeszcze się je rzewnie i wdzięcznie wspomina.

Wiele-bo rzeczy składało się na ten urok. Francya naprzód, ta Francya zwycięska, i jak się zdawało niezwyciężona, która swoją sprawę widziała wszędzie, „gdzie jest sprawa słuszna i cywilizacyjna.“ Była jakaś nad światem niebieska jasność nadziei, w której świetle wszystko wydawało się wielkiem i uroczem. Francya bohaterską i apostolską, żołnierską, świętą, i czarującą — Cesarz jakimś milczącym księciem Oranii, którýby w swojem milczeniu roztropnie a napewno przygotowywał Republikę chrześciańską Henryka IV; każdy Francuz bratem, a francuski żołnierz najpiękniejszem boskiem stworzeniem, przeznaczonem na zwyciężenie złego na świecie. W tem świetle nadziei ukazywały się także wszystkie podejmowane prace, do których człowiek przywią-

zywał się gorąco, bo myślał że się i one na coś zdadzą i że coś z nich zostanie, a sam się czuł szczęśliwym że choć w najmniejszej, najostatniejszej części, przecież się do tego przyczynia; czuł się wprowadzonym między tych, „w których łonie“ — jak mówi Aligier Krasińskiego — „przyszłość się wypracowuje.“ Wreszcie doznawało się tam tego szczęścia, które Göthe nazywał najwyższem na ziemi, „otoczenie szla-„chetnych umysłów.“ Wrażenie wyższości umysłowej i moralnej, jakie robiło to grono ludzi, było olśniewające, a zarazem przywiązujące i budujące. Każdego z nich z osobna widziało się nieskończenie od siebie mędrszym; rozum wrodzony niepospolity widziało się bogatym w naukę i doświadczenie, panującym zarówno nad politycznemi jak naukowemi kwestyami; znajomość Polski historyczną i psychologiczną, znajdowało się taką, że każda prawie rozmowa otwierała nowe widoki i zostawiała coś w głowie nazawsze. Te zaś inteligencye tak wysokie, tak wykształcone, podnosiły się dopiero do wysokości imponującej przez niemniejszą godność charakterów, przez zapał i poświęcenie dla swojej sprawy, przez ubóstwo znoszone odważnie, chętnie, poprostu i wesoło. W każdym codzień odkrywało się coś nowego i zdumiewającego, nieznane świetności umysłu lub nieznane cnoty, a wszyscy razem stanowili taki zbiór światła i przykładów, wobec którego człowiek czuł się naprzód nieskończenie małym, a potem obowiązanym z takich wzorów korzystać. Jedyny kłopot, to kiedy między nimi zdarzały się różnice zdań. Który ma słuszność? a raczej który może jej nie mieć, kiedy wszyscy tacy mądrzy? A różnice takie oczywiście zdarzać się musiały. Nie trzeba sobie wyobrażać sielanki, bynajmniej. Natury bardzo rozmaite, a wszystkie wybitne i silne, niektóre nerwowe i drażliwe z urodzenia, drugie rozdrażnione wszystkiemi kolejami życia, łączyły się w miłości swojej sprawy, w zrozumieniu jej potrzeb i w szacunku wzajemnym, ale się nieraz wzajemnie niecierpliwiły, nawet odpychały. Stosunki codzienne były z tego powodu każdemu z nich nieraz trudne; każdy musiał zadawać sobie przymus, trzymać się na wodzy; tem pięk-

niejszy przez to był ten stosunek ufności, jedności, przyjaźni zasadzonej na wyższych względach i potrzebach. Dziwnie też wszyscy kazali się szanować i podziwiać. Że na księcia Adama patrzało się z najgłębszą czcią, to prosta rzecz: był w nim cały wiek historyi polskiej, wiek, którego wszystkie bóle były w tej duszy i zostawiły w niej ślad, a ta summa przebytych w życiu tak długiem kolei i zdobytych zasług nadawała mu majestat, jakiemu równego w naszym wieku nie miał żaden z Polaków. A do tego z całą żywością umysłu i gorącością uczuć pomimo lat dziewięćdziesięciu, miał urok dobroci i uprzejmości wielkiej, obejście pełne życzliwości, łaskawe i ośmielające każdego. Jenerał Zamoyski przez swoją intelligencyę wyjątkowo świetną, przez swoją wspaniałą postać Łazarza, wiecznie cierpiący jak na mękach, a wiecznie czynny bez wytchnienia, miał inny rodzaj uroku, ale urok nie mniejszy. Klaczko, autor tych wszystkich pism, które się na pamięć prawie umiało a chowało w sercu jak katechizm — *rycerski* i polityczny, kiedy czasem wpadł w zapał lub w dobry humor i zaczął mówić... ale nie mówmy o tych co żyją, kiedy na ich pochwały, dzięki Bogu, jeszcze nie czas. Dlatego też nie zatrzymujemy się nad Leonem Zbyszewskim, który przybył później, a jednem swojem pismem *(La Pologne et la cause de l'ordre 1863)* kazał się uważać za pisarski i polityczny talent tej prawie siły, co Klaczko. Niezwykłą, a pomimo despotycznego i szorstkiego temperamentu, sympatyczną naturą był Zygmunt Jordan, którego publiczne nieszczęścia i własne niepowodzenia w roku 1863 rychło potem wpędziły do grobu. Oficer świetny i tęgi, z wielką podobno wojskową zdolnością, bardzo bystry i z dyplomatycznym nawet obrotnym rozumem, pełen honoru i godności, zbyt dumny niekiedy, drażliwy często, usposobieniem swojem czasem drugich gniewał, ale wartością swoją kazał się zawsze wysoko cenić i szanować. Później także przybył, ale znaczył między nimi bardzo wiele Bronisław Zaleski, i Henryk Wyziński, profesor uniwersytetu moskiewskiego. Umysł miał bardzo niepospolity, serce bardzo szlachetne, a koniec

bardzo smutny, w melancholii, która się stała prawie obłąkaniem i śmierci jego powodem. Najbardziej idealną duszą młodzieńca i takąż intelligencyą, był Horacy Delaroche [1]). Jedno tylko było w nim złe, to taki zbytek dobrego, taka do wszystkiego zdolność, że jednej górującej nie było, zdolnej utwierdzić go w jednem powołaniu. Była taką wprawdzie zdolność polityczna, stworzony był na posła i mowcę: ale przekonaniami złączony z generacyą roku 1830, osobistemi stosunkami przywiązany do rodziny Orleańskiej, nieprzyjaciel zacięty wszelkich cezaryzmów, jak wszelkich głosowań powszechnych, za cesarstwa do żadnej służby nie byłby wstąpił, nawet gdyby zdrowie zawsze złe było mu na to pozwoliło. Zamiłowanie i znajomość sztuki miał we krwi, jako syn swego ojca a wnuk i prawnuk wszystkich Vernetów, a wyrobił je do najdoskonalszego znawstwa i smaku. Nikt nie był wrażliwszym na piękność, nikt zdolniejszym wskazać ją i określić. Ale pociąg i zapał był prawie większy do nauk, filozoficznych i lekarskich mianowicie. Do tego uzdolnienia dodać jeszcze trzeba wiarę, pobożność i stałość religijnych przekonań, jakich się u młodych w tym stopniu nie spotyka, miłosierdzie najcichsze a najczynniejsze względem ubogich, chorych, opuszczonych, nieszczęśliwych, i wielki wdzięk rozmowy i obejścia: a złoży się z tego istota ludzka rzadko wyjątkowo piękna. A ten prawie ideał stawał się dopiero ideałem przez to, że był prawie tyle Polakiem co Francuzem; że nie było nigdy cudzoziemca coby Polskę lepiej i wyżej pojmował, bardziej do niej przylgnął, głębiej rozumiał czem ona może być dla drugich, i jakimi drudzy mieliby być względem niej. Z mnóstwem znajomości i stosunków, z doskonałą znajomością paryskiego gruntu, ze zmysłem praktycznym większym niżby się zdawało, Delaroche był w tych robotach nieoceniony radą, pomocą, rozumem i darem przyciągania drugich. On uczył młodych Francuzów co to Polska,

---

[1]) Bliższa o nim wiadomość w *Przeglądzie Polskim*. Czerwiec 1879.

on ich zapalał, z jego szkoły wyszli tacy, którzy zostali wiernymi do śmierci. Taki był naprzykład młody adwokat Armand Ravelet (zmarły jako redaktor *Monde'a*), podówczas najgorliwszy i najzdolniejszy z młodych autorów artykułów i broszur o sprawach polskich. Inny, obiecujący jako pisarz, dużo talentu, dużo zapału, był Henryk Lasserre; ale natura południowa, wrażliwa i namiętna, zapału była zdolniejsza jak statku, i do przesady w zapale jak w oburzeniu skłonna. Jednak wytrwał i ten do r. 1863, i na wdzięczne wspomnienie zasłużył, bo czasu ani trudu nie żałował, szczerze chciał pomagać i służyć, i niejeden raz bardzo dobrze coś napisał. Ci byli katolicy gorliwi, i z kilkoma innymi związali się w bractwo pobożne, które się nazywało *Oeuvre de St. Stanislas*, a za cel miało chwalić Pana Boga, dobrze czyniąc Polsce. Ale byli i nie katolicy wcale, jak stary p. Letellier, niegdyś bardzo głośny nawet dziennikarz, albo i podówczas głośny i znaczący Elias Regnault, którzy chętnie te informacye i inspiracye przyjmowali i wedle nich pisywali. Kiedy zresztą o Francuzach mowa, to byłaby niedokładność i niewdzięczność największa, gdyby się opuściło księdza Lescoeur, autora dzieł tak znakomitych, że pisane w doraźnym praktycznym celu, zostały jako źródła i podstawy do całego okresu historyi Kościoła w Polsce. Ale ksiądz Lescoeur nie był jeden. Wpływ Montalemberta pierwszy zdaje się usposobił po polsku Oratoryanów, utwierdził zaś ten wpływ Zamoyski, poczęści Delaroche i... Kalinka. Ksiądz Gratry, dwóch braci Perraud — (jeden zmarły, drugi obecnie Biskup w Autun) — to były sprężyny tej akcyi, która nawet w literaturze francuskiej i w kaznodziejstwie zostawiła piękne pomniki, pomniki zarazem tej wspólności i łączności francuskiego i polskiego ducha, w którą wtedy wierzono, za którą kiedyś oby nie płakano, jak za dobrowolnie utraconem dobrem.

Sekretarzem biura i utrzymującym jego papiery był Ignacy Plichta, syn sekretarza Rządu Narodowego w r. 1830, a przedtem więźnia w Petropawłowskiej cytadelli, przyjaciel, a w lat parę później szwagier Horacego Delaroche. Jak ojciec był jedną

z wielkich powag emigracyi, matka (Emilia z Pilchowskich) jedną z najświątobliwszych a zarazem najmilszych starych niewiast, tak, że każdy ją czcił i lgnął do niej z jakiemś synowskiem uczuciem, tak syn w swoich młodych latach i w swoim rodzaju był także doskonałością. Był bardzo cichy i skromny, a bardzo rozumny i przenikliwy: zupełnie bez żółci, nie bez attyckiej soli w dowcipie; pewny jak skała, pracowity i pilny, jak rzadko bywa chłopiec z intelligencyą i wyobraźnią żywą; w przyjaźni serdeczny i wierny, w przywiązaniu oddany całą duszą; o swojej wartości nie wiedzący wcale, a o sobie tak nie myślący, jak żeby go wcale nie było na świecie; więcej jak szlachetny, bo w każdem uczuciu i położeniu aż nadto prawie delikatny, przytem pełen życia i młodzieńczej wrażliwości, choć napozór bardzo spokojny, był z urodzenia i z natury cnotliwy a przytem bardzo miły, i im lepiej poznany, tem milszy. Zbyt często taki młodzieniec doskonały nie dochodzi lat męskich; i on umarł młodo (w roku 1866) z gwałtownej jakiejś anginy, która zrazu zdawała się nieznaczącym bólem gardła. Przywołany (dla ostrożności tylko jak sądzono) lekarz, zbladł i powiedział, że rzecz skończona, niema ratunku, do 24 godzin musi umrzeć. Nie należą te szczegóły do naszego przedmiotu, jednak niech się godzi zapisać jeden, który rzuca niejakie światło na te wybrane dusze i na te charaktery. Po takim wyroku doktora trzeba było przygotować rodziców, oznajmić im, co na nich w przeciągu tej doby spaść miało. Oboje myśleli, że syn jest tylko trochę słaby. Ojca jakoś uwiadomili w kilku razem: ale jak powiedzieć matce! Wtedy skazany na śmierć syn oświadczył, że z jego ust ta prawda będzie jej jeszcze najznośniejszą i że on lepiej niż ktokolwiek potrafi ją uspokoić. Zostawiono ich samych, a po godzinie zastano rozmawiających o jego śmierci z takim spokojem i rezygnacyą, jak żeby chodziło o zwykłe rozstanie. Świadkowie mówili, że to było coś tak wzniosłego i świętego, że zdawało się widzieć św. Augustyna z matką po tej ostatniej rozmowie opowiedzianej w Konfessyach — z tą różnicą, że

nie matka syna, ale syn matkę przygotowywał na swoją śmierć i pocieszał.

A cóż wśród nich Kalinka? Na pierwszy rzut oka najmniej ze wszystkich zwracał uwagi. Nie robił effektu, wydawał się takim jak wszyscy ludzie, a nawet może raczej odpychał niż pociągał. Mały, w ruchach nie zbyt zgrabny, później w sutannie miał i postawę lepszą i więcej fizyognomii. Na księdza ta głowa i postać miala dużo charakteru i nawet harmonię; jako świecki, w świeckiem ubraniu, z wąsami i bródką, wyglądał na niezupełnego księdza. Może z powodu ruchów i układu, może przestając wiele z pobożnymi Francuzami, niechcący przejął od nich ten układ który między nimi zdarza się nierzadko, ale dość, że gdyby nie szpiczasta bródka, możnaby go było wziąć za zakrystyana. Sposób mówienia powolny i aż nadto dobitny, z mimowolnemi ale zbytecznemi przyciskami na niektórych syllabach lub słowach, dla nieprzyzwyczajonych był nieprzyjemny, a młodych i pustych kusił do łatwego udawania. Do tego, każdego świeżo przybyłego, a zwłaszcza młodego, brał zaraz na examin: chciał przeniknąć jaki on jest i czy może z niego co być, a ten examin tem mniej się podobał, że bywał zwykle nieszczególnie zdany. Dopóki chodziło o rzeczy ogólne, ducha prowincyi lub niegodziwości rządu, odpowiedzi szły gładko, a młodociana swada znajdowała pole do popisu. Ale gdy pytania sięgały głębiej, do rzeczywistej znajomości stanu kraju, do różnych szczegółów (podatkowych, szkolnych, kościelnych itd.), pokazywało się, że examinator znał przedmiot daleko lepiej niż examinowany, i następowało pewne upokorzenie nie bardzo przyjemne. Prócz tego jeszcze badał delikatnie i dyskretnie, ale dość stanowczo, religijne człowieka usposobienie i przekonania, i bardzo prędko przenikał jego słabości i wady; a tem wszystkiem obrażona osobista godność młodzieńcza, zżymała się i pytała *in petto*, „co jemu do tego“? Dość, że zrazu Kalinka wydawał się ze wszystkich najmniej uderzającym i najmniej sympatycznym. Ale kto pobył dłużej i bliżej się rzeczom przypatrzył, u tego to wra-

żenie zmieniało się nieznacznie, z każdym dniem więcej, aż po niedługiem doświadczeniu i zastanowieniu, zamieniało się w przekonanie, że właściwie wszystkie te roboty są na głowie Kalinki, w jego ręku się skupiają i na nim się opierają jak na filarze trzymającym całe sklepienie. W pewnym szczególnym przymiocie czy darze, każdy z towarzyszy mógł być świetniejszym od niego: ale żaden nie miał tylu przymiotów naraz, i żaden tego daru żeby o wszystkiem wiedzieć, wszystko prowadzić, nic nigdy z oka nie spuścić. To, co miał do prowadzenia, nie było to ministeryum, ale w mniejszym zakresie było do tego podobne; a tym *spiritus movens*, który wszystko poruszał, sprawy rozpoczęte posuwał, brał inicyatywę w tych które podjąć się dały, a wszystkie do rychłego i porządnego wykonania doprowadzał, był Kalinka. Z ludźmi bardzo uprzejmy i delikatny, nie przełożony nad nimi i bez podwładnych, bez prawa rozkazywania, skoro wszystko było służbą ochotniczą z dobrej woli, umiał przecie wszystkich tak krótko trzymać, że go słuchali, tak doglądać i pilnować, że zawsze musieli zrobić i na czas, to czego się podjęli. Miał zaś ten dar szczęśliwy, że zawsze odgadł, kto do czego może być właściwie i pożytecznie użytym. Ludzie są najrozmaitsi, a niebrak między nimi ograniczonych, tępych, niezdatnych. Otóż dla Kalinki, nikt nie był niezdatnym; w głębi swego przekonania musiał wielu uważać za tępych i ograniczonych, ale nawet zupełnie głupiego nigdy nie lekceważył, bo i najgłupszy w pewnym razie do pewnego rodzaju roboty właściwie użyty, może oddać jakieś, czasem niepoślednie usługi. Do tego umiał, jak nikt drugi, ludzi do roboty zaprzęgać. Jak on to robił? Bez kazań i morałów, ale działał na uczucie obowiązku, na patryotyzm, na wstyd, działał na każdego inaczej, stósownie do jego usposobienia, ale na każdego temi środkami i na każdego swoim przykładem. Po krótkiej znajomości, po kilku rozmowach rozszerzał się zakres widzenia, ukazywało się wyraźniej i liczniej wszystko co zrobionem być musi, jeżeli Polska ma się dźwigać; mierzyło się i liczyło się wszystkie stopnie upadku, a

im niżej się stało, tem się goręcej pragnęło i stateczniej ślubowało nie spocząć, nie stanąć, póki się wszystkich sił nie wyczerpie, żeby się choć trochę wyżej wydobyć. Nikt nie umiał jak on wziąć człowieka za łeb (żeby się rubasznie wyrazić) i wydobyć z niego wszystko, co ten człowiek przy swoich zasobach rozumu i zdolności zrobić był zdolny. Umysł polityczny przedewszystkiem i do spraw politycznych głównie wówczas zwrócony, obejmował równie dobrze i równie żywo brał do serca wszystkie sprawy, pożytki i postępy nauk, literatury, języka, nawet sztuki (choć w tej jednej jego zmysł nie był tak bystry i trafny, jak w innych gałęziach cywilizacyi).

Nadewszystko zaś sprawy kościelne. Jakiemi drogami i stopniami to postępowało, nie wiemy, ale to pewna, że w tych latach (1860) Kalinka był nietylko najściślej prawowierny i gorąco pobożny, ale był tak przywiązany do Kościoła, jak świecki człowiek jest rzadko, a świecki Polak jeszcze rzadziej. Powołanie duchowne, sądzę, że jeszcze wtedy wyraźnie w jego sumieniu się nie stawiało, ale musiały już wtedy zjawiać się czasami pytania, czy nie byłoby najlepiej zostać księdzem. Przyjaciół miał i kochał wielu między świeckimi, ale zwierzał się i wywnętrzał, o sobie samym mówił tylko księżom, u nich szukał rady w wątpliwościach sumienia lub walkach zewnętrznego życia. Z ks. Kajsiewiczem łączył go już wtedy stosunek bardzo ścisły wzajemnej przyjaźni i ufności, ale i pewnej uległości. Znakomitych duchownych francuskich szukał, znał, nie opuszczał ich kazań i konferencyj. Do sakramentów uczęszczał pilnie — kto wié, czy nie już wtedy codziennie; przynajmniej w późniejszem życiu zdarzało mu się mówić: „kto codzień bywa u komunii św. i odprawia godzinę medytacyj, ten musi skończyć na klasztorze.“ Duszą jego prac, jak początkiem i końcem jego rozmów, był Bóg i Jego służba, Kościół i jego miłość — służba ojczyzny była formą służenia Bogu, jej miłość częścią i stopniem Jego miłości, częścią konieczną, która miała w sobie swój cel, ale nie była skończoną i z tym celem czemuś wyższemu służyła,

i o tyle była żywotna, niezwyciężona i nieśmiertelna, o il
miłością Boga przejęta i prowadzona, z niej czerpiąca sił
na wszystko, w niej miała pewną igłę magnesową, przy któ
rej zbłądzić nie mogła. W tem gronie ludzi, do którego na
leżał, był Kalinka i jenerał Zamoyski skrajną prawicą ka
tolicką, jeżeli się tak można wyrazić. Nie było tam an
jednego, którýby przeciw wierze czy Kościołowi był w czen
wykroczył, i kiedy w Rzymie, ogółem wziąwszy, byli ni
zbyt dobrze widziani i uważani za chłodnych niepewnycl
katolików, byłato niesprawiedliwość pochodząca z nieświado
mości, poniekąd może z tego zbyt częstego u cudzoziemców
mniemania, że wszelkie działanie polskie musi być konspiracyj
nem i rewolucyjnem. Na dworze rzymskim zaś bywali zawsz
ludzie, starannie w tym błędzie utrzymywani przez intereso
wanych, i łatwowiernie poddający się temu błędowi; w owyn
czasie był kardynał Antonelli. Co być mogło, to, że jeden
uważał Index za niepotrzebny, a drugi rząd papieski za nie
doskonały, lub podobnie; takie odstąpienia od rzymskicl
przekonań być mogły, ważniejszych nie było. Nawet w spra
wie władzy świeckiej — a ta przecież artykułem wiary ni
jest — *Wiadomości* stały szczerze i zupełnie na stanowisku
rzymskiem. Jakkolwiekbądź, ufność prawdziwą miał Rzyn
tylko do Zamoyskiego, i do Kalinki, o którym (zapewn
przez księży polskich) już był coś wiedział.

Ustalony i rozpłomieniony w życiu duchownem, Kalink
był i w niem energiczny i wielorako czynny, wstępnie dzia
łający i organizujący, jak wszędzie. Chciał należeć do wszyst
kiego co należy do życia chrześciańskiego, i chciał, żeb
wszystko co do tego życia należy, znajdowało się w życi
polskiem. Z tego popędu wyszła ta organizacya miłosierdzi
i zaszczepienie jego praktyki wśród młodzieży polskiej, uczą
cej się lub bawiącej w Paryżu, polska konferencya św. Win
centego a Paulo. Chrześciański, ale i cywilizacyjny cel i po
żytek tego Towarzystwa zbyt jest znany; w Polsce prawi
go wtedy nie było, prócz w Poznaniu. Zmusić młodych Po
laków do odwiedzania chorych i pocieszania nieszczęśli

wych; przerwać tym widokiem nieustanną admiracyę przepychów Paryża; zbliżyć ich do różnych rodzajów materyalnego i moralnego upadku i skłonić ich do dźwigania upadłych, co za *antidotum* naprzód przeciw różnym niebezpieczeństwom Paryża, co za możliwy dla obu stron pożytek i co za pomnożenie zasobu polskich zasług, jeżeli się ta praktyka miłosierdzia rozejdzie, rozkrzewi po Polsce. I nie zawiódł się Kalinka. W Paryżu wiele nieszczęśliwych rodzin polskich znalazło pomoc, a nieraz odzyskało i cześć staraniem tej konferencyi która do dziśdnia działać nie przestaje, a wielu jej członków po powrocie zakładało nowe po miastach polskich. Zakładał je i sam Kalinka, i jest niezawodnie jednym z tych co do rozszerzenia Towarzystwa św. Wincentego u nas przyczynili się najwięcej.

Człowiek przyzwyczajony do bardzo czujnej kontroli własnego sumienia, hamujący wszelkie poruszenie uczucia gorszego, czy gniewu, czy złośliwości, czy miłości własnej, dochodzi do takiej władzy nad swoją naturą, że ją z czasem przemienia, a przynajmniej przełamuje. Tak zaś trzyma ją na wodzy, że ona występuje mało i mało daje się poznać. Dlatego psychologiczny wizerunek Kalinki jest do zrobienia bardzo trudny. Dwadzieścia kilka lat znajomości i przyjaźni, mogły nie wystarczyć na to, by dać poznać jakie były jego wady, a choćby jego słabości; chyba żeby za wadę i słabość chcieć liczyć to, że lubił partyę wista z mężczyznami, a wieczorem przy herbacie rozmowę z paniami, którą on miał za światową, a która zawsze do tego zmierzała, nieraz się i na tem kończyła, że te panie miały coś przedsięwziąć, coś zrobić, coś sobie przyrzec.... To pewna, że w tych latach z gwałtownych uniesień i oburzeń Kalinki młodego, z namiętności i zarozumiałości Pęcławskiego nie zostało nic. Był spokojny, łagodny i cierpliwy. Namiętność jeżeli się odzywała, to w oburzeniu na rzeczy złe lub podłe, ale i wtedy gniew ledwo wybuchnął, zaraz się musiał miarkować i wracać pod posłuszeństwo. Z wrodzonych ludzkich skłonności, najtrudniejszą do przezwyciężenia musiała być dla niego

duma. Zkąd ten domysł? Ztąd, że zmuszanie się, przelamywanie się do pokory było ustawiczne i było czasem aż widoczne. W tem znak, że ze wszystkich cnót ta musiała być najtrudniejsza, że ciągle sam siebie pod tym względem obserwował, ćwiczył, chciał przez zwyczaj dojść do praktyki, przez praktykę przejąć się tą cnotą. Urazy i krzywdy — a zdarzały mu się ciężkie i bolesne — zawsze darował, a od pierwszej chwili znosił cierpliwie, nie dawał nic po sobie poznać. Ale żal, gniew, oburzenie, odzywały się kiedy zostawał sam, i szarpały go — wiemy to napewne — tak, że walki z sobą samym bywały bardzo ciężkie, a uspokojenie się i przebaczenie bardzo trudnem nad sobą zwycięstwem. Później, już w kapłańskim stanie, musiał się pod tym względem znacznie zmienić i uspokoić.

Stosunków szukał tylko z ludźmi o których przypuszczał, że mogą się na coś przydać, a przyjaźnił się tylko z tymi, którzy tej nadziei nie zawiedli. Z tego wynikało, że choć całą emigracyę znał, a przynajmniej mógł znać i widział, to odwiedzał tylko takich pożytecznych, o innych nie pytał. Figury i domy emigracyjne, nieraz bardzo nawet znane i poszukiwane, dla niego były obce. Tylko w pojęciu tej pożyteczności był bardzo szeroki, i gdzie jakiś pierwiastek dobrej woli zobaczył (miał zaś na to wzrok bardzo bystry), tam starał się zaraz i najczęściej potrafił za ten jeden włos człowieka uchwycić, do roboty go wciągnąć, a w górę go ciągnąć. Co w nim było zdumiewające dla tego kto się już znać na nim nauczył, to znajomość natury polskiej we wszystkich stopniach złego czy dobrego, i na wszystkich stanowiskach. Z wrodzonej jakiejś intuicyi, z tej władzy odgadywania i przeczuwania, jaką miewa czasem miłość (i miłość ojczyzny także), on zawsze każdy postępek zbiorowy czy osobisty, w przeszłości czy teraźniejszości, umiał psychologicznemi powodami objaśnić; w przyszłości umiał prawie zawsze trafnie odgadnąć, jaki postępek będzie skutkiem danych i widocznych psychologicznych powodów. Ten dar, ta znajomość, to jedna z wielkich sił Kalinki jako historyka, jedna z na-

czelnych zalet jego historyi. Jeżeli znajomość historyi ma być politycznie skuteczną i pomocną, to musi historya być zarazem i psychologią narodu. Takich psychologów Polski, jak Kalinka, mieliśmy bardzo niewielu. I wreszcie jedna jeszcze własność którą się w nim odkrywało prędko, to instynkt i znajomość polskiego interesu. On przeczuwał w czem ten interes i gdzie leży tak, jak niektórzy ludzie czują, gdzie pod ziemią kryje się zdrój wody; on znał wszystkie jego szkopuły i niebezpieczeństwa; w każdym stosunku i położeniu wiedział jak, którym prądem, którym przesmykiem tę biedną łódź puszczać, żeby się nie rozbiła, żeby w jakiejś przystani spoczęła, żeby znalazła to co jej do dalszej, do szczęśliwszej żeglugi potrzebne. Ten zmysł polskiego interesu, który się dał poznać w *Wiadomościach*, później w dziełach historycznych i wielokrotnie w galicyjskich sprawach (choć ksiądz Kalinka do tych czynnie się nie mięszał), tensam dawał się widzieć i w praktycznem działaniu na emigracyi: aż do ostatka, do roku 1863. Nie przekonał ani pokonał strony przeciwnej, nie udaremnił jej polityki, nieszczęścia nie odwrócił, ale był.

Z końcem lutego 1861 zaczęły się czasy najgorętszej czynności Biura, jego usiłowań podwojonych w kierunku opinii francuskiej i w kierunku opinii polskiej, którą wypadło ostrzegać, upominać, oświecać, uczyć, zaklinać wreszcie. Zaczęła się walka, którą ta strona emigracyi prowadziła z drugą energicznie i sumiennie, i w której przegrała.

Doniesienia o pierwszych (lutowych) wypadkach w Warszawie, zastały ją nieprzygotowaną, zaskoczyły, wydały się istotnie czemś przypadkowem, nie obmyślanem, może szczęśliwem zrządzeniem. Te wypadki miały charakter tak wzniosły a pozór tak pomyślny, że za pierwszem zdziwieniem przyszło jakieś uniesienie, jakiś niby początek nadziei. W pierwszej chwili zdawało się naprawdę, że moc cofa się przed dobrą sprawą i prawem; zakłopotanie i bezradność ks. Gorczakowa, który rządy Warszawy zdawał na obywateli, a pytał czego chcą od cesarza; zachowanie się ludności

i poważne i zręczne razem, zdawało się znakiem zmiłowania Bożego. Kiedy stary książę Adam ze łzami radości powtarzał: *le ressort est brisé* — wierzyło się, że on, co Rosyę znał tak doskonale, mógł dostrzegać trafnie, że coś się w niej złamało: a kiedy wierzył że nadchodzi lepsza przyszłość i rozjaśniał się nadzieją, myślało się, że za wiek cały cierpień i zasług, Bóg przed śmiercią może mu dał tę pociechę dobrego przeczucia. Naprawdę, z tem rozrzewnieniem i rozradowaniem (które tak się pięknie odzywa w jego ostatniej mowie w Towarzystwie Historycznem 3 maja 1861), wyglądał trochę na Symeona odchodzącego w pokoju, bo się doczekał Zbawienia świata. O tem nie pomyślało się pod pierwszem wrażeniem, że nikt (a Polak może najtrudniej) długo w usposobieniu wyjątkowo wzniosłem utrzymać się nie może, a że Rosya nadługo nie może być dobrą. Rychło też zaczęły się rzeczy wikłać i krzywić: jedni zbaczali z drogi jasnej i prostej, na której stać się zdawali; drudzy pokazali, że sprężyna się nie złamała tylko ugięła, ale się zaraz (choć zrazu ostrożnie) podniosła.

W tych wypadkach, jakie było stanowisko i działanie Biura?

Pierwszem staraniem musiało być oczywiście to, żeby w sporze między Polską a Rosyą, opinia francuska, a pod jej działaniem rząd, stanął po stronie Polski, nie Rosyi. To jest jasne, i z tego powodu nikt zarzutu nie robił. Nie było to łatwem, bo cesarz miał i chciał koniecznie utrzymać dobre stosunki z Rosyą; przecież staranie było o tyle skutecznem, że oświadczyć się za Rosyą, a Polski się wyprzeć, rząd francuski nie mógł, było niepodobieństwo moralne. Ileto kosztowało zachodów, trudów i czasu, i jakie nastały gorące czasy pracy dla Biura, to, równie jak przebieg jego starań i stanowisko jego w każdej chwili tych wypadków aż do końca, pokazałoby się z jego papierów, których obecnie niemamy pod ręką. Jedno tylko wspomnieć musimy, jako należący koniecznie do życia Kalinki szczegół. Mowa księcia Adama na posiedzeniu Towarzystwa Historycznego 3go maja 1861 r., ta

ostatnia mowa Księcia, prawdziwie jak żeby jego pożegnanie z Polską i dane jej ostatnie błogosławieństwo, a zarazem doskonała dla niej nauka i rada, była w części redagowana przez Kalinkę. Książę sam napisał cały jej szkic, a niektóre ustępy sam wypracował, naprzykład wspaniałe zakończenie. Ale go to pisanie męczyło i dlatego wyręczał się Kalinką w tej mierze, że ten ustępy środkowe na podstawie szkicu Księcia i pod jego dozorem wykończył. W dwa miesiące później książę Adam już dogorywał. Ostatni list, jaki w życiu napisał (drżącą ręką i bardzo krótki) był do tego zaufanego, wypróbowanego pomocnika i gorącego wielbiciela. Jego także pomocy użył przy pisaniu swojej ostatniej woli, tego testastamentu, który był ostatnim jego politycznym aktem, a miał być programem i regułą postępowania dla politycznych przyjaciół i stronników, ubezpieczeniem ich kierunku i działania na przyszłość. Książę częścią dyktował ten testament, częścią mówił co w nim stać miało, a napisane ustępy kazał sobie czytać. Własnoręcznie mógł go już tylko podpisać.

Śmierć księcia była dla Kalinki ciosem bardzo bolesnym. Nie przerwała ona przecież i nie zmieniła nic w czynnościach Biura i w jego polityce.

Ale czy to wszystko było potrzebne i czy było rozumne? Tak ludzie nieraz i pośród nas nawet pytają. Jedni przypisują tym emigracyjnym zabiegom winę wypadków 1863, i zwalają na tych ludzi odpowiedzialność za ich następstwa: drudzy wątpią, czy było już nie mądrze, ale poprostu słusznie narzucać się państwom zachodnim na nauczyciela i uporczywie ukazywać im ich interes tam, gdzie go same nie widziały. A przecież one tylko mogły i miały prawo być sędzią swojego interesu; przecież one muszą rozumieć go lepiej niż my? i jeżeli one mówią (Francya naprzykład), że Polska nic ich nie obchodzi, a Rosya nic im nie szkodzi, owszem wielce im jest potrzebna i miła, to darmo, możemy tego żałować ale nie możemy zmienić; a uczyć ich że inaczej być powinno, to jest i zarozumiałość i brak praktycznego zmysłu i nawet brak godności.

Odpowiedzmy na to pokrótce.

Co do wypadków roku 1863 naprzód, ta część emigracyi nietylko ich nie pragnęła ani przygotowywała, ale im się od początku do końca opierała; dużo wcześniej niż się na nie zanosić poczęło, już ona przestrzegała przed znaną teoryą „utrzymywania ducha“ za pomocą ruchów nie prowadzących do celu. Błąd więc jeżeli był, to mógł być w dwóch tylko razach: przed wybuchem w nie dość energicznym i nie dość praktycznym oporze; po wybuchu w przyznaniu się do powstania i w jego popieraniu. Czy i o ile można było postąpić inaczej, a przynajmniej dlaczego tak postąpiono, o tem niżej. Co zaś do owej zarozumiałości niby i naiwności, która pojąć nie mogła, żeby świat bez Polski mógł się obchodzić, choć mogła się przekonać że się bez niej doskonale obchodził? Niektórzy z nas tak zmądrzeli niby i tak spraktycznieli, że się z tych emigracyjnych niedorzeczności dowcipnie śmieją, i uwierzyli sami, że nic naturalniejszego jak przyjaźń Zachodu, a zwłaszcza Francyi z Rosyą, a obojętność całego świata na to, co się dzieje w Polsce i z Polską. Nie można im się dziwić nawet, bo przekonała ich Francya sama; jak nie można także dziwić się i Francyi, że z głębokiego żalu do Polski za to, że była powodem nieporozumienia z Rosyą w roku 1863, przeszła do otwartej a nawet do nieszlachetnej antypatyi, a przez Prusy zdeptana, raz istotnie przez Rosyę od powtórnej napaści zasłonięta, przewidująca, że te dwie potęgi sąsiednie kiedyś zderzyć się z sobą będą musiały, wmawia w siebie i w Rosyę tę wrodzoną niby przyjaźń, szuka w tem złudzeniu pociechy na dziś a nadziei na jutro, i z łatwowiernością nieszczęśliwych rozkochuje się we wszystkiem co rosyjskie. Kto sam wiele razy się mylił, ten się nie dziwi pomyłkom drugich, i psychologiczne ich powody zgaduje łatwo a widzi jasno. Przecież nie dziwiąc się temu co jest dziś, a rozumiejąc doskonale, że ćwierć wieku temu Napoleon III z Rosyą zrywać nie chciał i ze swego stanowiska nie był powinien, trzeba wbrew wszystkim powiedzieć, że owa emigracyjna polityka miała słuszność, że stan Europy

rozumiała lepiej, że widziała dalej, a przewidywała trafniej, niż wszystkie gabinety i rządy.

„Dane bywa Polakom“ — mówi ksiądz Kalinka w zakończeniu drugiego tomu *Sejmu* — „chwytać z góry rze-„czy nie codzienne, nieraz dziwne i niepojęte dla obcych, „wznieść się nad pojęcia ogółu, przeczuć jakoby myśl Bożą, „i tę myśl bez wyrachowania i kombinacyi jedno siłą du-„cha i łaski nieba w życie wprowadzać, a przynajmniej „stawić jako program do wykonania na czasy dalsze.“ Polityka emigracyjna, ta niedorzeczna niby utopia i dziecinne złudzenie, była takim programem (na dalsze nieszczęściem) nie na dzisiejsze czasy; streścić ją można w krótkiej formule: „Prawo narodów nie będzie prawdą, dopóki „się nie oprze na narodowem prawie własności.“ Czy było zarozumiałością głosić tę naukę? Zarozumiałością wydaje się każda wyższość, dopóki nie zwyciężyła: utopią każda prawda, dopóki własna szkoda nie nauczyła ludzi, że ona jest i prawdziwą i prostą. W tym razie była ona do zrozumienia tem łatwiejszą, że świat europejski z własnego długiego doświadczenia mógł się już dowiedzieć, że zbyteczny wzrost i przewaga jednego, musi się obracać na szkodę wszystkich; że nigdy bezkarnie nie da się zniszczyć to, co Bóg stworzył a czas wytworzył; i że elementarna znajomość spraw uczy między dwóch stałych i silnych sprzymierzeńców wsuwać takiego, ktoby ich przegradzał, a państwom zaborczej natury zaborów nie ułatwiać, ale je utrudniać i przyrodzonych lub historycznych granic nie dać im przekraczać. Do tego dodaje sumienie i honor jeszcze jedno prawidło, o którem dziś próżno mówić, ale które jest prawidłem w zdrowej i daleko patrzącej polityce: rozróżniać między bezprawiem a prawem, a faktu dlatego że dokonany, nie uznawać jeszcze za prawny. Wszystkie te nauki historyi i polityki stare jak Europa a jasne jak słońce, poszły w zapomnienie i w poniewierkę. Czy z korzyścią dla świata, to inne pytanie. Instynkt polski nieraz miał słuszność i okazał się trafnym, a gdyby inni słuchać go byli chcieli, byliby na tem sami wyszli najlepiej.

Nie byłyby Prusy tak śmiało darły się naprzód w samo serce Francyi, gdyby nie były bezpiecznie plecami oparte o Rosyę. Nie byłby dawny Elektor Brandeburski dawnego Cesarza Niemiec z Rzeszy wyrzucił, gdyby od Szlązka do Pomorza był musiał swoich granic pilnować od możliwego sprzymierzeńca Cesarza. Nie — polityka polska nie była ani niedorzeczna, ani utopijna. Jedno było w tej nadziei złe, to że trafna sama w sobie nie umiała być taką w zastósowaniu, w wyborze chwili: „bez wyrachowania i kombinacyi," jak mówi Kalinka. Instynkt był wszystkim wspólny, do kombinacyi wszyscy zdolnymi być nie mogą. A w emigracyi właśnie ci co mieli instynkta tylko, nie chcieli nigdy tym wierzyć i iść za tymi, co rozumować, rachować, i czekać umieli. I ci swoim brakiem myślenia popchnęli Polskę do kroku, który ją zgubił, i Francyi przyniósł szkody nieobliczone, i w ramiona Rosyi ją popchnął.

Że to grono ludzi do powstania pchało, to mogli myśleć i mówić tylko tacy, którzy o tych ludziach, ich przekonaniach, ich polityce, nie mieli najmniejszego pojęcia i żadnej zgoła znajomości, choćby tyle, ile jej powziąć można z prostego przeczytania *Wiadomości Polskich.* Ta polityka emigracyjna taksamo powstania nie chciała, jak go nie chciała tak zwana Biała Dyrekcya w Warszawie, jak Leon Sapieha we Lwowie, jak Adam Potocki lub Mann w Krakowie (ci ostatni nie mieli żadnych z Biurem stosunków i byli mu raczej niechętni). Wszystkie korespondencye (jeżeli będą kiedy ogłoszone), dowiodą, że Biuro stanowczo i najusilniej od początku do końca przestrzegało przed wszelką organizacyą, i od ludzi na których wpływać mogło, żądało najenergiczniej żeby do żadnej nie dopuszczali, każdej opierali się całemi siłami.

Ten zarzut jest zupełnie niesłuszny. Zostają dwa inne: czemu ci ludzie nie oświadczyli się głośno, jawnie i śmiało przy margrabi Wielopolskim; i czemu, kiedy powstanie już wybuchło, nie oświadczyli się przeciw niemu, ale dali się w nie wciągnąć? W jednym jak w drugim razie postępując

inaczej, byliby może zdołali wiele złego odwrócić; a wpływ mieli: Andrzej Zamoyski i jego stronnicy na ich głos byliby pewno zważali.

Obu tym pytaniom służy naprzód jedna odpowiedź wspólna:

Zarzucano emigracyi zawsze, że chce krajem rządzić, nie znając jego położenia, kiedy powinna jego natchnień słuchać i do jego potrzeb swoje działanie stósować. Emigracya wiedząc o tem, strzegła się pilnie wszystkiego, coby mogło wyglądać na kierunek przez nią krajowi narzucony. Rozumiała i wierzyła że nie powinna rządzić, ale trzymając się tego co kraj chce i robi, dla jego zamiarów opinię zagraniczną zjednywać. Robiła uwagi i dawała rady, ale nie ona wytykała kierunek. Nie oświadczyła się za Margrabią, bo nie oświadczył się za nim kraj; nie oświadczyła się przeciw pierwszym powstańcom, bo nie zrobił tego kraj. W jednym i drugim razie inicyatywa, przykłady, nie do niej należały i nie od niej skutecznie wyjść mogły.

Co zaś do margrabi Wielopolskiego, łatwo jest dziś mówić i ganić, ale słusznie jest pamiętać, że wtedy ludzie nie mogli tak czuć i myśleć, jak dziś. Kiedy zasada wolnych narodowości wydawała się fundamentem przyszłego urządzenia Europy, ideałem, w którego urzeczywistnienie wierzyli wszyscy; — kongres wiedeński zaś wydawał się (jak rzeczywiście był) zdartym i nikogo nie obowiązującym; system Margrabiego mógł się zdawać wygodnym i korzystnym stanem przejściowym, ale stanem na stałe złym, którego nikt życzyć sobie nie mógł. Zaś przyjmując go, oświadczając się za nim, trzeba było zrobić to uczciwie i rzetelnie, przyjąć i dotrzymać warunków. Nie mówiąc o tem, że prędzej lub później, ale spodziewano się wyjścia lepszego niż to, było doświadczenie, była pamięć Aleksandra I, która mówiła, że takim zgodom dowierzać nie można. We wszystkiem, co z Paryża do Warszawy pisano, powtarzało się zawsze, żeby broń Boże Margrabi nie przeszkadzać, owszem pomagać, żeby do wszelkiej pod nim służby wstępować. Najgorętsi i najniesprawie-

dliwsi oskarżyciele tych ludzi, ci, którzy żadną miarą nie chcą czy nie mogą rozróżnić między emigracyą spiskującą i rewolucyjną, a tą, która taką nie była, nawet ci przyznają, że Władysław Zamoyski swoim wpływem pomagał Wielopolskiemu w Anglii [1]). Niechęci do Margrabi nie było, jak on jej nie miał do tych ludzi, z którymi owszem parę razy szukał stosunków, czego ślady może się dotąd w paryskich papierach znajdują. Ostatni raz, było to w jesieni roku 1860, przed zjazdem trzech monarchów w Warszawie. Biuro sądziło, że sumienie jak polityka nakazują Polsce zabrać głos w tej chwili: chciało jednobrzmiącego memoryału z Królestwa, z Wielkopolski i z Galicyi. Memoryał był ułożony, opierał się na warunkach i przyrzeczeniach kongresu wiedeńskiego. Chodziło o ludzi, którzyby go podali; rzecz była tak drażliwa, że wymawiali się jedni po drugich. Margrabia był właśnie w Paryżu, i on wydał się Zamoyskiemu właściwym człowiekiem. Odwagi nie zabraknie mu z pewnością, a do jego politycznego zmysłu myśl ta trafi. Udał się więc Zamoyski do Margrabi, który w zasadzie pomysł pochwalił, memoryał wziął do przeczytania i w parę dni później obiecał dać stanowczą odpowiedź. Jakoż przyszedł do Zamoyskiego, i miała się zacząć dyskusya w obecności Klaczki i Kalinki. Nieszczęśliwym przypadkiem i nieostrożnością Zamoyskiego stało się, że w tejsamej chwili znalazło się u niego paru innych, nie wezwanych, których Jenerał pozbyć się nie miał jakoś odwagi. Margrabia, który przed nimi otwarcie mówić nie chciał, a wyobraził sobie, że byli i wezwani i uwiadomieni o sprawie, zraził się tem i mówić już nie chciał. Ale adres przez niego ułożony w końcu lutego r. 1861, był w treści swojej z owym memoryałem zgodny. Jak zaś nie było niechęci i uprzedzeń przeciw niemu, dowód najlepszy w tem, że po jego przyjściu do władzy pierwszy artykuł, który publiczność francuską oświecał o tem, kto był Margrabia, dla niego w najwyższym stopniu korzystny i przychylny, wyszedł

---

[1]) Lisicki: *Aleksander Wielopolski*. T. I, str. 157.

w *Debatach* z inicyatywy Biura, a pisany był przez Klaczkę. Wiary w jego system dlatego być nie mogło, bo było przekonanie, że jak on się dla Polski dobrym okaże, to go Rosya odwoła i obali. Zupełnego zaś porozumienia z Margrabią i zapału dla niego nie było (w tej części emigracyi, jak w kraju) dlatego, że Margrabia uchodził za autora Listu do księcia Metternicha, na który przekonanie tych ludzi godzić się nie mogło.

Co się zaś tyczy roku 1863, znowu jeżeli kto miał oświadczać się przeciw wybuchowi, to emigracya dopiero w drugim rzędzie, a w pierwszym kraj. Jeżeli znaczący obywatele w Królestwie, w Galicyi, w Poznaniu, nie wyparli się powstania i nie powiedzieli że go nie chcą, to emigracya za nich zrobić tego nie mogła, i jej rolą było tylko starać się, żeby z danych wypadków jakąś korzyść wyciągnąć. Dlaczego zaś w kraju nikt śmiało i otwarcie nie wystąpił przeciw temu co się gotowało? Nie żeby potrzeby nie rozumiano: takiego zrozumienia i to w najrozmaitszych sferach dowodzi choćby korespondencya i ówczesne pisma osoby znaczącej, a z tą częścią emigracyi bynajmniej nie złączonej, jak panna Żmichowska. Ale dlaczego podobnych nie było więcej, dlaczego nie były głośniejsze i skuteczniejsze? czy z braku odwagi? W pewnej części zapewne: ale więcej dlatego, że trudnem było przed doświadczeniem i szkodą to, co po nich wydaje się koniecznem i obowiązkowem. Dziś rozumiemy, że sumienie i miłość ojczyzny nakazują wystąpić otwarcie przeciw wszystkiemu co naraża jej byt, choćby miało najponętniejsze i najwznioślejsze ideały i miana; wtedy zdawało się, że można powstanie odradzać dopóki go jeszcze niema, ale od chwili jak się stało, patryotyzm i honor nie pozwalają głośno powiedzieć że ono złe, choć się to w skrytości serca wié i czuje. Oto jest najistotniejszy powód, dla którego po 22 stycznia roku 1863 nikt przeciw powstaniu nie wystąpił w kraju, a w skutku tego nikt w tej części emigracyi, o której tu jest mowa. Żeby ona była spiskowała, to jest zupełna i absolutna nieprawda: jak jest znowu rze-

czą oczywistą, że na tę drugą spiskującą i „organizującą“ część emigracyi wpływać i działać nie mogła, ani jej oczów otworzyć, ani na zgubnej drodze powstrzymać.

Kiedy te wypadki wybuchły, Kalinka nie był w Paryżu. W listopadzie roku 1862 zaszło pewne między nim a kolegami nieporozumienie. Powód był następujący. Potrzeba było człowieka pewnego do pilnowania spraw polskich w Rzymie. Kalince wydał się do tego doskonałym pewien Francuz, z którym też zaczął mówić i posunął się dość daleko w układach, nie przypuszczając, żeby inni członkowie Biura mieli o tym człowieku nie takie jak on wyobrażenie. Pewien aprobaty, gdy zdał sprawę ze swoich rozmów z Francuzem, pokazało się, że inni nie mieli do niego zaufania. Ztąd żal jednych do Kalinki, że się nieostrożnie posunął: i żal jego, że po wszystkich swoich usługach i zasługach, musiał się wycofać z układów, które był uważał prawie za skończone. Wina w tym wypadku, wina nieostrożności, była po jego stronie, czego na razie jednak nie widział i nie czuł. To pewna, że zajście to było mu bardzo bolesnem, tak, że wolał wyjechać z Paryża. Udał się do Rzymu. Czy nie z myślą wstąpienia do zakonu? Być może: myśl ta z pewnością nasuwała mu się nieraz, a w chwili kiedy był zmartwiony i dotknięty, kiedy sądził, że do ulubionych zajęć paryskich nie wróci już nigdy — (istotnie nie wrócił) — w takiej chwili on musiał koniecznie wahać się i sam z sobą pasować, czy ma pójść na księdza lub nie. Bez pewności i na domysł, ale sądzę, że cały ten czas pobytu w Rzymie był tylko długim namysłem, przygotowaniem do postanowienia. Głównym jego powiernikiem i pośrednikiem w tej sprawie sumienia i powołania, był ksiądz Kajsiewicz, z którym bardzo wiele (najwięcej) przestawał. Że się coś między nimi ważyło, to było widoczne po obudwóch; obadwa szukali drogi dla Kalinki, chcieli dojść; jaką mu przeznacza ta *Wola Boża*, której oba chcieli być sługami i narzędziami. Wskazówką i dowodem tego może być choćby tylko szczegół następny. Daleko za murami, na drodze Appijskiej, jest mały, ubogi i opuszczony,

zawsze zamknięty kościołek *Domine quo vadis*. Podanie mówi, że św. Piotr widząc się w niebezpieczeństwie, chciał umknąć przed prześladowaniem, i tą drogą wychodził z Rzymu. O parę staj od miasta zaszedł mu drogę Pan Jezus. Św. Piotr zdziwiony, zapytał: „*Domine quo vadis?*“ — Idę do Rzymu — była odpowiedź — „dać się ukrzyżować zamiast Ciebie, „kiedy ty nie chcesz być ukrzyżowanym za mnie.“

Św. Piotr wrócił do miasta, a na miejscu tego spotkania stoi kościołek.

Czyja była myśl, nie wiem, ale do tego kościołka wybrali się prosić o natchnienie, co mają robić, gdzie pójść albo zostać, żeby przyjąć ten los, ten krzyż, jaki każdemu Bóg przeznaczał. Ksiądz Kajsiewicz miał mszę; słuchał jej ksiądz Kaczanowski na samem wyjezdnem do bułgarskiej misyi, już z brodą zapuszczoną, już po przyjęciu wschodniego obrządku, a Kalinka, także na rozstajnych drogach, przystępował do Komunii św.

Natchnienie było dobre i może sprowadzone przeczuciem, że trzeba im nowego pokrzepienia i nowych sił, żeby dźwigać te krzyże, które na nich i na naród spaść miały.

Kalinka, który pomagać i służyć chciał, ale nie chciał przyjąć odpowiedzialności za żadne postanowienie, za kierunek spraw, wrócił do Paryża ale na krótko. Prosił, żeby go wysłano na jakieś miejsce, gdzieby miał tylko polecenia odbierać i wykonywać. Wspólna akcya dyplomatyczna trzech mocarstw była rozpoczęta; zdawało się, że z jej postępem będzie dobrze a nawet koniecznie wciągać w nią mniejsze państwa; zdawało się, że agent polski w Szwecyi może się przydać. Kalinka pojechał do Stockholmu, gdzie już do końca tych wypadków przebywał.

V.

Kiedy powrócił do Paryża, co myślał lub zamierzał, powiedzieć nie umiemy; to co się działo przez następnych lat dwa, jest nam w ogóle bardzo niedokładnie wiadome. Co się działo w duszy Kalinki, to może zgadywać po sobie każdy, kto w tych czasach żył i czuł. Że przebył wstrząśnienie straszne, wskazuje choćby ta okoliczność, że po powrocie wpadł w chorobę ciężką, podobną do tej która go zabiła (zapalenie mózgu), był w wielkiem niebezpieczeństwie, do zdrowia wracał bardzo pomału. Opiekunem jego w tej chorobie jak w tylu innych wypadkach, był Jenerał Zamoyski i jego rodzina.

Co dalej począć? co robić? co jest do roboty w tem rozbiciu, w tem zawaleniu się polskiego świata? Oto było niezawodnie (kiedy przyszedł do zdrowia) pierwsze pytanie człowieka, który spoczywać nie umiał, który zawsze musiał coś ratować, coś dźwigać albo naprawiać, jakiemś działaniem Boga chwalić a ojczyźnie służyć. Co robić? rola emigracyi była skończona. Wpływ polityczny na Zachód wywierać będzie kiedyś Polska sama jeżeli będzie; przed tem ktoby tam o jakiejś akcyi myślał, ten byłby dzieckiem albo szaleńcem, a tłómaczyć i przekonywać, to rzucać groch na ścianę albo ciąć pałaszem w wodę. Za granicą politycznie nie ma do roboty nic. Wyświęcić się i pójść do Zakonu? To postanowienie, blizkie, zdawało się, przed wypadkami, musiało się od-

dalić, nie było jeszcze dojrzałe. W r. 1866 Kalinka pytany raz (przez swego kolegę w Biurze a później w Zakonie Leona Zbyszewskiego), coby chciał robić, czegoby jeszcze dla siebie pragnął, dał odpowiedź charakterystyczną, że jeżeli czego, to pragnąłby zostać sekretarzem namiestnika we Lwowie.

— Czemuż nie namiestnikiem? kiedy już marzyć, to dobrze.

— Bo sekretarz daleko więcej może robić jak namiestnik.

To marzenie wskazuje, że się życia świeckiego jeszcze nie zarzekał; dowodzą tego i inne rzeczywiste starania. Zostać sekretarzem namiestnika, to było marzenie do spełnienia trudne; ale Wydział krajowy czy mógłby zkąd dostać lepszego sekretarza jak Kalinka? Zaczęły się (w roku 1867) ostrożnie nie starania nawet ale pytania, czyby Kalinka nie mógł mieć widoków na taką posadę. Marszałek ks. Leon Sapieha odpowiedział, że nominacya jego obraziłaby takich, którzy od początku Wydziałowi służą, — i na tem się skończyło. Równie bezskuteczne były pytania, czy po śmierci Adolfa Mułkowskiego nię mógłby dostać się do Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie. Najbliższym urzeczywistnienia był pomysł, żeby zostać sekretarzem nie namiestnika, ale Rady Powiatowej! Z Podhajec przychodziły formalne pod tym względem propozycye. Oto, co na nie Kalinka odpowiadał (w liście do p. Ludwika Kastorego z d. 28 września 1867 r.).

„Twój list nietylko mnie nie zdziwił, ale owszem, był „mi prawdziwie przyjemny. Oddawna pragnę jakiegoś obo„wiązku na ziemi polskiej, ściśle ograniczonego, któremu „byłbym w stanie podołać. Gdybym był księdzem, tobym za „istotne szczęście poczytywał sobie mieć parafię. Chociaż nie „znam zakresu działania Rady Powiatowej i obowiązków jej „sekretarza, to jednak z tego, coś mi mówił o niej, pojmuję „jej ważność i przyjąłbym chętnie podobny urząd, *pod je„dnym wszakże warunkiem:* żeby była nadzieja, jeżeli nie „pewność, że będzie można przez dłuższy czas na nim pra„cować. . . . Jeżeli Podhajce przez zetknięcie z Rusinami cią„gnęłyby mnie do siebie, to jednak tyle się już zrosłem z ży-

„ciem naukowem, że trudnoby mi było wyżyć bez pewnych „naukowych zasobów. Dlatego, wyznaję, wolałbym sekretar- „stwo w Dzikowie; pisałem o tem do Stasia. W liście swoim „wspominasz, że pensya sekretarza wynosi prócz mieszkania „1000 do 1200 rocznie, ale nie dodajesz czego. Gdyby to „miały być złote polskie, to choć byłoby dosyć aby się wy- „żywić kartoflami, nie dosyć jednak, aby utrzymać potrzebny „ton z członkami Rady. Jeżeli zaś mowa o reńskich, to zkądże „się wezmą pieniądze na sekretarzy?... Moje lata przepę- „dzone na emigracyi nie posłużą mi w kraju: już to wiele, „jeżeli mi ich za złe brać nie będą, i trzeba będzie dorabiać „się na nowo pozycyi, jak temu lat pietnaście zaczynałem „w Paryżu. Mniejsza o to, bylebym tylko znalazł jakieś pole"....

Widocznie zatem do klasztoru jeszcze w jesieni r. 1867 się nie wybiera; czy jednak zgoła o nim nie myśli? to inne pytanie. Tensam przytoczony list kończy się poleceniem, żeby przez październik pisywać do niego do *Solesmes*. Wprawdzie jeździł on tam nieraz i nie dla siebie, tylko z księdzem Guépin przygotowywał *Życie św. Jozafata*, które tamten miał właśnie pisać. Ale i rekollekcye tam odbywał, i pewnie szukał w nich natchnienia i postanowienia, czy ma zostać księdzem albo nie.

A tymczasem co sam robił?

Nie ma nic do zrobienia w polityce, ale jest jedna wielka rzecz: polityki się uczyć, żeby błędami przeszłości ostrzeżony naród nie wpadał w podobne na przyszłość, jeżeli mu kiedy przyszłość jaka się otworzy. Ale na jakim przykładzie, na jakim przedmiocie tę naukę wyłożyć? Mało na którym wykładałaby się sama tak naturalnie i tak wszechstronnie jak na życiu księcia Adama, z którem się łączą wszystkie trafne i wszystkie błędne kroki polityki polskiej, od pierwszego rozbioru do ostatniej świeżej zagłady. A do tego któż bardziej na historyę swego żywota zasłużył? A kto znowu bezpieczniej pisać ją może, jak człowiek, który w ostatnich latach był prawie nieodstępnym Księcia pomocnikiem i powiernikiem jego myśli, który znając go doskonale w starości,

mógł przez to rozumieć dobrze jego myśl i jego naturę w latach młodszych, który nadto był do niego całą duszą przywiązany? Kalinka przedsięwziął pisać żywot księcia Adama. O historyi ani myślał jeszcze, zapewne nie domyślał się, że mógł ją pisać; czuł się tylko na siłach napisania biografii. Ale kiedy nad tą zaczął rozmyślać, dostrzegł zaraz z tym instynktem historyka, który w nim tkwił bezwiednie, że historya księcia Adama jeżeli ma coś znaczyć i czegoś uczyć, to musi rozwijać się na tle historyi polskiej; a jeżeli ma być zrozumiałą, to musi być opartą o wypadki dawniejsze, wynikać z całego tego politycznego stanu Polski, wśród którego książę Adam chował się i dojrzewał, którego skutki dźwigało jego pokolenie i on sam. Wziął się więc Kalinka do studyów nad epoką Stanisława Augusta. W tymsamym czasie znalazły się w Paryżu z Petersburga przywiezione papiery króla. Kalinka je zobaczył, książę Władysław Czartoryski nabył i postanowił ogłosić. Wydaniem miał się zająć Kalinka. W ten więc materyał zagłębił się, i zawsze z myślą o żywocie księcia Adama, jako wstęp, jako tło do tamtego pisał tę książkę, która wyszła w r. 1868, jako *Ostatnie lata Stanisława Augusta.*

Tytuł, niezupełnie stósowny, odpowiada raczej dziełu, które w myśli autora podczas pisania tej książki powstawać zaczęło, aniżeli tej książce samej. Sejm czteroletni a następnie dwa rozbiory, to byłyby ostatnie lata Stanisława Augusta. Czy Kalinka zamierzał kiedy opisać je wszystkie do końca? Może; ale w każdym razie zamiar nie trwał długo, bo od chwili jak zaczął pisać *Sejm*, powtarzał zawsze, że nie zdobędzie się na odwagę opisywania tego, co się działo po skończeniu kampanii r. 1792. Jakkolwiekbądź, tylko takim przelotnym zamiarem usprawiedliwić się da ten tytuł. Miał on odpowiadać czasom od r. 1788 dalej, a dzieło pierwsze miało służyć tylko za wstęp, streszczone opowiadanie dziejów Stanisława Augusta aż do r. 1787, potem w dokumentach myśli i zamiary przymierza z Rosyą i podróż do Kaniowa, czyli sytuacya polityczna poprzedzająca bezpośrednio sejm

konstytucyjny, i z nim najściślej połączona. Że to w myśli autora był wstęp, dowód jest choćby tylko w kartach liczbowanych cyframi rzymskiemi, któremi się zwykle odróżnia przedmowy i wstępy od dzieł samych. Dokumenta, prawda, w drugim tomie ogłoszone, dochodzą do ostatnich lat króla i królestwa (Dziennik Bułhakowa do r. 1792, Listy Katarzyny aż do samej abdykacyi). — wszelako gdyby autor nie był myślał o pisaniu tych dziejów, byłby zapewne wydał *„Dokumenta do ostatnich lat Stanisława Augusta, z wstępem napisanym przez W. Kalinkę“*, a nie *Ostatnie lata Stanisława Augusta*, któryto tytuł zapowiadał tych lat opracowaną historyę. [1]).

Ale mniejsza o tytuł lub o zamysły nie wykonane. Jakie jest to co Kalinka wykonał, oto pytanie.

To co wykonał, to jest nie wielki tom, ale streszczenie (jako takie dość obszerne) panowania Stanisława Augusta aż

[1]) Niedawno w jednem ze wspomnień pośmiertnych o ks. Kalince zdarzyło nam się czytać, że dokumenta ogłoszone w drugim tomie, mają nie wielką wartość i wagę. Przypominamy czytelnikom naszym, że obejmują one korrespondencyę króla z Kicińskim, w której król nietylko zapisuje dzień za dniem swoją podróż do Kaniowa (mniejsza o to), ale mówi nieustannie o swoich planach i widokach, o przeszkodach jakie spotyka; daje poznać otwarcie co myśli o ludziach, z którymi ma do czynienia; wreszcie (choć może niechcący) daje doskonale poznać i siebie. Dział drugi obejmuje listy króla do Katarzyny i jej do króla (wszystkie jakie się przechowały) od r. 1788 do końca 1795. Trzeci dział, *Potemkin i jego stronnictwo*, jest najzupełniejszem jakie posiadamy żrodłem do przedwstępnych przygotowawczych działań Targowiczanów przed zawiązaniem konfederacyi. Poufna korrespondencya króla z jego posłem w Londynie (od r. 1788 do 1793), w której król znowu donosi wszystko, co się ważniejszego dzieje i co sam myśli, stanowi dział czwarty; ostatnim jest Dziennik, w którym poseł rosyjski w Warszawie zapisuje swoje czynności i wypadki od końca grudnia 1791 r. do końca czerwca 1792 r. Jakim sposobem dokumenta tej treści i od tych osób pochodzące mogą być małej wagi, trudno nam pojąć.

do jego spotkania z Katarzyną w Kaniowie. Streszczenie (powiedzmy z góry) takie, na jakie zdobyć się mógł tylko doskonały historyk i znakomity polityk. Wyciśnięta jest i krótko podana sama essencya tych dziejów, a w niej wszystko to co najistotniejsze, co stanowcze i rozstrzygające w położeniu narodu, i wszystkie zwroty i zmiany w tym przeciągu czasu dokonane, z powodami i wpływami które je sprowadziły, ze skutkami i warunkami, jakie one znowu Rzeczypospolitej nakładały. A więc Rzeczpospolita pod rosyjską gwarancyą, i w sąsiedztwie tego Państwa, przywykłego już wojska swoje kiedy chce w granice Polski wprowadzać i z pomocą tych wojsk i naszych fakcyj robić w Polsce co chce. Te fakcye, to wielkie domy znarowione już do tego stopnia, że bez uwagi i skrupułu udają się do państw obcych, do Rosyi, o poparcie i przeprowadzenie swoich zamysłów; na tronie król, który do niego doszedł — przez alkowę — który zatem ani powagi, ani ufności w narodzie nie ma. Honor narodu jest nim upokorzony, patryotyzm jest nim oburzony i widzi w nim tylko narzędzie Katarzyny, a wszystkie ambicye i wszystkie zazdrości nienawidzą go, bo on jest królem a nie jaki inny. Złe i dobre uczucia narodu składają się na to, żeby położenie tego króla zrobić najtrudniejszem na świecie, a on sam go nie ułatwia, bo nie ma tego, czego potrzeba żeby uszanowanie w narodzie wymusić, powagę i zaufanie zdobyć.

Jednak ten król ma rozum, widzi dobrze słabość Rzeczypospolitej, wié jak na nią stopniowo radzić, radzić chce i zaczyna. Po dwuletnich staraniach, wprowadza na sejm roku 1766 pierwsze początki reformy — głosowanie większością w materyach skarbowych — pierwszy zamach na *Liberum veto.* Opozycya w porozumieniu z Repninem, przez niego zagrzewana, odrzuca to, ale mimo porozumienia z Repninem, odrzuca żądania rosyjskie względem dyssydentów: czyli jedną ręką utrwala nierząd wewnętrzny a drugą sprowadza zawikłania zewnętrzne. Król widząc, że naród tak jest stanowczy w kwestyi dyssydentów, odrzuca żądania Repnina: jest stały, nie ustępuje. Ale wtedy ustępuje i godzi się z Re-

pninem opozycya: przyzna niektóre prawa dyssydentom, byle jej *Liberum veto* zachowano w całości. Układ staje: noty rosyjskiego kanclerza ukazują w miłej perspektywie nawet detronizacyę Pana Stolnika Litewskiego; wojsko rosyjskie wchodzi (w liczbie 30,000), i ośmdziesiąt tysięcy podpisów pokrywa prośbę do Katarzyny o gwarancyę ustaw kardynalnych Rzeczypospolitej. (Ustęp o konfederacyi radomskiej jest jednym ze świetnych w tej książce).

Król teraz widzi, że nie on ale Repnin w Polsce rządzi; że tylko nie obrażając jego przewagi, ulegając, podłażąc kiedy skoczyć (jak się przekonał) nie można, potrafi jaką małą poprawę Rzeczypospolitej przemycić; ulega, poddaje się, rezygnuje się nic bez pozwolenia nie robić, a tak robić, żeby mu przecie coś poprawić pozwolono.

Spostrzegli się, że zrobili podłość i samobójstwo. Odezwał się honor i miłość ojczyzny, i chciano odrobić to co zrobiono. „Konfederacya Tyszowiecka“, mówi Kalinka, „wy-„prowadziła Rzeczpospolitą z gorszego nieszczęścia, ale nie „byłaby zdolała tego zrobić, gdyby była zrywała naraz z Ka-„rolem Gustawem i Janem Kazimirzem“. A tak właśnie zrobiła Barska.

A po niej zwrot nowy — ten stanowczy i zabójczy — pierwszy rozbiór i ohydny sejm, i pierwszy wielki niedarowany i niepowetowany grzech króla względem Rzeczypospolitej. Kalinka rozumie i daje doskonale pojąć psychologiczne powody, które Stanisława Augusta skłoniły do podpisania pierwszego rozbioru; nie podejrzywa jego dobrej wiary ani woli, tylko twierdzi, że nietylko honor polski i królewski, ale rozsądna polityka kazała mu podpisu odmówić, być godnym i odważnym, niech się dzieje co chce. Ale na to tego króla nie było stać.

Po rozbiorze został jak jaki król Pergamu lub Bitynii pod protektoratem Rzymu, ze Stackelbergiem za dozorcę, z postanowieniem i rezygnacyą żeby się w niczem nie sprzeciwić, bo wszystko mogło byt Polski narazić. W tem miał znowu słuszność. Rąk nie zakładał, robił wiele, niejedno po-

prawił przez te lat dwanaście. Ale cierpliwy i potulny, czu że to wstyd dla niego i dla narodu, że tak zostać nie pc winno, że bez szkody nawet długo zostać nie może; stan wisko zbyt upokarzające jest także śmiertelną chorobą. Wy padła wojna Rosyi z Turcyą. Do wojny tej się wmiesza przez wojnę sławę i wprawę wojenną Polski poprawić, je stanowisko podnieść, a kto wié, w dobrym razie może n sprzymierzonej Rosyi wymódz jaką korzyść polityczną? Z t myślą, którą Kalinka ma za błędną, wybrał się Stanisła August do Kaniowa; jego tam przyjazd, jego dwór w Ka niowie, i świetny ćmiący go swoim blaskiem (a pełen Pol laków) dwór Katarzyny w Kijowie, to rozdział ostatni, p po którym już autor ustępuje, a król sam w listach do K cińskiego opowiada co myśli i robi.

Na tem tle dopiero rysują się ludzie i działania. Ludzie Rzecz to już uznana i wiadoma, że Kalinka był mistrze w kreśleniu historycznych wizerunków: przenikał człowiek nawskróś, czytał w jego duszy te złe i dobre uczucia i my śli, które w nim działały, i opisywał go bez namiętnośc bez oburzeń ani uniesień, ale tak wyraziście, że człowiek st jak żywy, a tak dokładnie, że nic w tej naturze nie zost wało tajnem i niezrozumiałem. W malowaniu swoich portre tów, on nie ma tego kolorytu ponurego a effektowego, tyc nieśmiertelnych słów nienawiści i pogardy, jakiemi Tac piętnuje podłości i zbrodnie — nic gorsze. On nawet o Ka tarzynie pisze spokojnie, nawet Ponińskiemu nie pluje w twar Hamuje się; myśli (i zapewne słusznie), że historyk sw sąd powinien wyjawić, ale nie swoje uczucie, nie swoją ni nawiść i gniew. A na tym sposobie prawda nic nie traci Katarzyna, jej dwór, jej naród, nic nie zyskują, dostają wszystk co im się należy. Nowego o Katarzynie nic powiedzieć ni mógł; wszystkie jej bezwstydy w rozpuście czy w kłamstwi wszystkie znane są od wieku. On się nie bawi w opisy tyc obrzydliwości, wspomina o nich krótko, ile konieczność wy maga; jej zdolność nadzwyczajną i jej rosyjski patryotyz doskonale widzi i bez ogródki przyznaje; ani jej nie krzy

wdzi, ani sobie nie zrobi tej przyjemności żeby ją przedstawić z effektem, w całym apokaliptycznym majestacie jej babilońskiego panowania i wszeteczeństwa; oddaje jej sprawiedliwość, najczęściej przyznaje, że postępowała mądrzej od wszystkich. Ale robi to, czegoby inny nie potrafił: przenika Katarzynę, pokazuje jeden po drugim (a zawsze z dowodami, nigdy na domysł) wszystkie pierwiastki jej charakteru i jej rozumu; wykazuje podobieństwo między jej a narodowym rosyjskim charakterem i duchem; tłómaczy, że ona jest i logicznie być musi historycznym ideałem tego narodu, a w końcu dopiero, jako wniosek mówi to, coby Katarzynę ze wszystkiego na świecie najbardziej bolało i wstydziło. „Duch Katarzyny wciąż „się jeszcze nad tym narodem unosi i wciąż go popycha na„przód coraz dalej, coraz szybcej, aż dojdzie do końca. Gdzie „koniec? Zbrodnie zbyt wielkie, pomyślność zbyt trwała, aby „Rosya spostrzegła się jeszcze na czas, i sprawdzi się tu „może to słowo, że długie powodzenie bywa czasem najsu„rowszą karą. Zwyciężona, Rosya nie zatrzyma się tam, zkąd „wyszedł jej zamach ostatni; gnieść ona umié, przyswoić nie „zdoła, i wszystkie narody przez nią zdeptane, da Bóg, pod„niosą głowy. . . . Wówczas po strasznych szarpaniach i bó„lach, otworzą się jej oczy, i spostrzeże, że ów wiek czy pół„tora kłamanej wielkości, były epoką jej moralnego upadku; „zmarnowane, w dziejach następnym pokoleniom nie zostawią „nic, prócz uczucia wstydu i zasłużonych nieszczęść pamięci“.

Naprzeciw portretu Katarzyny, jeszcze doskonalszy, staranniej wymodelowany portret Stanisława Augusta. Pierwszy w naszej historyografii jego portret prawdziwy. Historyk posądzany niekiedy o słabość a przynajmniej zbyteczną dla króla pobłażliwość, nie zataja nic dobrego jakie w nim było, to prawda; i nie zwala, co zawsze najłatwiej, całej winy na niego. Ale w tem właśnie jego wyjątkowa zdolność i takt, czułość jego sumienia jako historyka i jako Polaka, że umié, jak mało kto drugi, ani o dobrem ani o złem nigdy nie zapomnieć; jedno i drugie w duszy Stanisława w prawdziwym stopniu pokazać, złożyć te pierwiastki razem tak, że dosko-

nale do siebie przystają, a oddając gdzie należy uznanie albo współczucie, nigdy nie pójść za daleko w zaufaniu do króla ani w szacunku. Tę miarę zachowuje on wiernie i doskonale w tem jak w późniejszem swojem dziele, i dlatego ten wizerunek jest tak mistrzowski, dlatego ten sąd tak mądry i sprawiedliwy.

Te dwa główne portrety otoczone są pewną liczbą mniejszych, doskonale trafionych, pełnych życia i charakteru. Co wszakże więcej jeszcze w tym historyku zadziwia i imponuje, to jego dar przedstawienia dyplomatycznych stosunków, planów i zabiegów. W politycznej zdolności Kalinki pierwiastek to może najsilniejszy, w historycznej tensam podobno najświetniejszy. Rozdział pierwszy, który opisuje stosunek Polski do państw europejskich: Prus, Austryi, Francyi i Anglii, jest takim obrazem zagranicznego położenia i polityki, jakiego w naszej historyi przedtem nigdy jeszcze nie było. Austrya zwłaszcza, Austrya przed pierwszym rozbiorem, odmienne pojęcia i zamiary, różne natury Maryi Teresy, Kaunitza i Józefa, błąd jaki popełniają, przeczuwając (prócz Józefa) jego skutki i bojąc się ich, względy, które ich (jak sądzą) zmuszają do popełnienia tego błędu i narażenia się na te skutki, to jest w swoim rodzaju doskonałość, a najdoskonalsze w niej przedstawienie polityki i charakteru Józefa. Działań dyplomatycznych nikt u nas tak przedstawiać nie umiał. W jednym odsyłaczu do swojej książki, Kalinka odwołuje się do czwartego tomu historyi Szujskiego, i oddając jej wszelkie pochwały, mówi, że brak jej tylko „praktyki interesów publi-„cznych, bez której historyk choćby najzdolniejszy, nie może „przyjść do wytrawnego politycznego sądu“. Praktyki tej nabrał Szujski w późniejszych latach, Kalinka wyniósł ją ze swoich emigracyjnych lat wędrówki, z tej szkoły w której zostawał. I kto wié, czy nie dlatego żaden z naszych historyków nie dorównał mu znajomością spraw zagranicznych i dyplomatycznych, że żaden się ich w praktyce tak jak on nie dotknął.

Jakkolwiekbądź książka ta była doraźnem i niespodzianem objawieniem znakomitego historyka, o którym nikt nie wiedział, którego przedtem nie było. Po drobnych tylko niedokładnościach, szczegółach niesprawdzonych a powtórzonych za poprzednikami (jak naprzykład pochodzenie niby tatarskie Xawerego Branickiego) znać, że to historyk początkujący i względem dawnych powag jeszcze zbyt ufny. Ale w rzeczach ważnych łatwowierności takiej niema, a książka jak nowego historyka, tak była też objawieniem i nowego w historyografii a może i w polityce polskiej zwrotu, a bodaj czy nie okresu. Cechą jego jest wyśledzić i wskazać co w przeszłości było złem, bez wahania, bez ogródki, na to, by się w teraźniejszości z tego złego leczyć, a w przyszłości go w sobie nie mieć. Szujski wchodził na tę drogę w tymsamym czasie, i od nich dwóch zaczyna się ten zwrot. Czy zły i szkodliwy? Tak mówi zazdrość, tak mówi przeciwna tendencya polityczna, tak myśli i wierzy rozum płytki, podszyty dobrem ale słabem niemęzkiem uczuciem. Naprawdę, Opatrzność to Boska dała nam na najgorsze czasy ten kordyał, to gorżkie lekarstwo, to światło historyi, ten rachunek sumienia . . . nikt bez tego w górę nie wyjdzie: ani do nieba człowiek, ani do siły naród. Ale były i są do dziśdnia zdania pod tym względem różne i słyszał ich wiele Kalinka zanim książkę swoją oddał do druku. „Narodowi odbierał ufność „w siebie, upokarzał go przed obcymi i nieprzyjaciołmi; tym „nieprzyjaciołom dawał dogodną broń w rękę a przynajmniej „pole otwierał do szyderstw i obelg . . . cześć przeszłości i oj„czyzny, ostatnie dobro i ostatnią siłę wykorzeniał z serc“. To wszystko słysząc, ważył ciężko w sercu i sumieniu, czy ma książkę ogłosić lub nie? Ważył tem bardziej, że to upokorzenie, ten wstyd, z jakim Polak czyta swoją historyę XVIII wieku, jego bolały najbardziej, bo i tę historyę najlepiej znał i czuł z pewnością żywiej od wielu. A przecież sumienie i obowiązek względem ojczyzny kazały mu tę bolesną książkę ogłosić. Dlaczego? to tłómaczy we wspaniałej przedmowie, która oznacza jego stanowisko w tem jak w na-

stępnem dziele, stanowisko całej historyografii współczesnej, i na ówczesne (czy podobne dzisiejsze) zarzuty odpowiada:

„Szczery i zupełny obraz Polski, pod koniec wieku XVIII (mówiono nam), może być pożyteczny jedynie dla wrogów, którzy pragną tak gorąco naszą przeszłość zbezcześcić i złamać nas widokiem naszych błędów; dostarczy broni przeciwko nam a ich zbrodnie usprawiedliwi, i stanie się, wedle pospolitego wyrażenia, wodą na ich młyn. Nie wszystkie prawdy można powiedzieć, nie każdy je zniesie i nie w każdym czasie, a jeśli przyznanie się do grzechów w skrytości ducha czynione, człowieka podwyższa, to jawne z nich oskarżanie się, prócz tego że nigdy szczerem nie będzie, graniczy z bezwstydem i złością być może. W dzisiejszej niedoli naród potrzebuje wiary w siebie, nadziei w przyszłość i wyrozumiałej dla wszystkich miłości; z wieków minionych nie jad gryzący, ale kojący balsam dziejopisowie dobywać powinni; a ktoby dowiódł, że upadku naszego przyczyną były nie złość lub podstęp wrogów, nawet nie zdrada tych kilku nędznych na łonie naszem wyjątków, ale własne i to wszystkich grzechy, ten odejmie narodowi wszelką otuchę, ten go w oczach własnych zdepcze i poniży, ten go doprowadzi do rozpaczy.

„Przy rozdarciu wewnętrznem jakie w społeczności naszej panuje, książka podobna (mówiono nam z innej strony) stać się może nie nauką i upomnieniem, lecz źródłem kwasów i niechęci, otwartą kopalnią dla ducha stronniczego, który z luźnych dokumentów i oderwanych ustępów wyprowadzi wnioski, o jakich wydawca nie myślał. Wykazanie grzechów rodzin dawniej naczelnych, posłuży za nowe do walki zarzewie, i utrudni, może nawet niepodobną uczyni pracę publiczną dzisiejszym potomkom. Znajdą się ludzie, o jakich w partyach politycznych nietrudno, których głównym nieraz bodźcem w działaniu bywa zazdrość do swoich; tacy pochwycą skwapliwie plamiące wspomnienia i w oczy je rzucą tym, którym dorównać nie mogą. A tak ostatniem słowem tej pracy może być skandal publiczny! . . . Lecz

nie dość na tem; zawiść możnych ku sobie, dziś szczęśliwie przygasła odżyje na nowo, i ci, co tak zacnie podali sobie ręce w niektórych ziemiach polskich, rozejdą się po dawnemu, na swoje i kraju nieszczęście. Tylko wyższe prawdziwie dusze czują się powołane wielkiemi cnotami odbudowywać swe imię; większość ze zwyczajnych składa się ludzi; wznowiony obraz zeszłowiecznych plam odstręczy ich, zniechęci, do nieczynności sprowadzi, a może jeszcze w obce obozy przerzuci. Dość już podobnych strat mieliśmy w latach dawniejszych; nie godzi się ich dzisiaj pomnażać i z pola służby narodowej spędzać choćby najlżejszych pracowników! — Jeżeli zaś przeciwnie wypadkiem studyów będzie, że nie kilkanaście historycznych rodzin, jak dotąd mniej więcej utrzymywano, ale cała klasa niegdyś w narodzie wszechwładna przyczyną była naszej zguby, to ów wyrzut bolesny w tych właśnie ugodzi, których obecnie swą nienawiścią najbardziej ściga wróg zawzięty. Było pożytecznem, koniecznem nawet, przypominać jej błędy w czasie, kiedy ta klasa używała i nadużywała całej pełności swych praw. Można jeszcze zrozumieć i poźniej rzucane na nią pociski, dopóki dłużnikiem była niższych warstw narodu. Ale dzisiaj, gdy jak Łazarz odarta, nie wié, co jej pozwolą z ojczystej dochować spuścizny; gdy z starych szlachty polskiej przywilejów, jeden jej tylko został przywilej męczeństwa; gdy dawną swą odkupując wyłączność, zdobywa ona blizko już od wieku, własnem cierpieniem, coraz to nowe obrońców narodowych rzesze: dzisiaj nietylko roztropność ale wdzięczność sama nakazywaćby powinna jej stare i nowe zasługi podnosić, a epokę skończoną i grzechy skończone jednem zresztą pokryć przebaczeniem!

„Takie uwagi i zarzuty dochodziły nas w czasie, kiedy ta książka przygotowywała się do druku. Zbytecznem może dodawać, że znajdowały one w piszącym te słowa echo donośne i zaostrzały przykrość tych studyów dość już z siebie bolesnych. Trudno rozbierać na zimno, z czem dusza zrosła od kolebki. Trudno też było ukryć przed sobą, że nie-

jedno z tych wspomnień, które na nowo wydobywamy, zrani dotkliwie jakieś serce szlachetne, co może tajemny już ślub z Bogiem uczyniło i dobrowolną pokutą grzechy swych dziadów odpłaca! . . . A jednak, po walkach wewnętrznych i długich namysłach, przyszliśmy do przekonania, że dokumenta wszystkie skoro niewątpliwe i skoro służą do wyświecenia prawdy historycznej, drukować nietylko można ale i potrzeba.

„Było i jest dążnością naszą przekonać obcych, że naród polski nietylko dzisiaj godzien jest niepodległości, ale zawsze był jej godzien, i że jak teraz dosyć ma sił, aby ją odzyskać, tak w przeszłości stracił ją dopiero po największych dla jej obrony ofiarach i pod przemocą wrogów trzykroć silniejszych. A jeśli, pomimo to, tylokrotne nasze próby, by odbudować państwo niepodległe, nie doprowadziły nigdy do celu, nie stało się to bynajmniej skutkiem niemocy narodu lub politycznej jego niedojrzałości, ale z winy rządów zagranicznych, które nas zawiodły w naszych nadziejach albo też, i najczęściej, z winy człowieka lub kilku ludzi, którym w danej chwili powierzyliśmy nasze losy. — Tego rodzaju obrony i rozumowania gorliwie po każdej klęsce powtarzane, choć w Europie nie przed wieloma zapewne nas usprawiedliwiły, nas za to przekonywały najzupełniej; zaczem dumni z swych poświęceń i z swego heroizmu, musieliśmy czemprędzej dla każdej epoki wyszukiwać kozła ofiarnego i na niego złożyć przyczyny wszystkich niepowodzeń i grzechy ogólne. — Lecz były inne, donioślejsze skutki tych naszych obrończych wywodów. Ponieważ naród był i jest silny i do pełności życia politycznego już gotów, ponieważ jak przed upadkiem Rzpltej, tak i później w każdem powstaniu dawał niezaprzeczone dowody swej dojrzałości, mocy i wytrwania, ponieważ jedynie niedołęstwem lub zdradą kilku ludzi zatrzymany został w niewoli, nic przeto nie przeszkadza, aby zerwał się na nową próbę odzyskania swej niepodległości od chwili, gdy znajdzie się człowiek prawdziwie wyższy, zdolny nim kierować, zdolny korzystać z jego entuzyazmu. Któryż młodzieniec, zaczynający konspiracyę i przygotowu-

jący powstanie, nie sądzi się być takim właśnie dla narodu mężem przeznaczenia?... I tak, gdy ciągle brzmiały teżsame pochwały, ciągle teżsame powtarzaliśmy błędy i zanim znikły ślady jednego spustoszenia, już nowe na przyszłość zasiewaliśmy burze! Zaprawdę, w tem naszem gospodarstwie narodowem podobni jesteśmy do człowieka, co układając swój budżet, nietylko niewątpliwe, ale i spodziewane dochody jak najwyżej naznacza, a nie chce wcale spisać swoich długów ani przewidzieć wydatków; i cóż dziwnego, że nim rok upłynie, spotka go niedobór, i że co rok część jego majątku przejdzie w obce ręce? Tak i nas od lat stu spotyka wciąż polityczny niedobór i część ojcowskiej spuścizny z każdem tracimy powstaniem; a nie inna podobno tego marnotrawstwa przyczyna, jak ta, że wielbiąc zapał, męstwo i ofiarność narodu, ujemnym jego stronom przypatrzyć się nie chcemy...

„Dość będzie czasu na ten rachunek niemiły, gdy Ojczyzna z grobu powstanie, gdy wyzdrowieje matka ukochana dziś śmiertelnie chora! — Namby się przeciwnie zdawało: rachunek ten wówczas na mało przydatny, dzisiaj jest koniecznym. Bo jakże matka ma wyzdrowieć, jeśli jej choroby nie znamy i lękamy się ją poznać? Jak wydobędziem się z tej ciasnoty, w którą zabrnęliśmy, kiedy brak nam odwagi otworzyć oczy? Tylko szczere w sobie samym rozpatrzenie się może nas ostrzedz skutecznie i, co najpilniejsza, nowym stratom zapobieży. Tylko prawda od złudzeń nas uchroni i od rozczarowania; ona jedna da siłę potrzebną do walki z nieprzyjacielem i silniejszą od niego pokusą. A tym, co tak bardzo dla narodu lękali się prawdy i ostrożnie, w niedostrzeżonych w swej maleńkości dozach, radzili jej choremu udzielać, odpowiemy, że właśnie ta osobliwsza homeopatya, przez naszych moralistów używana, może była przyczyną, że naród dotąd jest chory...

„Ale (zapytują nas) jakież wrażenie zrobi ta prawda z taką szorstkością wypowiedziana, dla wielu osobiście nie przyjemna, dla wszystkich bolesna? Azaliż nie zrazi, nie

zniechęci i już bardzo nieszczęśliwych do rozpaczy nie przywiedzie? Azaliż godzi się dodawać otuchy wrogom Polski widokiem dawnego jej zepsucia?" — Odpowiadając na te pytania, przedewszystkiem zaprzeczyć musimy, aby jakiegobądź Polaka można dziś jeszcze od polskości odstręczyć, czy widokiem plam, jakie ciążą na jego przodkach, czy też bardziej upokarzającem wyznaniem, że naród przy wadach, które miał w wieku przeszłym, nie mógł się ostać jako państwo niepodległe. Bezwątpienia, musiał ciężko przeboleć każdy, kto się o tem przeświadczył, ale nikt dlatego nie czuł się mniej Polakiem, mniej obowiązanym służyć Ojczyźnie. Nikt już dzisiaj z polskości wyzuć się nie zechce, nikt, choćby chciał nie potrafi. Silniejsza ona niż my sami, trwalsza od naszej słabości lub rozpaczy, w złej czy dobrej żyje doli i stuletnią już blisko pokutą coraz bardziej się hartuje. Jeżeli dawniej można było słyszeć o Polakach, którzy przechodzili na Niemców, Francuzów, a nawet i Rosyan, — choć i tacy przy schyłku życia tęsknem wejrzeniem znowu się ku Ojczyznie zwracali, — to z każdem, które przybywa ćwierćwieczem, owa odmiana czy apostazya staje się coraz mniej podobną. A w takiem usposobieniu polskiego narodu niewątpliwem, niezachwianem i któremu żaden człowiek sumienny nie zaprzeczy, czyż nie jest rzeczą pożądaną rozpatrzyć się w naszych błędach i w ich nieustannie bijącem źródle, w wadach naszego charakteru rozpatrzyć się spokojnie, bez fałszywej a tak zgubnej dla nas samych litości? I czyż studyum to może być obojętne albo i szkodliwe? Jeżeli przed podobnym z sobą samym rachunkiem cofały się poprzednie pokolenia, to nasze, od nich nieszczęśliwsze, ale w swej wierności zaciętsze, może go odbyć z pożytkiem. Żelazo długim wypróbowane ogniem, wytrzyma uderzenia, którychby krucha nie zniosła ruda, — i jeszcze twardszem się staje. — I czy doprawdy wzgląd na Moskali ma nas wstrzymywać? Mybyśmy przeciwnie myśleli, że naglącem jest odjąć nieprzyjaciołom tryumf, że to oni dopiero ukazują nasze błędy i z ślepoty naszej mają nas wyleczyć. W owym sporze od-

wiecznym Polski z Moskwą, jak całe prawo mają za sobą, tak potrzeba, aby prawdę całą stawiali przy sobie Polacy, choćby to w chwilową miało się zmienić niekorzyść i chwilowe przynieść poniżenie. Wykrycie prawdy nie odmieni zresztą naszego z nimi stosunku. Jak Moskwa nie odstąpi naszych ziem, choćbyśmy ją przekonali że do nich prawa nie ma żadnego, tak i my nie wyrzeczemy się naszych uczuć, przekonań, naszych praw, cierpień, nadziei i całego duchowego jestestwa, choć dobrowolnie jej przyznamy, że Bóg użył jej jako kata do wymierzenia zasłużonej kary. Nikt się tu nie cofnie, nie zachwieje, nie wyprze swej roli, ani my, ani oni; my w pracy nad sobą i w pokutniczem skupieniu czekając, aż przyjdzie Pańskie miłosierdzie; oni dumnie potrząsając głową i z naszej ziemi całemu już grożąc światu, aż Bóg skruszy rózgę, gdy się stanie niepotrzebną!“

Książka, na której wartości ogół poznał się zaraz i której autora postawił w pierwszym rzędzie historyków polskich, wywołała jednak pewne drażliwości, a na autora sprowadziła przykrości. Niepodobna jest o czasach Stanisława Augusta mówić, a ludzi nie ganić. Łagodniejszym w tej naganie, szlachetniej bacznym na to, żeby prawdę mówiąc o zmarłych, nie urazić żadnego szanownego uczucia żyjących, bardziej, niż był Kalinka, być niemożna. Jednak niektórzy byli dotknięci, był do niego pewien żal, który przenosił się i na tych, którzy mu dostarczali dokumentów; zrobił się nie gwar wprawdzie, ale jakiś niesmak i kwas, który sprawił, że Kalinka z wielkim znowu żalem — i powiedzmy, ze szkodą nigdy już niepowetowaną — zrzekł się ulubionej myśli napisania żywota księcia Adama Czartoryskiego.

Że go to kosztowało wiele, to wiemy: a nie wiemy, lecz domyślamy się, że to był ostatni gwicht rzucony na szalę jego postanowień, i że on przeważył na stronę święceń kapłańskich. Raz już, w roku 1862, kiedy w działaniach politycznych zaszło nieporozumienie pomiędzy nim a towarzyszami, Kalinka przypuszczał, że to może ostrzeżenie, znak woli Bożej, która nie chce żeby jej służył na świecie. Na

to wahanie przyszedł rok 1863, pora zła do schodzenia z jakiegokolwiek posterunku. Zostało jednak wahanie. Kalinka sam siebie doświadczał, żeby się przekonać, czy ma naprawdę powołanie albo nie; zamykał się w tym celu parę razy na rekollekcyach u Benedyktynów w Solesmes. Przecież zawsze jeszcze nie miał pewności, nie wiedział, gdzie i czem *wola Boża* chce go mieć. Kiedy teraz napisał dzieło, w które włożył co miał siły, nauki, rozumu, i miłości ojczyzny, i kiedy zobaczył, że tą książką obraził i rozgniewał na siebie i ludzi, których i szanował i kochał, i obrazić z pewnością nie chciał — (i dodajmy na prawdę *nie obraził)* — książki nie spalił ani schował, bo ją w sumieniu swojem potrzebną sądził, ale sobie powiedział, że widocznie Bóg chce żeby mu służył na innem polu, kiedy na tem świeckiem prace najbardziej umiłowane przynoszą mu gorycze. Domysł to tylko — jeszcze raz powtarzam — ale domysł prawdopodobny. Ostatnim motywem psychologicznym, który rozstrzygnął o jego postanowieniu, były te niesmaki i kwasy powstałe około jego książki. 18go marca r. 1868 podpisał przytoczoną wyżej przedmowę — (w Wersalu, gdzie dla większego spokoju, dla samotności i skupienia duszy, może i dla taniości w ostatnich latach mieszkał) — w początkach maja był już w Rzymie i wstępował do nowicyatu [1]) Zmartwychwstańców.

Że nie do innego, to rzecz naturalna. Polak, emigrant, kiedy uczuł powołanie zakonne, musiał naturalnie myśleć naprzód o tym zakonie, który mu był najbliższy, krew z krwi i kość z kości emigracyi i Polski. Kalinka musiał wszystkiemi instynktami swojej natury ciągnąć do tego zgromadzenia, które jak on sam i całe jego działanie poczęło się przed laty z rozmyślania nad upadkiem Polski i nad sposobami jej dźwigania, które naturę i historyę narodu znało

---

[1]) Ksiądz Kajsiewicz w swoim *Pamiętniku o początkach Zgromadzenia* nie wspomina nic o wstąpieniu, ani o wyświęceniu Kalinki. Oczywiście dlatego, że podaje tam tylko życiorysy pierwszych założycieli zakonu, a z późniejszych wymienia tylko tych, co zmarli.

a duszę polską rozumiało, jak żadne inne znać i rozumieć nie mogło, które w powszechnym Kościele służyło, ale w nim miało wyznaczoną szczególną missyę około dusz i spraw polskich. Wzniosłość tego popędu, który z Kajsiewicza i Semenenki zrobił zakonników, Kalinka zdolny był czuć i rozumieć: w skuteczność ich działania, w zasługę przed Bogiem i w praktyczny użytek dla narodu wierzył. To był ten zakon jedyny, w którym on mógł, zrzekając się jak zakonnik powinien wszystkich swoich uczuć świeckich, i zakonnego ducha ani życia nie obrażając — z nim zgodny i jemu wierny, politycznym sprawom swojej ojczyzny służyć. Pośrednio oczywiście i pod posłuszeństwem, i do polityki się nie mięszając, i celu świeckiego patryotycznego na równi z duchownym nie stawiając, ale zawsze czyby Bułgarów na katolików nawracał, czy w Rzymie czuwałby nad kościelnemi sprawami, czy chowałby przyszłych księży, czy (jak się później stało) chowałby młodych Rusinów w katolickim duchu, zawsze cokolwiekby w tym zakonie robił, to obok wyższego duchownego miałoby swój cel i pożytek pośredni, polityczny i polski, wszystko byłoby częścią Ezdraszowej pracy odbudowywania od fundamentów. Oprócz tego charakteru zgromadzenia, przyciągała go doń i postać Kajsiewicza, niewiedzieć czy bardziej potężna, czy bardziej przywiązująca, a niemniej oczywiście ta summa dzieł, dokonanych nieznacznie i powoli, ale oznaczających i żywotność ogromną, i pomoc Boską widoczną, i znaczny ciągły postęp w nas samych. Bardzo ciekawy jest memoryał podany Piusowi IX przez ks. Kajsiewicza jeszcze w roku 1846 (*Pamiętnik*. Pisma. T. III, str. 449), obejmujący program tego, co Stolica Apostolska przedsięwziąćby mogła, żeby ratować Kościół pod rządem rosyjskim. Są tam między innemi punkta naprzykład takie:

„podnieść i rozwinąć Kollegium greckie i przetworzyć je w grecko-słowiańskie;

„ożywić i przywiązać do Stolicy Św. duchowieństwo unickie w Galicyi i na Węgrzech;

„postarać się o missyonarzy obrządku słowiańskiego dla milionów Słowian schizmatyków w Turcyi;

„dla ożywienia wiary i powstrzymania propagandy schizmatyckiej, beatyfikować Andrzeja Bobolę, a kanonizować bł. Józafata Kuncewicza.“

Wiele z tych rzeczy było już rozpoczęte, kiedy Kalinka do zakonu wstępował, wiele później nie bez jego pomocy posunięte i rozwinięte. Wszystko to weszło w program Stolicy Apostolskiej, a wykonanie programu (punkt po punkcie) poruczone bywało tym, którzy myśl podali. Dodawszy do tego usposobienie Rzymu względem Polski bardzo, a usposobienie Polski względem Rzymu znacznie zmienione, większą liczbę i zwłaszcza większą stałość katolickich przekonań, dokonany pod tym względem postęp niemały, Kalinka musiał samą skutecznością jego działań być przyciąganym do tego zakonu, który jak pojmował swoje zadanie, swoje przeznaczenie w Kościele i w społeczeństwie świeckiem i obecny stan świata, to ksiądz Kajsiewicz krótkiemi słowy tłómaczy:

„Zdawało nam się wtedy, że najgłówniejszym nieprzyjacielem Boga i Kościoła, a temsamem szczęścia ludzkiego i zbawienia, jest w tych naszych czasach socyalizm, czyli system, szkoła, dzieło całe przez coraz większą liczbę ludzi w czyn wprowadzane, a którego zadanie wygłoszonem jest: aby społeczeństwo ludzkie urządzić bez Boga, bez Chrystusa, bez Kościoła, wprost środkami ludzkiemi i w imię człowieka, w imię jego woli i jego siły, a urządzić daleko lepiej, mądrzej, szczęśliwiej, niż kiedykolwiek Kościół Chrystusa uczynił to lub może uczynić. Jak w średnich wiekach *Mahometanizm* i wewnątrz rozwiązłość *ciała*, zbuntowanego przeciw obyczajowi chrześciańskiemu; jak w XVI wieku *Protestantyzm* i bunt *rozumu* ludzkiego przeciw prawdzie chrześciańskiej, tak dzisiaj *Socyalizm* i rokosz *woli* ludzkiej przeciw chrześciańskiemu zakonowi i chrześciańskiej władzy, są głównemi, wydatnemi nieprzyjaciołmi Kościoła, Chrystusa, Boga. Jak wtedy przeciw pierwszym nieprzyjaciolom Bóg wzbudził w Kościele w wieku XIII cały zastęp zakonników (Domini-

kanów, Franciszkanów), jak przeciw drugim w XVI wieku i później wzbudził inne zgromadzenia (Teatynów, Jezuitów, Piarów, Oratoryanów, Missyonarzy), tak teraz w XIX wieku wzbudzi niezawodnie odpowiednie tym nowym dzisiejszym nieprzyjaciołom Zgromadzenia, z siłą potrzebną do walczenia z nimi. I to pojąwszy, stósownie też do tego, z obowiązku sumienia ułożyliśmy odpowiednie zasady dla naszego Zgromadzenia, dalecy od uroszczenia aby się równać z owemi wielkiemi Zgromadzeniami kościelnemi, ale żeby w danym razie, skoro już raz nasze Zgromadzenie niewiadomo jak zawiązało się, by mówię to uczynić, do tego wziąć się, co w tym danym razie, w tym czasie, w tem miejscu, w tych okolicznościach właśnie jest do uczynienia.“

Kiedy Kalinka szedł na księdza, przyjaciołom jego bardzo było żal. Nie godzi się zazdrościć Panu Bogu człowieka znakomitego, kiedy go do służby swojej powołuje, a jednak trudno było nie liczyć tych prac przeróżnych, które Kalinka mógł podjąć na świecie, a wykonać lepiej od każdego innego. Ale on mniemał, że *unum necessarium* ratować i zbawiać dusze, dusze ludzi i zbiorową duszę polską; że po roku 1863 tylko to jeszcze do ratowania zostało, a jeżeli to się uratuje i obroni, to ta dusza potrafi sobie i fizyczny organizm wytworzyć. Do mówienia o sobie i zwierzeń nie skłonny, raz przecie opisał Kalinka stan duszy, w jakim do zakonu wstępował, i powody, które go do tego skłoniły. Byłyto w odpowiedzi na zapytanie jednego z przyjaciół, niespokojnego, czy postanowienie to nie było skutkiem zwątpienia, rozpaczy, sprowadzonej wypadkami r. 1863 i ich skutkami. Korzystamy tu z prawa ogłoszenia tych zwierzeń; datowane są z Rzymu 21 maja 1868.

Rzym 21 maja 1868.

„Zwątpienia o Polsce nie było we mnie i niema; wiara w jej przyszłość, leży w mej duszy głęboko — a tak głęboko, że prawie nigdy do niej nie sięgam. — Naprawdę mówiąc, nie jest mi ona niezbędna. Wystarcza potrzeba, jaką w sobie czuję

zawsze służenia Polsce, właściwie mówiąc, Bogu w Polsce. Bylebym pole to miał przed sobą otwarte, dosyć mi na niem. — Prawda, że ono czasem tak się ścieśnia, że aż serce boli, że w jednem miejscu nieraz się urywa, choć się ludzie na tem nie spostrzegają, a w drugiem zato się ukazuje. W takiem właśnie czułem się usposobieniu zeszłego roku, gdyśmy się widzieli w Wersalu. Zdawało mi się i dotąd wydaje (może mylnie), że przedmiot do robót naszych we Francyi wyczerpany, że oświecać ludzi bez sumienia, uczyć opinię bez siły, rzecz czcza, zawodna i krwawe tylko gotująca rozczarowanie. — Podziwiałem Wyzińskiego i jego rzadką energię, ale iść za nim nie byłem w stanie, i owszem, sądziłem — jak i teraz sądzę — że i on się niedługo rozczaruje. Tego rodzaju prace dają czas długi chwilowe satysfakcye, ale jak raz odkryje się ich próżność, przychodzi wstręt nieprzezwyciężony. Myślałem wtedy o przeniesieniu się do Galicyi, a serdeczny udział, jaki brałeś w tym projekcie, wielką mi był ku niemu podnietą. — Wiesz zapewne z doświadczenia, że życzenie tych, których się kocha, często dalej niżby się chciało pociąga za sobą — tak i zemną było, we wszystkich moich krakowskich lub lwowskich projektach zawsze mi stałeś przed oczyma.

„Jednak choć w zasadzie prawie już zgadzałem się na pobyt mój w Galicyi, trudniej mi było zdecydować się na wybór zajęcia. Wszystko, cokolwiek tam robicie, jest mi drogie, ujmuje mnie, wiąże mnie z lepszą częścią mego życia, ale mamże wyznać — obok uznania waszych robót, mimowolnie, a bardzo silnie czuję ich niedostateczność. Minęły, mojem zdaniem, te czasy, w których można było utrzymać, lub dźwignąć Polskę staraniem o język, o gruntowne specyalne wykształcenie, o administracyę rodzimą, o stowarzyszenia organiczne, o zbogacenie kraju itp. To wszystko mogło być poniekąd wystarczające za Stanisława Augusta, za Królestwa kongresowego i jeszcze nawet przed r. 1863. Dziś już zapóżno. Owe fatalne *trop tard* nie do jednych dynastyi tylko się stósuje; i my też trwamy w tem co lubimy, upieramy się żeby do dna wyczerpać, choć dno już dziurawe. Dążność to spóźniona, przestarzała: wprawdzie zawsze szanowna i tem niebezpieczniejsza, że ludzi poczciwych ludzi pozorem pożytku i od innych naglących robót wstrzymuje. Dziś, sprawa nasza na innem polu już się rozstrzyga. Z politycznego, a następnie narodowego, bój nasz z Moskwą staje się coraz bardziej, coraz wyłączniej religijny. Już ona nam odjęła prawa polityczne, odejmuje język i narodowość, zakazuje zwać się Polakami — niebawem pokusi się o wydarcie nam reszty wiary i Kościoła, i za-

każe być katolikami. Czy się to stanie za tego cara, czy za jego syna, który z natury swojej podobno do Iwana Groźnego jest podobny, nie wiem: to tylko pewna, że Moskwa (jak niegdyś francuska konwencya), skoro przyjdzie do sił i swego uzbrojenia, swych kolei żelaznych dokończy, wnet przyjmie za zasadę, że w niej, jak jeden rząd i jeden naród, tak i jedna powinna być wiara. I niby nie gwałcąc sumienia katolików, niby nie tykając nawet ich liturgii, zakaże ona poddanym swoim wszelkiego uznawania zagranicznej władzy, to jest Papieża, a Kollegium petersburskie jako najwyższą instancyę dla katolików naznaczy. Zamach to będzie ostateczny, nietylko na Kościół, ale na odrębność naszą narodową. Zamach niewątpliwy, leżący w koniecznem następstwie dzisiejszego stanu Europy i dzisiejszego usposobienia Moskwy. Bój to stanowczy, o śmierć lub o życie. Powiedz, mój drogi, czem my się wówczas będziem bronili? Czy może wasze Rady powiatowe, szkolne, Banki pożyczkowe, koleje żelazne, a nawet lepsze gramatyki i wydoskonalone specyalne szkoły, staną dla kraju za puklerz — ah, wszystko to nie wytrzyma jednego uderzenia kozackiej nahajki. — W tej walce straszliwej, która może dziś, może za rok się rozpocznie, jednem tylko męczeństwem za wiarę prawdziwem — ocalić będziemy mogli i Kościół i naród. — Wskaż mi, mój drogi, aby jednę z prac waszych, któraby przygotowywała naród do tego co go czeka, przez co przejść musi? Daruj, że powiem, wy o wszystkiem pamiętacie, tylko nie o tem, co dla kraju najpilniejsze: co w duszy zasiane, ani ukazem, ani knutem wyplenić się odrazu nie da. U was, jakto już w roku zeszłym ci pisałem, pełno zapobiegliwych Mart, co około wiela troszczą się i krzątają, a jednego potrzeba.

„Zapytasz mnie, czemu — widząc najważniejsze pole tak zaniedbane — nie przyjechałem sam pomagać do jego uprawiania. Wiele do tego powodów. A naprzód, że sprawy religijne mało was w istocie obchodzą, niełatwo byłoby otrzymać od was pomoc; wam tak niemiłe „wszystko, co trąci zakrystyą!“ Powtóre, wobec powszechnej prawie u nas nieznajomości katechizmu i mnóstwa fałszywych rozsianych pojęć, wobec zbyt wątłego zastępu tych, co troszczą się o wiarę, człowiek świecki nie zrobi nic na tem polu w Galicyi, zwłaszcza gdyby, jak ja, przyjechał z gotową już reputacyą arystokraty, jezuity, ultramontanina! W końcu zaś i nadewszystko, że wobec tylu uprzedzeń i tylu niedostatków, nie czułbym w sobie dość siły, aby na niwie tak mało uprawionej pracować. — We Francyi można żyć w świecie, a jednak dla Kościoła, i służyć mu wedle zasobów które

Bóg dał, i jak wiesz, znaczna część przysług chrześciańskich, przez świeckich ludzi bywa tam spełniona. Ale u nas, kto chce dla Kościoła pracować i rozkrzewiać nieodzowne dla narodu zasady i uczucia wiary, musi księdzem zostać, inaczej narazi się na śmieszność, lub co gorsza, na krzywdzące domysły i podejrzenia.

„I oto są, mój drogi, powody, które mnie skłoniły do wejścia na nową drogę, po piętnastu lub więcej latach, przebytych na tych właśnie pracach organizacyjnych (lub ich głoszeniu), których dzisiaj niedostateczność czuję tak mocno. Chęć połączenia się z ludźmi co dźwigają Kościół polski, nadzieja służby apostolskiej w kraju, a przedtem jeszcze potrzeba znalezienia sił odpowiednich i wyleczenia się ze swych wad, bądź osobistych, bądź narodowych, oto przyczyny czysto ludzkie, które kazały mi rozpocząć życie zakonne. Nie przeczę, że prócz nich były inne: chęć większego zbliżenia się do Pana Jezusa, z odłożeniem wszystkich interesów, do czasu przynajmniej; pragnienie pokochania Go całem sercem i nauczenia się służby Jemu, nie sobie, ani własnym zachceniom. Trudna to szkoła i byłaby niepodobną, gdyby kto w niej własną tylko mocą chciał zostawać, gdyby w walce codziennej na siebie liczył, gdyby głównej pomocy i nieustannego przytułku w Panu Jezusie nie szukał. Ale jakkolwiek ciężką być może niejedna godzina (a i na świecie jest ich niemało), to przecież od trzech tygodni, odkąd jestem w nowicyacie, nie było dnia, mówię to najszczerzej, w którymbym serdecznie, głęboko, rzewnie — nie dziękował Panu Bogu za to że mnie wprowadził do zakonu. Co było w mem powołaniu zbyt świeckiego, to za łaską Bożą uda mi się może oczyścić, i zdać wolę moją i projekta moje na wolę Bożą, i stać się jego posłusznem narzędziem. Myślę, że kiedyś będę mógł pracować w Polsce; lecz gdyby tak być nie miało, gdybym się musiał tego wyrzec, byłabyto wprawdzie najboleśniejsza, najtwardsza dla mnie ofiara, ale i tębym złożył Panu Bogu, na korzyść Polski i jeszczebym pewny był, że służę Polsce najskuteczniej, bo zgodnie z wolą Bożą."

Pole działania, jakie się przed nim otwierało, było najrozleglejsze ze wszystkich. Jego życie kapłańskie i zakonne, jego prace i zasługi w Kościele polskim i w Zgromadzeniu, jak wykazałyby znowu w całym blasku jego zdolność organizacyjną, tak najlepiej dałyby poznać jego religijnego ducha, jego wiarę, jego cnotę. Ta strona jego życia najważ-

niejsza ze wszystkich, najbogatsza w skutki, powinna być opisaną; trudno wszakże, żeby mógł opisać ją człowiek świecki, a w każdym razie w krótkim czasie, bo robota to duża i długa. Musimy ją tu z żalem pominąć, bo nie mamy z czego dowiedzieć się o niej tych szczegółów, bez których najogólniej tylko możemy o tych chwilach jego życia mówić.

Jego wstąpienie do nowicyatu wypadło właśnie na chwilę najzawziętszego, najnikczemniejszego prześladowania Zmartwychwstańców. Męty wyrzucone na powierzchnię wzburzeniem roku 1863, były wtedy rozlane szeroko, a zaufane w mniemane poświęcenie dla ojczyzny, były zuchwałe i głośne. Awanturnicy w świeckiej czy duchownej sukni, kapłani i patryoci (jak o nich mówiono i pisano), a tacy patryoci i kapłani, że na schizmie kończyli, mścili się na księżach, że ich w Rzymie ani w Paryżu władzom duchownym dobrze zalecić nie mogli; do takich łączyły się indywidua, jakie zawsze zdarzyć się muszą, czołgające się w nadziei że podchlebstwem wyjednają sobie u poważnych ludzi pozory szacunku i dobrego stosunku, a kiedy to do celu nie doprowadziło, szkalujące tych przed którymi pełzali, dla zemsty, dla przypodobania się innym, dla zrobienia sobie gdzieś u kogoś jakiegoś przecie stanowiska. Chór oszczerstw na Zmartwychwstańców, za intonacyą księdza Mikuszewskiego i podobnych, śpiewany przez kilka krajowych dzienników, wychodził na tosamo, co opowiadanie świeżo ogłoszone o Jenerale Skrzyneckim, jak go Gurowski oskarżał o przekupstwo i zdradę ojczyzny [1]). Ksiądz Kajsiewicz opowiedział te sprawy w swoim pamiętniku: ale wypadało jednak opowiedzieć je w pismach publicznych, żeby się do wiadomości ludzi szerzej dostały. Opowiadanie to i odpowiedź polecono napisać Kalince, który właśnie wyszedł był z nowicyatu i chodził na kursa teologii. Odpowiedź ta ma tytuł *Konspiracya Korespondentów*, a wyszła w *Przeglądzie Polskim* w lipcu

[1]) Patrz *Przegląd Polski* 1886. Czerwiec. „Z teki Jenerała Skrzyneckiego.“

r. 1869. Przypomniały się dobre czasy *Wiadomości Polskich.* Subtelnym a ciętym dowcipem, doskonałą argumentacyą, a zwłaszcza tą mocą prawdy, która daje powagę i wiarę słowom człowieka który ją mówi, te kilka mało znanych kart mogą się liczyć do bardzo świetnych płodów pióra Kalinki. Oczywiście na razie skutku nie wywarły: fałszerze — banknotów i wiadomości — o których pisał, zanim się jeszcze do swego rzemiosła wzięli, musieli oczywiście już naprzód *se faire un front qui ne rougit jamais,* i nie umilkli odrazu, owszem do dziśdnia jeszcze odezwie się niekiedy jakie spóźnione echo tych głosów — nie idących w niebiosy. Ale jak prawda na wierzch, tak fałsz swoim ciężarem idzie na spód; niejeden już z ówczesnych oskarżycieli sam ujawnioną podłością swoją zaświadczył o wartości swoich oskarżeń, a dobra sława Zgromadzenia stoi, powaga jego rośnie. Dobrze kończy Kalinka swoje pismo przysłowiem, „kłamstwem świat przejdziesz — ale nie wrócisz.“

W tymsamym czasie, w maju 1869, skończył on rok nowicyatu i wykonał pierwsze śluby zakonne, i w tym także otrzymał niespodziewane, a mimo obowiązkowej zakonnej pokory, miłe odznaczenie. Towarzystwo Historyczne w Paryżu przyznało mu nagrodę za *Ostatnie lata Stanisława Augusta*, jako za najlepszą książkę historyczną, jaka w tych latach była napisana. Po wywołanych nią niechęciach i oskarżeniach, taki wymiar sprawiedliwości, choć najprostszej, był poniekąd i zadośćuczynieniem. Oto, co pod świeżem wrażeniem pisze o tem Kalinka: „Rada wyznaczyła komisyę do „czytania i ocenienia dzieł; wezwano do niej (prócz członków Rady) Klaczkę, Al. Chodźkę, Wrotnowskiego, etc. Po „wielu sesyach i długiej dyskusyi przyznano nagrodę... mnie! „Tryumf to nielada... ta decyzya Towarzystwa Historycznego „powiększa znacznie wartość mojej książki, i zasadom w niej „wypowiedzianym daje uroczystą approbacyę... Ktoby się „spodziewał, aby w Paryżu i...“ (w rok zaledwo po przejściach niemiłych) ...„ta sprawa taki wzięła obrót. *Habent sua fata libelli.*“

Wyświęcony w grudniu roku 1870, Kalinka w ciągu roku 1872 był w Galicyi — (w Krakowie i we Lwowie, zapewne w sprawie osiedlenia się, któremu hr. Gołuchowski był przychylny; — przez czas jakiś było marzenie, a nawet nadzieja dostania Tyńca) — w początkach 1873 r., już po śmierci księdza Kajsiewicza, był w Paryżu, potem w Rzymie pełnił funkcye zarządcy domu; w lecie 1874 r. był jeszcze w Galicyi, i znowu bez skutku. Klimat rzymski działał źle na jego zdrowie: to, i jego energia, jego dar organizacyi sprawiły, że wysłano go do Bulgaryi. Co tam i co co w ogóle przez ten czas robił, to przechowywać się musi w archiwach zakonnych. Nam mało to znane. Wiemy tylko (z listu do ks. Władysława Czartoryskiego), że starał się o większe dla Missyi bułgarskiej zasiłki od lyońskiego stowarzyszenia *Propagacyi Wiary*, czy ze skutkiem, nie wiemy; wiemy tylko, że bawił w Adryanopolu od grudnia 1874 do końca marca 1875 r. Został wszakże z tego czasu jeden ślad jego myśli, o którym pokrótce wspomnieć musimy. Jak wiadomo, zakonnicy odprawiają medytacye, i wiadomo także, że Zmartwychwstańcy w Adryanopolu mają szkołę dla młodych Bułgarów. Ks. Kalinka za przedmiot tych medytacyj wziął między innemi obowiązki nauczycieli względem tych uczniów, i sposób, w jaki z nimi postępować należy. Nie są to nauki, tem mniej świeckie rozprawy; są raczej krótkie rozmyślania, ułatwiające rachunek nauczycielskiego sumienia, ale w wydaniu dzieł księdza Kalinki powinny znaleść się koniecznie. Są takie mądre, takie praktyczne, tak głęboko w naturę ludzką i przenikliwie wglądają, że każdemu kto dzieci chowa mogą się ogromnie przydać. Powtóre, księdza Kalinkę dają poznać ze strony nowej i niespodziewanej, pedagoga, a dowodzą, że i w tych rzeczach miał jakiś dar szczególny. Na tych zasadach oparte jest wychowanie w Internacie ruskim, i słusznie zasady systemu przypisują tam księdzu Kalince. Nie tu miejsce wdawać się w opis, a dopieroż w sądzenie syste-

mu [1]), nie możemy przecież zaprzeć się, że ten sposób kształcenia sumień i charakterów przez okazywaną uczniom ufność, przez przygotowanie i uzbrojenie ich przeciw złemu jakie w życiu spotkać mogą, a zwłaszcza przez przykład własny, bardzo nam do przekonania trafia. Nie możemy też odmówić sobie przyjemności przytoczenia tu jednego chociaż ustępu, który daje poznać dokładnie uczucia i stanowisko księdza Kalinki i Zgromadzenia względem późniejszych, ruskich wychowańców:

„Naród każdy wyraża jakąś myśl, którą Bóg chce prze-„zeń w ludzkości rozwinąć. Bóg daje mu odpowiednie do „jego zadania przymioty, które tworzą jego właściwość, cha-„rakter, i z pomocą których ma on następnie pracą wieków „spełnić swoje posłannictwo na ziemi.“

„Powinniśmy mieć uszanowanie dla każdej narodowości „przez wzgląd na jej początek, na jej cel. Lekceważenie jej „byłoby pogardą myśli Bożej, która w niej tkwi i kiedyś „zakwitnie. Poniewierać narodem dla jego wad lub niedo-„statków, albo dlatego, że są inne wyżej od niego stojące, „byłoby tożsamo co deptać godność człowieka dlatego, że są „inni lepiej ubrani lub wykształceńsi od niego.“

„Przez uszanowanie, które dla ich narodowości okazu-„jemy, dzieci bułgarskie powinny rozumieć jej wysoką waż-„ność, powinny wszczepić w siebie przekonanie, że nie na-„próżno Bóg ich stworzył w tym a nie w innym narodzie, „że mają względem niego obowiązki, których niemożna za-„niedbać bez niewierności Bogu. Dzieci wiedzieć mają, że „kto cnotliwy i wierny łasce, ten najlepiej służy swemu na-„rodowi, bo ściąga błogosławieństwo na cały kraj, — a prze-„ciwnie każda plama osobista, jest hańbą dla narodu i umniej-„sza mu łaski Bożej. Wiara w narodzie, to jego błogosła-„wieństwo i siła. Dzieci bułgarskie wiedzieć mają, że bez

[1]) Zasady skreślił ksiądz Smolikowski, przełożony Internatu, w rocznem sprawozdaniu z jego stanu z roku 1886, w roku 1877 drukowanem.

„wierności Kościołowi naród ten jak nie miał przeszłości, „tak i przyszłości mieć nie będzie, i tylko klęski po klęskach „i poniżenia i zawody czekać go będą. Że Kościół, to duch „i podwalina narodu, *ale nie może* mu nigdy służyć za na-„rzędzie polityczne. Kiedy Kościół jest dla nas celem, a Bóg „początkiem i końcem naszego działania, wszystko w naro-„dzie dźwiga się i utrwala w porządku. Przez myśl Bożą, „którą przyjął naród, rośnie na duchu i ciele i przychodzi „do najszerszego przeznaczonego mu w świecie stanowiska. „Ale całkiem przeciwnie się ma, kiedy Kościół użyty jest „jako jaka kombinacya polityczna, dogodna na ten czas, dla „zwalczenia przeciwnika, dla ominięcia trudności i przeszkód. „Bóg nie znosi takiej zniewagi, aby to jego dzieło najdroż-„sze, któremu fundament krwi swojej położył, było tak po-„niewierane. Taka rachuba fałszem jest i jak fałsz każdy „sama sobie karę przynosi, bo wtedy i Kościół niszczeje i „naród się upadla.“

„Dzieci oswojone powinny być z myślą, że je w życiu „liczne pokusy czekają, dla wypróbowania ich wierności. Że „będą powołane do dania świadectwa prawdzie, a to świa-„dectwo kosztować je musi. Ale Bóg dobry nie ześle na nich „pokus cięższych nad ich siły i w tych pokusach wspomoże „tych, co Mu będą ufali.“

„Nie masz narodu, któryby się nawrócił, lub w wierze „utrwalił bez świętych. Na początku dziejów każdego narodu „błyszczy jakaś wielka postać świętego, która mu drogę to-„ruje.“

„Miejmyż i my to w pamięci, i sami to rozpamięty-„wajmy i Panu wciąż w modlitwie przypominajmy, że ta „unia nad którą pracujemy, póty będzie kruchem dziełem, „dopóki świętych nie wyda. I Bulgarya, jak Ruś niegdyś, „potrzebuje Jozefata. Pobożność zwyczajna — ziemska gorli-„wość, uczciwość mierna nie wystarcza, trzeba heroizmu „cnót.“

W ciągu tego całego czasu przecież i pomimo zajęć tak odmiennej natury, *Ostatnie lata Stanisława Augusta* nie

wychodziły mu z myśli. Pisać dalej to co zaczął, napisać historyę Czteroletniego Sejmu miał za swoją powinność i za rzecz publicznego pożytku. Ksiądz Semenenko, jenerał Zakonu, rozumiał to taksamo; wiedział, że choć to nie bezpośrednio praca dla Zakonu, ale zawsze służba Boża i pożytek Kościoła, i że jeżeli jeden z jego zakonników pracy takiej dokonać może lepiej niż ktokolwiek inny, to przeszkadzać mu w niej, odrywać go od niej byłoby źle. Przeznaczył go zatem na kapelana przy klasztorze Sióstr Niepokalanego poczęcia w Jarosławiu (1877). Miejsce to było odludne i ciche, innego zajęcia mało, bliskość Lwowa i Krakowa, zatem łatwy przystęp do bibliotek; i tam zaczął się pisać *Sejm Czteroletni*. Z jakim trudem szukania i dostawania źródeł, tego domyślać się tylko możemy. Ksiądz Kalinka mówił zawsze, że wielkiej uprzejmości i łatwości doznał w Berlinie, gdzie w archiwum królewskiem pozwolono mu korzystać z wszystkiego. Od trudu i mozołu wszakże cięższy był ból zagłębiania się w te czasy, stopniowego odkrywania, że złego było więcej, dobrego mniej, niż się sądziło — i ból konieczności powiedzenia tego po raz pierwszy...

Ten Jarosław ma swój rodzaj szczęścia i chwały. Po jednej jego stronie, w Pawłosiowie, przygotowywał Skarga do druku *Kazania na Niedziele i Święta*, po drugiej stronie, na Głębokiej, pisał Kalinka pierwszy tom *Czteroletniego Sejmu*. Jak tamto w wymowie kościelnej, tak to w historyografii polskiej na szczytach.

Ten pierwszy tom wyszedł w roku 1880.

VI.

Właściwą cechą i znaczącym faktem naszej literatury z ostatnich lat dwudziestu kilku, jest to, że największa liczba sił i zdolności (i to zdolności najcelniejsze, wyborowe), skupiły się około historyi; ona jest dziś głównem, najsilniejszem korytem, którem płynie nasze piśmiennictwo, jak pół wieku temu była niem poezya. Uważamy to za szczęście dla narodu i za dowód, że on postępuje i dojrzewa. Trzy są władze w duszy ludzkiej: uczucie, rozum i wola, a każda ma w życiu człowieka okres nie wyłącznego panowania, ale górowania nad innemi. W pierwszej młodości żyje człowiek głównie uczuciem, a ono nim włada. Doświadczenie i zastanowienie uczą go, że uczucie nie jest nieomylnem i że ono samo nie ma prawa i nie umié rządzić człowiekiem i jego życiem; kiedy się tego dowiedział, zbliża się człowiek i dojrzewa do wieku męskiego. A dopiero kiedy sądu i rozwagi nabrał, i kiedy je dodał do tej czujności sumienia i szlachetności serca, jaką mu dało uczucie, kiedy te dwa pierwiastki w duszy swojej połączył, wtedy nabywa człowiek tego, co go wprowadza w trzecią epokę jego życia: charakteru, i wtedy zodyakowym znakiem jego życia jest już nie uczucie, nie refleksya, ale na nich oparta i niemi dobrze kierowana władza trzecia, wola; zaczyna się po okresach przygotowujących (uczuć i rozmyślań) okres ostatni praktycznego życia działania. W życiu zbiorowem narodów powtarzają się te

trzy stopnie także, powtarzać się mogą nietylko w całości ich dziejów, ale w jednym z tych dziejów okresie lub wieku. Nasz naród w swojem porozbiorowem życiu szedł za popędem uczucia aż do roku 1863; że wszedł w epokę refleksyi i rozwagi (dowodzi oprócz innych wskazówek) i to, że na sam przód jego zajęć umysłowych wyszła historya. To jest jest jego sposób badania siebie, obrachunku z sobą, jego *nosce te ipsum*. W okres trzeci, afirmowania i pełnego używania swojej woli, wstępnego działania, przejdzie wtedy, kiedy wyrabiająca się w tym drugim świadomość siebie przejmie go dobrze nawskróś i do tej dojrzałości doprowadzi.

Ten zaś fakt — nie literacki ani teoretyczny tylko, ale bardzo praktyczny i historyczny — fakt obudzonego nad sobą sądu, objawiony dotąd najświetniej w pracach historycznych, dał się widzieć naprzód przez dwóch ludzi, którzy (innym zasługi ani zdolności nie umniejszając bynajmniej) byli pierwsi co do czasu, pierwsi w znajomości natury swego narodu, i pierwsi wreszcie w sztuce historycznego pisania; Szujski i Kalinka. Jako rodzaj umysłu i jako zalety talentu, zupełnie do siebie niepodobni, wprost różni. Kalinka nie miał tej wyobraźni poetycznej, która — trzymana na wodzy umiejętnością i sumiennością historyka — była wielką siłą, wielką pomocnicą i sługą Szujskiego. Dawała mu tę intuicyę, która przeczuwała i odgadywała prawdę o ludziach i wypadkach, prawdę, którą potem badanie sprawdzało. Kolumb czuł, że antipody być muszą; Kopernik, że ziemia musi się obracać: zanim jeden i drugi doświadczeniem i rachunkiem doszedł do sprawdzenia swoich przeczuć. Szujski tak czuł naprzód, odgadywał prawdy historyczne swoją intuicyą, na którą składały się dwa pierwiastki: miłość ojczyzny i wyobraźnia poetyczna, do historycznych rzeczy zwrócona i użyta. Tesame dwie władze sprawiały, że w swojem przedstawieniu rzeczy i ludzi, Szujski miewał siłę kolorytu, w swoich słowach patetyczną siłę miłości lub zgrozy, przypominającą Tacyta. To jest typ historyka, do którego należy Szujski. Kalinka poetą nie był, wyobraźni nie miał, nie odgadywał nigdy, tylko

myśleniem, refleksyą dochodził. Nie unoszący się nigdy, nie porywał patetycznemi, natchnionemi ustępami. Effekt u niego powstawał z przeciwieństwa delikatnych odcieni i półtonów, silnie oznaczonym, jaskrawym nie bywał nigdy. Jako pisarz podobny był do tych malarzy, którzy nie mają świetnego kolorytu, ale doskonałość rysunku każe o tem zapomnieć; jako historyk stał pod chorągwią nie Tacyta jak Szujski, tylko Tucydidesa. Zato miał jako pisarz tę zawsze równą doskonałość stylu, tę prostotę i przejrzystość słowa i układu, jakiej Szujski często zawiły nie miał. Tamten jest świetniejszy czasem, ten doskonalszy zawsze; uderzających i porywających piękności u Szujskiego jest więcej, ale sposób Kalinki jest klasyczny. Głębokość sądu, zmysł polityczny, będą u obu zapewne równe i ogółem z sobą zgodne, a stanowisko, z jakiego na sprawy polskie patrzą, tosamo. Tylko Szujskiego sąd ma więcej ogólnego filozoficznego pierwiastku i kierunku, sąd Kalinki praktycznego, a w szczególności dyplomatycznego. Gdyby Kalinka był pisał o wieku XVI, byłby sprawy jego tak rozumiał i sądził jak Szujski; w wieku XVIII Szujski niejedno widział inaczej jak Kalinka, ale powody złego widząc taksamo, byłby musiał sądzić podobnie i szczegóły, gdyby był tak się w nie zagłębiał jak tamten. Przekonania religijne, pojęcie stosunku ludzi i społeczeństw do Boga i Kościoła, jest u obudwóch tosamo, z tą różnicą, że Szujski historyk już zamłodu, im dalej tem lepiej do poznania prawd tych dochodzi; Kalinka zmieniać się pod tym względem i postępować nie potrzebuje, bo jest już zupełnie dojrzały i ustalony, kiedy historyę pisać zaczyna. Jeden może być doskonalszym, klasycznym, bo pisze mniej i całą swoją siłę i pracę koncentruje w jednej epoce; drugiemu na doskonałość nie starczy czasu: ale ten wielki popęd, który w nim jest, i który całe wieki historyi polskiej podejmuje, roztrząsa, oświeca, z całych prawdę i naukę dobywa, ten popęd za doskonałość staje, a swoim choć innym sposobem często do niej dochodzi. Próżno jest porównywać i mierzyć znakomitych ludzi, i wszystkie niegdyś modne paralelle Ra-

faela i Michała Anioła, Beethovena i Mozarta, Schillera i Göthego, ludzi myślących doprowadzały zawsze tylko do wniosku, że każdy z nich jest inny, nigdy do tego, który większy. Taksamo, gdyby je kto robić próbował, skończyćby się musiało porównanie Szujskiego z Kalinką. Tylko że są jedną z takich wielkich par — w naszej historyi i literaturze jedną z największych — to pewna.

W tym zaś zwrocie historyi polskiej, którzy oni we dwóch poczynają i reprezentują, nie da się i nie zależy na tem, by oznaczyć, która książka najlepsza, która najwięcej prawd wykryła, wpływu wywarła, pożytku przyniosła; — ale najwyraźniejszem, najjaskrawszem świadectwem zwrotu, krokiem na tej drodze najśmielszym, bo najboleśniejszym, nauką najłatwiejszą bo najbliższą, był *Sejm Czteroletni* księdza Kalinki.

Dlaczego ze wszystkich prawd historyi ta ma być najboleśniejsza? Rzecz jasna. Od lat prawie stu żyliśmy i umierali w tem przekonaniu, że Trzeci Maj był aktem skruchy i poprawy dawnej Rzpltej, jej ostatnią wolą, a dla nas i przykazaniem i wiatykiem na ciężką drogę porozbiorowego życia; w dokonanej podówczas poprawie, w podniesionej miłości ojczyzny, w sprawiedliwości i mądrości ustawy Trzeciego Maja, była część wielka naszej siły życia, bo był dowód, że Polska ówczesna była lepsza niż dawniejsza i lepsza od innych; w tem znowu rękojmia, że ona ma i prawo i siłę odżycia. Czy w takiem sądzeniu *Trzeciego Maja* myśmy się mylili? Nie. To wszystko jest prawda i w tę prawdę winniśmy wierzyć tak, jak wierzyły wszystkie pokolenia aż do nas. Tylko jak wszystkie nasze sprawy do roku 1863, tak tę sprawę aż do Kalinki sądziliśmy uczuciem samem, patrzaliśmy na nią z tego stanowiska, co na wszystkie inne; widzieliśmy jej słuszność i szlachetność i myśleliśmy, że gdzie jest słuszność i szlachetność, tam wszystko inne albo samo przez się być musi, albo niekoniecznie potrzebne. Dziś tasama rozwaga, która każe nam znać i sądzić nasze położenie polityczne, przystępuje do tej sprawy historycznej i mówi przez

usta Kalinki, że przy słuszności sprawy a szlachetności popędu i celu, w ustawie samej były niedoskonałości, w postępowaniu błędy grube, w ludziach słabości albo małości... W tym ostatnim akcie narodowej zasługi i mądrości, który jako ostatni był najdroższy, czczony jak świętość, pokazały się gorsze pierwiastki, nieodłączne od natury ludzkiej i ludzkich dzieł — ten historyczny ideał nie był ani moralnie ani politycznie doskonałym; ludzie, którzy go stworzyli, nie byli ani tak święci ani tak wielcy jak nam się zdawało... tłómaczyć ich trzeba często, wytłómaczyć nie zawsze można! A więc cóż nam zostanie, w co i komu mamy wierzyć, gdzie w sobie szukać rozumu, wielkiego charakteru, patryotyzmu bez przymieszki, zatem zdolności i siły do życia, jeżeli tego niema w ustawie Trzeciego Maja i w jej twórcach? Oto wrażenie rozpaczliwe, z jakiem niejeden tę książkę czytał, i dlategoto jest ona ze wszystkich naszych książek historycznych najsmutniejsza. Wrażeniu się nie dziwimy: prosimy tylko, by ten kto go doznał, zważył, że jeżeli jemu tak okropnie było czytać, jakże dopiero być musiało temu, co czuł niemniej jak on, a pisał i dowiadywał się i drugim oznajmiał pierwszy. I gdybyśmy mieli czemu się dziwić, to temu raczej, że książka tak bolesna, tak przecie była przez ogół wdzięcznie przyjęta; że nie zrozumiała i na autora się burzyła liczba stosunkowo bardzo mała, a większość czytała ze łzami, z zaciśniętą pięścią, ze wstydem na czole, ale czytała tak, jak się połyka lekarstwo, „niech boli jak chce“ — czując, że na jej dobro i szanując owszem błogosławiąc lekarza. To jest (jak słusznie zauważył p. Popiel w recenzyi pierwszego tomu *Sejmu*. — *Przegląd Polski*. Listopad 1880) rzecz niełatwa ani mała, a pocieszająca bardzo. Że zaś wykazane słabości i błędy ludzi nie zmazują ich wartości, że niedoskonałość rzeczy nie zmienia jej słuszności i szlachetności, i że wskutek tego wrażenie książki bolesne bardzo rozpaczliwem nie jest, to się pokaże.

Wszystko co dobre, przychodzi pomału i trudno, i nigdy człowiek ni naród odrazu nie zmądrzał. Tę prawdę nie Ka-

linka odkrył, znana jest odkąd świat światem, a że ją nas historya i jego książka raz więcej stwierdza, nie jego wina. My przez upadek Rzeczypospolitej, przez wstyd czas Saskich, przez sejmy, z których ani jeden ordynaryjny Augusta III nie doszedł, przez jego elekcyę pod przemo cudzych bagnetów, przez Konarskiego wreszcie, zmądrzeliśn o tyle, iżeśmy się przekonali, że Polska nie stoi nierząde ale że jak wszystko, tak i ona nierządem upada. Przekon liśmy się (wielu z nas), że *Liberum veto* nie jest źreni wolności i że trzeba nam innego, skutecznego *Rad Sposol* Nie byłto postęp mały, było zwycięstwo nad jednym z starzałym przesądem, był zrobiony początek. Inne przesą zostały. Ale kiedy przyszły szkody i sromoty gorsze, kon deracya Radomska, pierwszy rozbiór i sejm Ponińskiego, z częła się w umysłach wyrabiać walka z przesądem drugi z wolną elekcyą: walka nie odrazu stanowczo zwycięsl przecież o tyle, że i ten drugi filar nierządu runął w opi i świadomości wielu; na jego miejscu stanęło przekonan że bezkrólewia i elekcye są drugim głównym powodem s bości. Otworzyły się oczy dalej na militarną słabość państ i na społeczną niemoc narodu; mniejszych i ubocznych zmi w opinii, które z tamtych płynęły jako ich następstwa i u pełnienia, nie trzeba wyliczać. Te wystarczą, by dowieść, się postęp zaczął i że dość daleko zaszedł, a zarazem, oznaczyć, gdzie się zatrzymał, jakiej granicy nie przesze Naród zmądrzał bardzo, ale tej mądrości jeszcze wtedy n nabył; która uczy zadać przymus (gdy potrzeba) uczuci nawet najszanowniejszym i znosić zgodnie ludzi nienawi nych, jeżeli ta zgoda wzmaga naszą siłę; która uczy, że głośne mówienie wtedy dopiero jest pora, kiedy do silne działania jest gotowość; która uczy, że administracya n może być sprężystą ani dyplomacya skuteczną, kiedy kollegialnie przez wielu prowadzi; tej mądrości naród jesz wtedy nie nabył, która uczy, jak swoją politykę zagranicz prowadzić — a w stosunkach najtrudniejszych — iżby u kając Charybdy, nie wpaść na Scyllę. Zmądrzeli o tyle,

już wiedzieli, czem się ratować i dźwigać mają — nie dosyć by wiedzieć jak, jakiemi praktycznemi sposobami. Oto ostatnia konkluzya i sąd, jakie się z tej książki wynosi; a jej nauka jest ta, że czego im niedostawało, to my mamy dopełnić, i stanąć na tym stopniu politycznego rozumu i patryotycznego sumienia, który dla nich był jeszcze niedostępny. Konkluzya nierozpaczliwa wcale, skoro oni bardzo dużo zrobili i bardzo dużo postąpili; a nauka rozpaczliwa chyba dla takich tylko, którzy albo tego nie wiedzą, że nie odrazu Kraków zbudowany, albo na długą i trudną budowę nie mają odwagi i siły.

Fakt ten, powody, dla których był (a prawie musiał być) taki, formy w jakich się ukazywał, i skutki, jakie sprowadzał, oto co się przewija przez cały ciąg tych dziejów, a w opowiadaniu występuje z jasnością i wyrazistością niezrównaną.

Sejm zbiera się w zamiarze poprawy Rzpltej, a w uczuciach jego pierwsze miejsce ma wstyd; ten nim powoduje, ten mu dyktuje uchwały. Honor i patryotyzm cierpią nad upokorzeniem Rzpltej, nad przemocą Rosyi; jej gwarancya, porwanie senatorów, rozbiór, wielkorządy Stackelberga w Warszawie, wszystko to ich boli i wstydzi; ten wstyd chcą zmazać, z tego poniżenia się podnieść. To uczucie jest ich chlubą, jest miarą postępu w nich, jest naszym pożytkiem i spuścizną jakąśmy po nich wzięli. Tem uczuciem natchnione postępki, psychologicznie naturalne i zrozumiałe, politycznie nie były dość rozważne i zręczne, i przyniosły złych skutków dosyć. Teraz kiedy my poczuliśmy się w swoim upadku, a kiedy Rosya zajęta wojną turecką i uwikłana w trudności wielkie, teraz czas odrobić i naprawić wszystko, co pod powagą i przewagą Rosyi stanęło. Z upokorzenia wyszła nienawiść Rosyi: z obojga razem ten popęd, który przez ciąg pierwszego roku obrad sejmowych, właściwie burzy tylko i znosi to, co powstało na sejmie podziałowym. Czy z pożytkiem dla Rzpltej? Kalinka dowodzi że nie; że ta reakcya (jak każda zwykle) poszła zadaleko, bo Rada Nieustająca jakakolwiek

była, była przecież jakimś rządem i lepszym, porządniejszym, niż go się od wieku w Polsce widziało; bo (żeby więcej przykładów nie przytaczać) oddanie wojska pod rozkazy sejmowej komisyi było pomysłem tak niedorzecznie, tak potwornie fałszywym w zasadzie, a w praktyce utrudniającym organizacyę wojska na dziś, a jego działanie na przyszłość, że takiej naiwności u ludzi rozumnych nie można pojąć. Co ją tłómaczy, to zaraz zobaczymy.

Zniosło się, co się znieść chciało; co się na to miejsce postawi? Wojsko, skarb, bez którego wojsko być nie może, to odrazu na najbliższe niebezpieczeństwo. Na przyszłość, na ubezpieczenie Rzpltej, taką formę rządu, któraby utrzymała siłę i ład. A więc uchwała stu tysięcy wojska, uchwała podatków, i wybór deputacyi, która ma ułożyć projekt przyszłej formy rządu. Wszystko doskonałe, tylko wykonane gorzej. W czem i dlaczego gorzej? W tem, że uchwalono sto tysięcy wojska, nie pytając, czy się je postawić i utrzymać zdoła; najrozumniejsi i najoświeceńsi byli pewni, że w położeniu tak groźnem, nie można oglądać się na możność i rachować, trzeba się ratować heroicznemi środkami. Logika w tem była, ale przeciw rzeczywistości logika nie jest mocną, i uchwalone sto tysięcy wojska nie stanęły nigdy. Pierwsze złe. Drugie, gorsze (bo tu już nie fizyczna niemożliwość, ale moralna opieszałość stała na przeszkodzie) — że uchwalone podatki nie wpływały. Trzecie złe, że ta nowa forma rządu budowała się w umysłach podług teoretycznych reguł i doktryn, podług szlachetnych zasad nawet, ale bez tej praktycznej świadomości, że naturą, istotą, warunkiem rządu, jest możność rządzenia. Oni wiedzieli dobrze, że Polska nierządem ginie; ale że rząd musi mieć władzę, tego jeszcze nie rozumieli. Ignacy Potocki wymyśla jakąś sejmową komisyę do prowadzenia spraw zagranicznych, książę Jenerał Ziem Podolskich cieszy się, że „szczęśliwość obywateli wtedy dopiero będzie zapewnioną, kiedy się rząd na wielką liczbę niezależnych od siebie magistratur rozdzieli i w nich rozpłynie.“ Jeżeli ci dwaj tak rzeczy pojmowali, czegóż spodziewać się po mniej oświeco-

nych i rozumnych? Jeszcze raz, oni rozumieją, że *veto* jest złe, że elekcye i bezkrólewia są złe; ale tego nie rozumieją, że rząd powinien być silny i jego wzmocnienia nie chcą; jeszcze raz, pojęcia się kształcą, poprawiają, wyrabiają pomału a nie odrazu.

Dlaczego oni rozumieć tego nie mogli? co im przeszkadzało? Bo wszystkie tradycyjne pojęciu państwa przeciwne uprzedzenia, żyły jeszcze i były zakorzenione głęboko; bo zasadnicze a zasadniczo fałszywe pojęcie rządu i narodu, jako dwóch pierwiastków różnych i dwóch sił przeciwnych, jako dwóch osobnych jestestw, a nie jako jednej całości; bo podejrzywanie rządu i szacowanie wolności wyżej niż siły (kiedy ta jako podstawa niepodległości powinna być wyżej cenioną) — zawsze w nas były. W tych ostatnich stanowczych latach może były już jako kara za to, żeśmy ich wcześniej pozbyć się nie chcieli. Autorowie Konstytucyi 3go maja w wielu swoich pomysłach, w niektórych swoich zasadniczych pojęciach tak przypominają starych reformatorów z pierwszej połowy XVIII wieku, że nieraz, kiedy się odezwie Ignacy Potocki, zdaje się, że to jeszcze Leszczyński albo Karwicki; ci, jak tamci, gorliwi są o bezpieczeństwo wolności; boją się żeby król nie stał się tyranem, gdyby miał rozdawnictwo urzędów albo władzę nad wojskiem. Że bez tego on nie zdoła być rządem, to wiedzą, ale też nie chcą, żeby nim był; chcą, żeby rządem był Sejm, Władza prawodawcza wykonawczą! U stronnictwa republikańskiego uprzedzenia takie nie potrzebują tłómaczenia, u zwolenników reformy są do zrozumienia trudne. Tłómaczy je doskonale p. Paweł Popiel w głębokiej recenzyi pierwszego tomu *Sejmu Czteroletniego* [1]). „W tymsamym czasie, kiedy Polska dochodziła do „ostatniej atonii, powstawały na Zachodzie teorye... z gruntu „fałszywe. Zasada wszechwładztwa ludowego, teorya kon„traktu społecznego, zarówno jak *liberum veto* i równość szla„checka jest błędną. Polacy, czy przenikliwsi rozumem, czy

[1]) *Przegląd Polski*, Listopad 1880, str. 242 i dalsze.

„obznajomieni z zagranicą, porównywując upadek własnej „ojczyzny z rozkwitem ziem obcych, szukali tam przykładu, „nauki i rady. Spotkali się jednak z niezdrowym społecz-„nym ustrojem, z rozkładem moralnym i z teoryami, które „niewypróbowane w praktyce, przedstawiane przez umysły „świetne ale harde, dlatego właśnie zyskiwały zwolenników, „że miały niby uwolnić ludzkość z politycznych i duchow-„nych więzów. Dwa fałsze wystąpiły naprzeciwko siebie...“

Ludzie, którzy chcieli poprawy polskiego rządu, przejęci byli sami fałszywemi pojęciami i w takie wierzyli. Nie można im się dziwić, zapewne nie mogli oni myśleć inaczej; ale skoro tak było, więc znowu nie można się dziwić, że to co wymyślili zupełnie dobrem być nie mogło. Przypadkowa ale ironiczna przepowiednia tkwi w tej nazwie deputacyi do Poprawy Formy Rządu jaką sobie dali; istotnie formę poprawiali, istoty i natury nie tknęli.

Gorsza a do usprawiedliwienia trudniejsza ich pomyłka druga, w polityce zagranicznej. Nienawiść do Rosyi, sama w sobie nieunikniona i usprawiedliwiona zupełnie, rzuciła ich w ręce Prus. Niechby tak było: tylko kiedy po tej stronie stanęli, to powinni byli przyjąć i warunki i skutki tego kroku; ponieść odważnie straty, jakie ta polityka nakładała: ale odnieść i korzyści, jakie w niej być mogły. Były dwie drogi: albo żyć zgodnie z Rosyą — może i z nią w przymierzu spróbować wojny i coś zyskać, w każdym razie przeczekać Katarzynę; albo jeżeli z Prusami, to odrazu i śmiało wyrzec się Gdańska, ale wojnę ich z Rosyą i Austryą ułatwić, przyśpieszyć i za cenę Gdańska dostać Galicyę. To była także polityka, może niedobra, niepewna, ale logiczna i rozumna. Żadną i złą była ta, którą wybrano: zerwanie z Rosyą i w perspektywie jej zemsta, a z Prusami alians teoretyczny dla nich bez wartości, skoro Gdańska im nie dawał; bez korzyści dla Polski, skoro jej nie przywracał Galicyi, prowadzony zuchwale zrazu, kiedy Prusom robiono nadzieję tej cessyi bez pewności, czy się ją od sejmu otrzyma; bojaźliwie potem, kiedy Rzplta w zamierzonej wojnie miała już

udziału nie brać, a zakończony tem, że Prusy pogodzone z Austryą, już Galicyi Polsce ofiarować nie mogły, że nie dostawszy Gdańska od Polski, zaczęły układać plany, jakby go dostać bez niej i mimo niej.

To druga epoka działań sejmowych, w ciągu której stronnictwo rządzące czuje się bezpiecznem pod zasłoną przymierza pruskiego, a sprawy swoje prowadzi pomału, jak żeby miało przed sobą długie lata i wszelką swobodę działania.

A tymczasem Rosya rozwiązuje sobie ręce od strony Szwecyi, z Turcyą walczy cierpliwie, wytrwale, ale kiedy pierwszy effektowy sukces (Izmaiłow) pozwala jej skończyć wojnę z honorem, zaczyna się układać o pokój. Cóż teraz będzie? Rosya całemi siłami będzie mogła obrócić się na Polskę, upomnieć o wypowiedziany pobyt wojska w granicach Rzpltej, o pogwałcenie gwarancyi, każe przywrócić dawną Repninowską konstytucyę: a więc trzeba się śpieszyć, trzeba poprawę Rzpltej uchwalić, zanim Carowa zdoła wmięszać się nanowo w sprawy polskie. Znowu pomyłka: taki fakt dokonany Rosyi nie straszył, była nań przygotowana i równocześnie robota jej dojrzewała w Jassach. Ale znowu działanie reformatorów było porywcze, gorączkowe; znowu widząc co dobre, chcieli dosięgnąć tego jednym zamachem i przerachowali się. Teorye i przykłady mówiły, że monarchia dziedziczna jest silniejsza niż elekcyjna polska, a więc zaprowadzić dziedziczną. Nic słuszniejszego! tylko są położenia nieszczęsne, gdzie dobro samo obraca się na złe. Przestając na razie na wyznaczenie następcy za życia Stanisława Augusta, wytrącali Katarzynie (która się na to już zgodziła) pretext do interwencyi; uchwalając dziedziczność wykluczoną temi kardynalnemi prawami, które niegdyś pod jej gwarancyę były poddane, pretextu takiego dostarczali, a powód znalazła Katarzyna sama w tem właśnie, że tron dziedziczny mógł się stać wzmocnieniem Polski, wyzwoleniem jej z pod przewagi Rosyi.

Tego oni także jeszcze nie byli wiedzieli, że nawet w tem dobrem, w tem najlepszem, jakie się chce swojej oj-

czyźnie zrobić, trzeba bacznie rozeznawać czas i rozmiary, w jakich to dobre zrobić da się. Podług księdza Kalinki, tedy polityka Króla była lepsza, bo wolniejszym krokiem byłaby wiodła do pewniejszych korzyści; częściowe naprawy wewnętrzne byłyby się dały zrobić; po Stanisławie Auguście nie byłoby bezkrólewia, a nie byłoby drugiego rozbioru; Rzplta niepodległa byłaby doczekała śmierci Katarzyny, a potem... w dziesięć lat potem była Jena! nie było Prus! na co mogła była wyjść Polska, gdyby była w niepodległości choćby zależnej przeżyła Katarzynę a dożyła Napoleona?

Czy się Kalinka myli i przywódzcom Czteroletniego Sejmu robi krzywdę, kiedy żałuje i zarzuca im, że się nie trzymali Króla i jego polityki? Niektórzy mówią, że tak; że historyk Czteroletniego Sejmu jest niesprawiedliwy, a jego politycy usprawiedliwieni tem, że Królowi wierzyć nie mogli. Czyż oni mogli Królowi wierzyć? Prawda że nie, i w tem właśnie największa tragiczność ówczesnego położenia. Nie mogli mieć wiary i ufności do Króla, który wstydliwym zaułkiem a nie prostą drogą dostał się na tron; który pozwolił ze swojej stolicy porwać swoich poddanych i o nich się nie upomniał; który podpisał rozbiór... ten Król powagi mieć nie mógł, i dowodziło to nieszczęściem honoru i godności w narodzie, że się tym Królem czuł upokorzony, że mu dowierzać, ani go szanować nie mógł. A tymczasem ten Król miał więcej rozumu, więcej politycznego zmysłu i doświadczenia niż inni; dla dobra Rzpltej trzeba było, żeby mu uwierzyli i za nim szli, a oni wierzyć nie mogli. Cokolwiek radził najlepiej, najszczerzej, to im było podejrzane! bali się w tem podejścia, zdrady, bo radził wierny, uległy prawie wasal Katarzyny a niegdyś jej kochanek, a więc to pewnie na jej korzyść a na naszą szkodę. W tem uczuciu, zupełnie zrozumiałem, jest ich wymówka. Ale czy ona jest dostateczną? Nie mogli wierzyć Stanisławowi Augustowi, ale czy mogli wierzyć królowi pruskiemu? czy ten więcej na wiarę zasługiwał? Jeden zrobił Polsce przecie coś dobrego, drugi zrobił pierwszy rozbiór. Oni tymczasem względem jednego do

zbytku byli ostrożni, nieufni, podejrzliwi; względem drugiego łatwowierni bez miary. Uniewinnić ich w tem trudno, a Kalinka trafia podobno na prawdę, kiedy przyczynę tej łatwowierności wskazuje w zastarzałej podejrzliwości względem Królów własnych i równie zastarzałej uległości względem wpływów zagranicznych.

Czy Kalinka jest w swoich sądach niesprawiedliwy, zbyt pobłażliwy dla Króla, zbyt surowy dla sejmowych przywódców? Zarzut ten daje się słyszeć często, tylko w różnych odcieniach i stopniach. Jedni twierdzą, że jego książka jest publicznem zgorszeniem, a oni sami zbyt porządni, iżby ją mieli brać do ręki; inni, że jeżeli nawet stronnictwo patryotyczne się myliło, to historykowi patryocie nie przystało tego przyznawać. Tych dwóch opinij prostować nie próbujemy, niech sobie jaśnieją w blasku swego przyrodzonego światła. Jest inna, która mówi, że niebezpiecznie jest winę upadku Rzpltej przypisywać wszystkim; bo jeżeli się przejmiemy tem przekonaniem, żeśmy winni wszyscy, to w dalszem następstwie przestaniemy siebie samych cenić i szanować i dojdziemy do konkluzyi, że może nie są bez wymówki ci, co takich niedołęgów pozbawili własnego bytu? Ten zarzut przewiduje Kalinka sam i odpowiada na niego w przedmowie do *Ostatnich Lat:*

„Źródłem naszej niemocy politycznej, a zatem i głównym jeśli nie wyłącznym powodem upadku, były (wspomnieliśmy to już wyżej i każda karta niniejszej książki świadczy o tem wyraźnie) owe rozliczne niedostatki charakteru narodowego, które całej klasie wówczas rządzącej właściwe, znajdowały swój typ skończony w tylu głośnych pyszałkach, od Zborowskiego i Zebrzydowskiego począwszy, a skończywszy na ostatnich Rzpltej hetmanach. W różnych czasach i w różnych ludziach tensam charakter u nas się powtarza i już przez to samo zasługuje na rozbiór uważny. A nie powiemy, żebyto były studya należące jedynie do przeszłości, albo żeby tyczyły jednej tylko klasy, dawniejszej szlachty; owszem, historyk sumienny wciąż musi sobie stawiać pytanie, azali

te wady, które przez dwa wieki grób pod stopami naszej ojczyzny kopały, dziś jeszcze nie utrudniają jej odrodzenia? Byłoto zasługą szlachty polskiej, że swą gorącą miłość ojczyzny, swą rycerskość i do ofiar gotowość umiała przelać, wśród walki pogrobowej, w inne warstwy narodu; i widzimy też od lat z górą sześćdziesięciu, z tych warstw podnoszące się bez przerwy postacie tak wysokie, że najczystszym typom polskiego niegdyś szlachectwa w niczem nie ustępują. Każdy dziesiątek lat ich pomnażał, w każdej wojnie ich widziano, i dzisiaj na każdem polu służby publicznej jest ich tak wiele, i tak zacnych, że nikomu już na myśl nie przyjdzie odróżniać: tyś syn szlachecki, a tyś miejski! Ale szczepiąc cnoty swoje w klasach niższych, szlachta polska zaszczepiła także swoje wady. Te w mniejszych rozmiarach i przy zmienionych okolicznościach znajdują dziś wyobrazicieli z niejednej miary dawniejszym podobnych. Każdy ruch narodowy wyrzuca teraz, z niższych czy wyższych klas, cały szereg nowych ludzi; a patrząc na nich, rzekłbyś, że to z grobu powstałe antenaty, znane tak dobrze choć bez karmazynu pyszałki, którym tylko pola i środków brakuje, by po staremu wszystkie zebrania publiczne swoją osobą zapełniać, zagłuszać, by w całym kraju na swoją rękę zawiązywać konfederacye, by w swym kącie powiatowym o całej decydować Rzpltej! Rzadko w którym narodzie, mimo klęsk i strasznych odmian, dochowała się, jak u nas, taka przez długie pokolenia jednostajność usposobień; co się działo w XVII i XVIII stuleciu, to i dzisiaj bezmała powtórzyćby się mogło, — gdyby nie ostrzegały sumienie i przeszłość! Kto więc chce rzucić potępienie na przestępców z wieków minionych, niech je rzuca, ale zarazem niech przyłoży rękę do własnej piersi i posłucha, azali w niej się nie odezwą podobne dawnym, rokoszowej pychy drgania! Jeśli przeto po wszystkie czasy i dla wszystkich ludzi nauka przeszłości uważana była za najlepszą mistrzynię, to u nas epoka tak bliska jak koniec Rzpltej, najsilniejszą powinnaby być przestrogą dla nas i dla

naszych następców, najwięcej dostarczyć wątku do badań i rozmyślań: *Mutato nomine de te docet — historia!*

„Przestroga dla spółczesnych i dla następców, oto — w ostatecznem zestawieniu wielostronnych względów i rozumowań — powód stanowczy, dla którego pragnęlibyśmy widzieć ogłoszony jak najpełniejszy zbiór świadectw historycznych z czasów naszego upadku; powód, zdaniem naszem, tak ważny, że wobec niego prawie z oczu uchodzą wszystkie niedogodności, jakkolwiek niezaprzeczone i w podobnych publikacyach nieuniknione. „Poznacie prawdę, mówi Pismo, a prawda was wyswobodzi." I gdyby w istocie był w narodzie naszym wstręt tak powszechny do szczerego w swej przeszłości rozpatrzenia się, wtedy dopiero możnaby już zrozpaczyć, bo wtedyby należało zwątpić o jego życiu i wyswobodzeniu."

A wreszcie są tacy, którzy i zamiar autora i wartość dzieła rozumieją jak należy, ale widzą w nim ukrytą niechęć do stronnictwa patryotycznego, słabość do Stanisława Augusta. Na to zdanie możebyśmy przystali, gdyby w pierwszej jego części zamiast słowa „niechęć" położyć słowo „żal"— a w drugiej zamiast słowa „słabość" położyć słowo „wyrozumiałość." Prof. Bobrzyński (w odczycie swoim o księdzu Kalince, we Lwowie 16 stycznia 1887 r.) dostrzegł bardzo trafnie, że Kalinka patrzy na sprawy przedewszystkiem ze stanowiska polityki zagranicznej. Kto więc z tego stanowiska błądzi mniej, tego on woli; kto zaś te sprawy prowadzić się zrywa a prowadzi źle, od tego coś go odpycha. Że zaś przymierze pruskie skończyło się klęską, której według wszelkiego prawdopodobieństwa polityka królewska byłaby Rzpltej oszczędziła, więc Kalinka nie lubi jednych a łaskawiej patrzy na drugich. Że nie lubi, nie myślimy przeczyć i gotowiśmy wskazać więcej po temu powodów. Nie lubi osób dla różnych przyczyn, każdej dla innych: Ignacego Potockiego naprzykład za to, że zarozumiały; Kołłątaja za to, że zły ksiądz i człowiek nizkiego, krętego charakteru; księcia Jenerała za to, że niestały i lekki; jednych za to że mają mimo

wszystkich nowoczesnych pozorów) staropolskie, wielkopańskie narowy; drugich za to, że mają nowomodne francuskie liberalne doktryny; wszystkich ogółem dla jednego jeszcze powodu. Ze stanowiska polityki zagranicznej patrzy Kalinka na sprawy i z tego głównie ludzi sądzi, prawda, ale niemniej może więcej jeszcze ze stanowiska religijnego i kościelnego. Zawsze chce a najczęściej umié dojść, jakie są którego z nich pod tym względem uczucia i przekonania. Rzecz prosta, że w tej mierze nie dogadza mu nikt; przecież jakiegoś gruntu religijnych uczuć, jakiejś tradycyjnej wiary i pobożności, znajduje więcej w Królu aniżeli naprzykład w Ignacym Potockim; i to jest także jednym z powodów, dla których do jednego jeszcze ma mniej pociągu niż do drugiego.

Ale czy to wszystko robi go stronniczym, niesprawiedliwym dla jednych, zbyt pobłażliwym dla drugich? Ktoby to twierdził musiałby dowieść, że broni jednych w złem które zrobili, oskarża drugich o takie, którego nie popełnili. Czy tak jest? Dotąd znalazł się fakt jeden: pan Korzon dowodzi (w I części czwartego tomu *Wewnętrznych Dziejów Polski za Stanisława Augusta),* że Kalinka kiedy Sejmowi wytyka zniesienie departamentu wojskowego, przypisuje temu departamentowi więcej energii, więcej czynności, więcej zasługi, niżeli ich miał w istocie. Protokóły posiedzeń departamentu, raporta i rozporządzenia, które p. Korzon znalazł w archiwach warszawskich (w metryce koronnej), dowodzą, że nie zrobiono tam ani tak dużo ani tak dobrze, jak mówi Kalinka. To nie dowód; gdyby on mógł był znać te dokumenta, które znał p. Korzon, byłby swój sąd stósownie zmodyfikował, i koniec. Że jest względem Króla zbyt pobłażliwy? Nie, on jest tylko pierwszy z Polaków względem niego litościwy. On rozumié jego przykrości i upokorzenia; widzi, że Stanisław August nieraz bardzo jest udręczony i żałuje go, ma dla niego współczucie. Widzi także i jego wrodzone zalety i nieraz w jego zdaniu słuszność, i tym oddaje sprawiedliwość. Ale on także pierwszy daje psychologiczny wizerunek Stanisława Augusta, w którym wszystkie jego słabości i małości zli-

czone są dokładnie a osądzone bez obwijania w bawełnę. Ci którzy mówią, że on Królowi zbytecznie pobłaża, pamiętają tylko to, że w *Sejmie Czteroletnim* on Królowi częściej niż opozycyi przyznaje słuszność; a zapominają o tym portrecie (w *Ostatnich latach*), który zawiera jego sąd; zapominają wreszcie, że bardzo często, ustawicznie, w *Sejmie* samym, Kalinka przypomina i wrodzone wady i popełnione błędy Króla; że nie wierzy jego charakterowi, choć wierzy w jego dobre chęci, w jego rozum, w jego istotne i wcale niemałe przymioty; że w nim szanuje te przymioty i królewską godność, ale jego samego nie bardzo szacuje a nigdy bez zastrzeżeń. Czyż to nie może się zdarzyć i czy dla nas ma być tak trudnem do pojęcia, że człowiek małej powagi i godności, człowiek, który nieraz postąpił źle i bardzo źle, mógł przecie mieć rozum i nieraz także mieć słuszność, i pewne polityczne położenie sądzić lepiej od innych, którzy może mieli więcej od niego serca i charakteru? W życiu potocznem spotykamy to codzień, rozumiemy to i nie mamy za dziwne, a kiedy nam kto pokaże tosamo w przeszłości i powié o człowieku historycznym, posądzamy go o stronniczość? Nie, tej nie było; wyrozumiałym dla Stanisława Augusta Kalinka był właśnie dlatego, że rozumiał tak dobrze naturę, która na więcej zdobyć się nie mogła, i położenie rozpaczliwie trudne, w jakiem się znajdował; żałował go, bo rozumiał, że ten człowiek wielorako winny był też i wielorako udręczonym; ale stronniczym nie był, żadnej jego słabości czy winy nie zataił ani nie zmniejszył; powiedział o nim prawdę i całą prawdę. Niektórzy pytają, co byłby Kalinka zrobił, gdyby był w tych dziejach doszedł dalej, do roku 1792, a dopieroż do Sejmu grodzieńskiego i do abdykacyi; myślą, że Kalinka wtedy byłby się znalazł w kłopocie, bo kiedy aż dotąd mówił o Królu lepiej niż o opozycyi, to dalej byłby musiał przyznać, że w niej było więcej honoru, powagi i charakteru, niż w jego duszy tak mało królewskiej. Tego kłopotu nie byłoby nigdy. Kalinka byłby powtórzył tylko to, co z góry powiedział: że w tych czasach

Króla już zgoła szanować nie można. Byłby może jeszcze tłómaczył — nie usprawiedliwiał — akces do Konfederacyi targowickiej, tak jak Małachowski tłómaczył akces Kołłątaja, nadzieją uratowania czegoś z dzieła Trzeciego Maja: nie byłby tłómaczył podpisu drugiego rozbioru ani abdykacyi. Byłby powiedział rzecz do zrozumienia łatwą, że Król, który do tronu niechlubnie doszedł a gorzej z niego zeszedł, będąc na tronie, miał swoje zalety i zasługi, a nieraz interes ojczyzny widział lepiej od innych. Byłby powiedział, że Ignacy Potocki, który zawinił ciężko pruskiem przymierzem, postąpił bardzo pięknie, kiedy się sam w ręce Suwarowa wydawał, by ocalić Pragę i stolicę; że tym czynem dowiódł bohaterskiego w swojej naturze pierwiastku, którego w naturze Króla nie było. Ale jak to nie zmienia mylności tej polityki, co oparła „los ojczyzny na szczerości Włocha“ — i prusaka, tak ten brak bohaterstwa, a nawet prostej godności w Stanisławie Auguście nie zmienia tego, że mógł nieraz mieć słuszność i nieraz ją rzeczywiście miał.

Tyle o mniemanej stronniczości. A teraz jeszcze o jednem, o tem, że *Trzeci Maj* nasza ostatnia zasługa i dzieło najlepsze naszej miłości ojczyzny, mądrości i szlachetności, przez Kalinkę ma być odarty ze swojej chwały i poddany krytyce, która w nim nie zostawia nic dobrego, a w narodzie już nic, coby w sobie cenić, na czemby w sobie samym mógł polegać. Tego w książce niema, to jest nieprawda. Nie będzie się jeszcze raz powtarzać tego, co sto razy powiedziane do prostych umysłów trafiło i wiarę u nich znalazło; tego, że jest obowiązkiem historyi, jej zadaniem i jej celem, mówić zupełną prawdę o wszystkiem; że to jest jej największa a właściwie cała korzyść, i że prawda należycie poznana ani miłości, ani czci ojczyzny uszczerbku nie przynosi; że bardzo płytkie musiałyby być te serca, a bardzo niepewne i wiotkie te patryotyzmy, któreby o ojczyźnie zwątpiły dlatego, że ten lub ów człowiek czy postępek nie był tak dobry, jak im się zdawało. Skutek zresztą, fakt, pokazuje najlepiej, że te obawy były płonne, że nie mylił się Kalinka,

kiedy usuwając je w przedmowie do *Ostatnich lat,* liczył na większy hart naszej miłości ojczyzny. Bolesną książkę, prawdę gorżką, społeczeństwo przyjęło dobrze i wdzięcznie, bez żalu do autora, bez zachwiania się w swoich uczuciach miłości i wierności, owszem z utwierdzeniem się w tem przekonaniu, że wszystko czego brakło, przed wiekiem czy dziś, to dopełnić i nadstawić jest naszym obowiązkiem. Książka jest w ręku wszystkich od lat siedmiu, a na ogół takie robi wrażenie, gorszą się z niej tylko wyjątki. Dowód to, że i ona jest dobra i społeczeństwo w postępie. Dla tych wyjątków przecie, których sąd jest mylny i błahy, ale uczucie poczciwe a cierpienie godne współczucia, dla tych wyjątków dodamy jeszcze to, że o dobrą sławę *Czteroletniego Sejmu*, o jego wartość i historyczną zasługę bać się nie mają powodu. Po Kalince, jak przed nim, Trzeci Maj zostaje czem był, testamentem dawnej Rzpltej i wiatykiem, sakramentem życia, jaki ona nam na czyściec dni teraźniejszych zostawiła, a ludzie, którzy Trzeci Maj zrobili, duchowymi ojcami naszego patryotyzmu. Tej zasługi Kalinka ani nie przeczy, ani nie umniejsza. Błądzili oni często i bardzo, z moralnego i umysłowego upadku w jakim Polskę zastali, nie zdołali — (nie mogli) — wydobyć się odrazu na ten stopień mądrości i siły, którego potrzeba by zwyciężyć i zbawić, ale ją zostawili mądrzejszą i lepszą nierównie, niż ją zastali; ale jej dali zdrowsze i lepsze pojęcie państwa i rządu; ale wyszli z ciasnego obrębu szlacheckiego narodu i zaczęli formować społeczeństwo polskie; ale w miejsce wszystkich dawnych egoizmów, sceptycyzmów i cynizmów, odrodzili publicznego ducha, miłość ojczyzny, uczucie obowiązku i uczucie honoru; rozebrana za Sasów Polska, byłaby się rozlazła i rozłożyła; rozebrana po Stanisławie Auguście, ona cierpi i znosi, nieraz błądzi i sama sobie szkodzi, ale żyje, jest i — pomimo wszystkiego idzie w górę. Że mogli baczniej, zręczniej strzedz niepodległości, to się nie da zaprzeczyć; ale taksamo zaprzeczyć się nie da, że uratowali ducha, ideał, miłość, a zatem życie Polski. Za nich przyszedł jej upadek, ale za nich

od nich poczęło się jej odrodzenie i postęp. To jest zasługa, to jest chwała tych czasów i ludzi, o którą się bać nietrzeba, bo nic jej nie odejmie, i Kalinka też nie odejmuje. To, co oni wyrobili, nam zapewniło życie na wiek. Szczęśliwi będziemy, jeżeli o nas za sto lat powiedzą tosamo: a na to żeby się tak stać mogło, żebyśmy na takie świadectwo zasłużyli, na to potrzebna jest książka ta, i jej podobne.

Mówią jeszcze, że dowodem jej szkodliwości czy niebezpieczeństwa, ma być jej przekład na język rosyjski, który się podobno robi. Cóż będzie, jak pisarze rosyjscy zaczną naszych tłómaczyć na dowód, że ani umysłowo ani moralnie nie byliśmy na wysokości naszego zadania? Co będzie? Będzie, że się przekonają naprzód, iż jacykolwiek byliśmy wtedy, dziś sądzimy się surowo i mądrze: czego oni nie zrobili nigdy i nie robią. Przekonają się — co dla nich nowem nie będzie, bo wiedzą to dobrze — żeśmy sobie sami wiele złego robili; ale czy mniejsze przez to będzie to złe, jakie robili oni? czy znajdą w tej książce swoje usprawienie? Owszem, niech tłómaczą i czytają, a jeżeli z rozwagą i pożytkiem czytać są zdolni, to skończą czytanie w rozpaczy i trwodze śmiertelnej; bo jeżeli za błędy i winy pokutuje się tak ciężko i długo, to jakże dopiero pokutować się będzie za zbrodnie? Owszem, niech tłómaczą i czytają — przekonają się przynajmniej, że w swoim języku takiej historyi nie mają.

Takiej drugiej nie mamy co prawda i my, i nakoniec jeszcze trzeba powiedzieć, że ze wszystkich dzieł historycznych polskich, to jest najdoskonalsze. Mamy znakomitych, prześlicznych, prawie gienialnych historycznych rozpraw liczbę wcale niemałą; mamy wielkiej wartości dzieła, opowiadające całość dziejów polskich, ale równie doskonałej książki opisującej obszernie w dużych rozmiarach jakiś jeden fakt, albo jeden okres dziejów, takiej nie mamy. Historye całkowite już dla samej wielkości przedmiotu nie mogą tego przedmiotu tak wszechstronnie i gruntownie przedstawić, nie mogą (z tegosamego powodu) mieć takiego wykończenia i

życia. Rozprawy mniejsze znowu albo ograniczają się na mniejsze szczegółowe przedmioty, albo jeżeli obrabiają wielkie, to mogą jedynie obrobić je ogólnie, określić wielkiemi rysami pomijając szczegóły — tak robi naprzykład Szujski w *Odrodzeniu i Reformacyi*. Kalinka w tych trzech latach *Sejmu* które opisał, nie pomija żadnego faktu mającego jakiekolwiek znaczenie, a tak je porządnie, tak doskonale szykuje i układa, że widzi i poznaje się odrazu i wagę każdego z nich i jego stosunek do innych, jego związek przyczyn i skutków. Każdy jest wyraźny i widoczny, każdy w swojej całości zrozumiały, a każdy ściąga się do swego środka ciężkości, do tych spraw głównych, któremi są obrady Sejmu i zamierzona poprawa Rzpltej, i jej stosunki zagraniczne, wpływ jaki one na jej los wywierają. Pod względem zakreślenia planu, i wykonania go w całości i w każdej części z osobna, jasnego rozkładu i grupowania faktów, jest Kalinka mistrzem, artystą jak mało, jak u nas równego niema. Prócz tego, pozbawiony zmysłu artystycznego w rzeczach sztuki, jako pisarz ma go w najwyższym stopniu. Doskonały znawca języka i niezmiernie czuły na każde przeciw niemu wykroczenie, nie napisze jednego zdania niedbale i niepoprawnie, każde zdanie i każdy okres jest gramatyczną i stylistyczną doskonałością. Tensam zmysł artystyczny widoczny jest w zastósowaniu stylu do historycznego przedmiotu w tym tonie nigdy górnym a zawsze poważnym, w tym dobrym smaku, z jakim wstrzymuje się od wszelkiej retoryki i od wszelkiego wybuchu własnego uczucia, w tej doskonałej proporcyi jaką nadaje każdemu rozdziałowi a zachowuje różnicę między większemi a mniejszemi wypadkami. Sztuka pisania jest u niego doprowadzoną do perfekcyi, przez to może najwyższej, że jest zawsze równa, nigdy nie słabnie. A ta zaleta tak szlachetna i rzadka, jest w jego dziele najmniejszą. Więcej nierównie warta jest sztuka czy dar widzenia i sądzenia wszystkiego, co do ówczesnego politycznego położenia Polski należy; sądzenia, jak każdy taki pierwiastek na jej losy, na postępki osób czy stronnictw wpływa. Znajomość

natury polskiej w jej najrozmaitszych typach, w powodach jej zbiorowego czy indywidualnego działania, przenikliwość w odgadywaniu natury i charakteru ludzi, przychodzi w pomoc tej politycznej i organizacyjnej zdolności, która wszystkie kierunki i fenomena narodowego życia ogarnia, bada i przedstawia. Ztąd to mnóstwo, ten skarb nieprzebrany nowych wiadomości, odkryć i spostrzeżeń, jakim ta książka jest. Prawda, że na nieznanych a najważniejszych dokumentach oparta, mogła powiedzieć wiele rzeczy nowych: ale dokument najbogatszy zostanie martwą literą dla człowieka, co w nim iskry życia nie znajdzie i nie roznieci; kopalnia złota i dyamentów będzie ciemnym dołem jak każdy inny, dopóki człowiek światła w nią nie wniesie. To światło miał Kalinka w sobie, w swojej intelligencyi, w swoim talencie, i w swojej miłości ojczyzny, i tak kopalnię oświecił że sam ujrzał jak nikt przed nim i nam pokazał epokę. Co najświetniejsze i najnowsze w jego książce? próżno dochodzić, bo wszystko ma równą wartość, ale niepodobna choć mimochodem nie skłonić głowy przed wizerunkami ludzi, albo przed rozdziałem o literaturze politycznej tego czasu i o wpływie Russa. A dopieroż strona dyplomatyczna całego położenia! Plany Hertzberga, Józefa II płochość ukarana tak rychło (a tak bez upamiętania i pożytku ukaranych!) Katarzyny przebiegła wytrzymałość i zemsta cierpliwa; Lucchesini i Kaunitz, Stackelberg i Buchholtz, dalsze albo mniejsze państwa, ich widoki, ich rezydenci w Warszawie, — ten rodzaj spraw nigdy jeszcze tak w polskiej historyografii zgłębiony i przedstawiony nie był.

Nad wszystkiem zaś dopiero, to uczucie patryotyczne i to chrześciańskie sumienie, to stanowisko polskie i moralne, którego ślepi chyba nie widzą a martwi nie czują — utrzymane ciągle i po nad wszystkimi, swoimi czy nieprzyjaciołmi, to prawo Boże i prawo narodów trzymane jak zwierciadło, w którem się przegląda wartość ludzi i spraw; ta nauka politycznej mądrości i patryotycznego obowiązku, która z każdego rozdziału i faktu wychodzi, dostaje się

do umysłu i wstrząsa sumieniem: to uzupełnia wartość dzieła i wyciska na niem piętno najwyższego charakteru, spełnionego celu historyi.

Wchodzi u niektórych w modę naśmiewać się z tego tytułu *Vitae Magistra*, który jej dał mądry Rzymianin; to stary przesąd, mówi nowa szkoła, każda nauka do tegosamego służy, każda uczy żyć, i chemia albo botanika taksamo godna tej nazwy mistrzyni życia. Zapewne, każda nauka do tego służy, każda uczy czegoś co w życiu potrzebne, co w życiu społecznem konieczne: hygiena i chemia, mechanika i geometrya, każda potrzebna i bez żadnej obejść się nie można. Ale wszystkie uczą czegoś; jedna tylko uczy znać swój naród, jego naturę, jego sąsiadów i nieprzyjaciół, jego wrodzone warunki życia, jego wewnętrzne i zewnętrzne niebezpieczeństwa — jedna pokazuje, jak i dlaczego wznosił się albo upadał; jedna prowadzi do znajomości tych dróg, które do upadku lub postępu wiodą. Każda nauka uczy czegoś co w życiu potrzebne i przydatne: jak Polskę znać, jak ją dźwigać, jak w przyszłości (jeżeli jest przyszłość) nią rządzić, tego uczy historya jedna. Oczywiście takiego tylko, kto tę naukę z niej wyrozumieć jest zdolny — i oczywiście nie każda, nie przez każdego pisana.

Historya Kalinki ma w sobie tę naukę i może do niej służyć.

Jeżeli już nieszczęście chciało, że dzieło to skończonem być nie mogło, to w nieszczęściu tem szczęście jeszcze, że rozpoczęta księga VI, a pierwsza trzeciego tomu, doprowadza opowiadanie do sesyi 3 i 5 maja. Ustawa konstytucyjna i jej osądzenie jest; miało być jeszcze porównanie jej z konstytucyą francuską roku roku 1789 — (na korzyść naszej) — ale kiedy miał się do niego zabierać, zapadł autor w tę chorobę z której już nie wstał, w ciągu której pytał lekarzy czy on będzie mógł żyć jeszcze ze cztery pięć lat, bo „chciałbym koniecznie skończyć Stanisława Augusta.“

Szczęście, że jest go choć tyle: a niedziw, że niema więcej. Sam ogrom pracy wystarcza, żeby to wytłómaczyć,

a przy ogromie jej charakter bolesny. Kalinka nie był historykiem obojętnym i chłodnym; starał się trzeźwo rzeczy i ludzi widzieć, ale nie mógł sobie zakazać czuć. Podobnie jak Szujski, cierpiał on nad każdem nieszczęściem w przeszłości tak, jak żeby ono było świeże, a praca nad temi nieszczęsnemi czasami dręczyła go i trawiła wewnątrz. Prócz tego jeszcze on (choć jeden z najpracowitszych ludzi na świecie) nie umiał pracować prędko. Zwłaszcza nie mógł prędko pisać; może dlatego pisał doskonale, że pomału, że się ciągle namyślał, zmieniał, poprawiał, ale przy takim sposobie pisania robota nie mogła szybko iść naprzód. A wreszcie przeszkoda największa: nawał innych zajęć i obowiązków. W Jarosławiu miał spokój, i mało co odrywało go od historycznej pracy; we Lwowie było inaczej. Skarży się też w tej kronice swego klasztoru którą spisywał, na to, że nie może łatwo od innych zajęć do pisania przechodzić; ma taki umysł „tępy," który potrzebuje długo się do rzeczy gotować, zanim o niej porządnie myśleć potrafi; potem na tysiączne sprawy, które mu ciągle przeszkadzają i przerywają. Chciał i spodziewał się tak sobie dzień urządzić, iżby mu pięć godzin całych i w ciągu zostawało do pisania; ale gdzietam! „miał zaledwo godzinę lub dwie każdego ranka, „i to poszarpane. Przez półtora miesiąca próbował uczyć się „i pisać, ale dwóch paragrafów napisać nie potrafił. Z bólem „przekonał się, że dopóki będzie przełożonym, dopóty nie „będzie w stanie zajmować się żadną dłuższą pracą naukową."

Zajmował się przecież i znacznie ją naprzód posunął, ale rzecz jasna, że inne nowe dzieło zabierało mu czasu i siły najwięcej. Zobaczmyż z kolei to nowe, ostatnie, w jego przekonaniu najważniejsze, najpotrzebniejsze jego zadanie.

VII.

Osiedlić się na polskiej ziemi, było od początku marzeniem, a od lat przeszło dziesięciu czynnem staraniem Zmartwychwstańców. Gdzie? jak? z jakim określonym praktycznym celem? różne były co do tego zamysły albo widoki. Benedyktyński Tyniec ze swoją wspaniałą klasztorną i historyczną tradycyą, byłby piękny; Kraków otwierałby szerokie pole działania; zakład wychowawczy byłby bardzo przydatny; prowadzenie seminaryum (które jeden z biskupów powierzyć im zamyślał) bardzo odpowiednie celom Zgromadzenia; roztrząsano i układano to i owo, ale pewnego nie mieli nic, żadnego stałego punktu oparcia w Galicyi. Pierwszym jaki się nadarzył, był mały folwarczek (30 morgów pola z domem) Wołkowce, darowany Zgromadzeniu przez hrabinę Koziebrodzką. Wsunięty w najdalszy kąt kraju, odległy od miast i kolei żelaznej, punkt ten położony był bardzo niedogodnie, bardzo niesposobnie do rozwinięcia czynności; a bliskość granicy rosyjskiej, w czem niektórzy widzieli zrządzenie Opatrzności jakoby, i otwierające się w tamtą stronę pole działania, nie mogła uczynić zadosyć za tę niedogodność, że swobodne i praktyczne działanie tutaj było bardzo utrudnione. Namyślano się zatem co dalej począć, czy zrobić z Wołkowiec punkt środkowy Zgromadzenia w Galicyi albo nie, kiedy niespodzianie z wyższego rozkazu ten punkt przeniósł się gdzieindziej.

Jak się to stało, że Stolica Apostolska uczuła potrzebę pewnego wpływu i dozoru na wychowanie młodzieży ruskiej? Niewątpliwie byłoto skutkiem kilkuletniej nuncyatury Kardynała Jacobiniego w Wiedniu, i jego podróży do Galicyi. Nuncyusz ten na tej swojej dyplomatycznej posadzie zwracał uwagę bardzo pilnie na stan i sprawy Kościoła polskiego — tę sprawiedliwość oddać mu słusznie należy — i nabył niemałej ich znajomości, która pomogła mu z czasem wielce do zajęcia wysokiego stanowiska Sekretarza Stanu. Dziś już nie będzie to niedyskrecyą, jeżeli po śmierci obu wyjawi się, że wielką część swoich informacyj dostawał nuncyusz przez księdza Kalinkę lub od niego. Jak zaś on zawsze od młodości zwracał uwagę na sprawy Rusi i Unii, i jak wielką przywiązywał do nich wagę, to widziało się już w książce o *Galicyi*, wyraźniej w *Wiadomościach;* a w tych stosunkach i korespondencyach musiało występować z tem większą siłą przekonania i powagą znajomości rzeczy, że przez czas swego zamieszkania w Jarosławiu, ksiądz Kalinka nieustannie na te stosunki patrzał i z niemi się stykał.

Dość, że Leon XIII chciał mieć we Lwowie konwikt dla młodzieży ruskiej, a założenie i prowadzenie jego polecił Zmartwychwstańcom. Cesarz Franciszek Józef nietylko nie miał nic przeciw temu, ale owszem, okazał się więcej jak przychylnym, bo troskliwym o dzieło rozpocząć się mające. Kiedy w roku 1880, podczas sejmu, rozeszła się pogłoska, że ksiądz Kalinka ma być znowu przeniesionym do Adryanopola, czterech posłów, a między tymi dwóch historyków i dwóch rektorów uniwersytetów, Szujski i Liske, napisało do jenerała Zmartwychwstańców z prośbą, żeby, jeżeli tylko może, nie ruszał z miejca autora *Czteroletniego Sejmu*, bo oderwanie go od tej pracy, byłoby niepowetowaną szkodą dla nauki i dla społeczeństwa. Ksiądz Semenenko odpisał, że nie może ręczyć czy potrafi księdza Kalinkę od innych zajęć uwolnić, ale że o ile siły Zgromadzenia na to pozwolą, będzie się starał nie odrywać go od pracy naukowej. Co zaś do wysłania go za granicę, nietylko tego zamiaru nie ma,

ale owszem, ma nadzieję silniejszego i stalszego nadal osadzenia księdza Kalinki w Galicyi.

Myślał oczywiście o tem, co innym jeszcze wiadomem nie było, o Internacie ruskim we Lwowie.

Jak Kalinka rozumiał stosunek Polski do Rusi w przeszłości, dziś i na przyszłość, jak wyobrażał sobie możliwą przyszłość ruskiego ludu, to wytłómaczył sam najdokładniej i wiele razy; najwyraźniej zaś i najczęściej złożył te swoje wyznanie wiary, odkąd sam czynnie w sprawie tej wystąpił. Jego odezwy, jego roczne sprawozdania, choćby wreszcie sam rozdział o kwestyi ruskiej w *Sejmie Czteroletnim*, dają poznać jego stanowisko tak jasno i wyraźnie, że niema się co długo nad niem rozwodzić, wystarczy w kilku słowach przypomnieć:

Pomiędzy Polską a Rosyą siedzi lud licznie rozrodzony, wielomilionowy, który ani polskim, ani rosyjskim nie jest. Nie jest polskim z urodzenia, bo mówi innym językiem; nie stał się nim z wiary i wychowania, bo się chował właśnie w innej wierze i szkole; nie stał się nim z historyi i cywilizacyi, bo Polska zaniedbała takim go zrobić przez dzielną i ciągłą a łagodną akcyę swojej cywilizacyi. Przyswoiła sobie i przywiązała to, co było oświeceńsze i szczęśliwsze; resztę — nierównie liczniejszą — zostawiła własnemu losowi, i cudzemu przemysłowi. A gdy prócz tego dała jej się we znaki, niedziw, że ten cudzy przebiegły przemysł z tego skorzystał. Słusznie to czy niesłusznie, mądrze czy niemądrze, dla Rusi samej źle czy dobrze, to pytanie inne; fakt jest ten, że Rusin za Polaka się nie ma, być nim nie chce, często go nienawidzi. Jeżeli zaś za czasów panowania i siły, Polak do siebie go przyciągnąć i na siebie przerobić nie zdołał, to tem mniej zdoła to dziś, kiedy sam jest słaby, a tamten silniejszy niż bywał. Silniejszy naprzód przez to, że się żywiej i powszechniej czuje w swojej narodowej świadomości; silniejszy dalej przez samo osłabienie żywiołu polskiego, tępionego pod rządem rosyjskim; silniejszy wreszcie przez to, że cała dążność i siła wieku sprzyja żywiołom demokratycz-

nym, więc to społeczeństwo, które nie ma w sobie innych, samą siłą rzeczy idzie w górę samo nie wiedząc jak, i choćby samo nic po temu nie zrobiło w demokratycznych pojęciach, namiętnościach i prawach znajduje oparcie, siłę, podstawę, wrota otwarte do życia i znaczenia. Jeżeli więc dawniej nie zostało, to teraz tem bardziej nie zostanie ono polskiem. Prawda, że czasy to niedawne, jak każdy Rusin, byle oświecony, miał patryotyzm polski tak dobrze jak my, a nienawiść kryła się tylko w sercach wyjątków. Jednak między tymi a usposobieniem ogółu musiał być jakiś pociąg wrodzony, skoro się ta nienawiść tak rozeszła, i te czasy zgodnego wspólnego patryotyzmu może kiedy wrócą, lecz nie prędko: tak jak człowiek, który dziecinną wiarę utracił, może ją odzyskać, ale po wielu udręczeniach duszy i walkach w myśli, i nigdy już tak prostoduszną, wrodzoną, jak była, tylko wyrozumowaną, na przekonaniu opartą; silniejszą i lepszą zapewne, ale inną.

Lud wiejski nie czuje się w swojej narodowości, ale nie lubi Lacha jako pana, jako bogatszego, i jako człowieka innej wiary. Ludzie oświeceni Lacha nie lubią bardziej niż on, i w tej niechęci go utrzymują. Wszyscy razem zaś są materyalnie pod panowaniem, moralnie pod wpływem Rosyi, która mówi podobnym językiem, wyznaje wiarę tęsamą — albo na nią obojętnych i niemyślących, bezwiednie, opornych gwałtem i krwią nawraca, która się Rusią nazywa, głosi oswobodzenie od Lachów i jedność w słowiańskiem braterstwie, a grunta i lasy *Lachów* rozdaje gdzie może, obiecuje, gdzie jeszcze rozdawać nie może. Czyli jednem słowem proces historyczny za Kazimierza rozpoczęty, przez Jadwigę posunięty, zakończony postępem wiary i cywilizacyi zachodniej o dwieście mil na wschód, przegrywa się w drugiej instancyi w naszych oczach. Reakcya Wschodu na Zachód, zaczęta buntem Chmielnickiego, następuje coraz bardziej i cofa nas w średniowieczne piastowskie granice; wyrok jeszcze nie padł, ale sprawa stoi bardzo źle.

Jak się bronić? czem? Siły niema, o prawo nikt nie pyta, a sławiona cywilizacya chrześciańska zachodnia, sama siebie odstępuje i zaprzecza. A więc zgodzić się i założonemi rękami patrzeć jak

„coraz nowa Syzmy nasuwa się hydra
i roztacza dokoła dzikiej królestwo pustyni?"

A nie! Kto się czuje poddanym Jadwigi i Batorego, kto wié, że duch Żółkiewskiego w nim być powinien; kto ich godnym być nie ma zarozumienia, ale wié, że wiernym być ma obowiązek, ten nie da zabrać bez obrony tego, co oni Bogu, Kościołowi, ludzkości, ojczyźnie zdobyli; będzie bronił do ostatka, bo dopóki żyje, jest za to odpowiedzialnym. Niedość bronili ojcowie ręką i orężem kiedy mogli — niech ich Bóg sądzi a łaskawie — ale darmo, my za to musimy bronić, choć nic nie mamy, i nic nie możemy.

Gdzie zapora przeciw temu potopowi, co po wszystkich moralnych prawach wszystkie materyalne śluzy zerwał, i wali, zbliża się, buchnie lada dzień i wszystko zatopi? Gdzie? Może w odrębności tego ruskiego ludu. Polakiem on nie będzie, ale czy koniecznie ma być Moskalem? I tym go Bóg nie stworzył, nie na to go przeznaczył; tym go tylko zrobić mogą okoliczności, nienawiści własne i cudza przebiegła przemoc i przemocna przebiegłość. Ta świadomość i pragnienie odrębności, które Rusin zaczyna mieć, czy one same wystarczą, żeby się oprzeć rosyjskiej absorbcyi i assymilacyi? Nie: to nie jest Polak, który choć połknięty nie da się strawić. Polak ma inną duszę i w tem siłę odporną taką, że strawionym być nie może; ale między duszą Rusina a Moskala, takiej różnicy zasadniczej, takiej granicy nieprzebytej niema. Byłaby ona, gdyby każdy z nich miał inną wiarę: i dlategoto Unia była dziełem politycznie tak mądrem, jej zaniedbanie tak zgubnem. Ruś plemiennie z natury inna, gdyby z sumienia i ducha była katolicką, w takim razie Rosya prawdziwa zostałaby wrócona w swoje przyrodzone granice

i w nich zatrzymaną, a nad Donem i Dnieprem i Czarnem Morzem byłoby co innego. Jakieby było to coś? Bóg jeden zna przyszłość, ale przez naturalne uczucie plemiennej odrębności, mogłoby z czasem dojść do umiłowania cywilizacyi odmiennej, a w końcu — z małych początków — do zupełnej odrębności duszy. Skoro ten lud budzący się obudził się nie w polskich uczuciach i świadomości, niechże zostanie przy swoich, ale te niech będą z Zachodem duszą, ze Wschodem tylko formą połączone. Na tamten fakt dziś już poradzić nie możemy, o taki jego na przyszłość kierunek i obrót winniśmy się starać, bo tylko tym sposobem możemy jeszcze utrzymać Jagiellońskie nabytki i zasługi, zostać wiernymi posłannictwu Polski, utrzymać te granice cywilizacyi, jakie ono zakreśliło. Ruś jest krajem i ludem, którego trzeba umieć się wyrzec, na to, by go nie stracić; niech ona będzie sobą i niech w innym obrządku będzie katolicką, a wtedy i Rosyą nie stanie się nigdy i do braterstwa z Polską powróci. A gdyby nawet — przypuściwszy najgorsze — do tego nigdy przyjść nie miało, to i w takim razie jeszcze lepsza Ruś samodzielna, aniżeli Ruś rosyjska; jeżeli Hryć nie może być moim, mówi znana dumka, niech przynajmniej nie będzie „ani mnie ni tobie.“ To ogólne historyczne i polityczne przekonanie o Rusi całej. Ruś galicyjska gra w tej sprawie rolę najważniejszą, stanowczą. bo ona jedna ma jeszcze środek zbawienia dusz ruskich i uratowania narodowej odrębności ruskiej duszy — Unię. Rola zaś — i więcej jak rola, bo historyczna i religijna missya Polaków w Galicyi jest — nie przeszkadzać narodowym dążeniom i wzrostowi Rusi, szanować je, pomagać im nawet, bo tym sposobem uśmierzy się z czasem nienawiść do Lacha; szanować Unię i strzedz jej jak oka w głowie i przez nią wzmacniać miłość wiary, stałość tej wiary, jedność Rusi z Kościołem. Program prosty i jasny, który byłby nawet łatwy do wykonania w praktyce, gdyby strona druga, ruska, taksamo rzecz rozumiała. Utrudnia go ta nienawiść Polski, która tam jest i która znowu po stronie polskiej budzi naturalne obawy i

nieufności, aż nadto usprawiedliwione całem postępowaniem rządzących stronnictw ruskich, od roku 1848 aż do Chełmskich i Hnilickich apostazyj, aż do ostatnich socyalnych i wszech rosyjskich propagand i procesów.

Internat księży Zmartwychwstańców wziął za zadanie wychowywać Rusinów, pielęgnować w nich miłość Rusi, nie żądać i nie nakazywać miłości Polski: pacierz, rozmowy, nauki, wszystko miało być po rusku. Strzedz się owszem chowania i przerabiania tych chłopców na Polaków. Wydawać Rusinów, ale prawdziwych i wiernych katolików, zaszczepić wiarę, wykształcić przekonania. Nie przeznaczać ich na księży, chyba że który sam wyświęcić się zechce, a w takim razie dopiero prowadzić go bardzo ostrożnie, bo w tym obrządku gdzie stan kapłański nie wymaga żadnych wyrzeczeń, powołanie bywa częste, ale często także zupełnie świeckie, pozorne, nieprawdziwe. Jeżeli który z wychowańców zostanie dobrym księdzem, tem lepiej; jeżeli nie, dość będzie pożytku, jeżeli w świeckim stanie i jakimkolwiek zawodzie będzie Rusinem, a katolikiem wiernym i stałym.

Przeciw Rosyi, jej potędze i jej wszystkim środkom działania, przeciw Rusi i jej nienawiści wszystkiego co polskie, — a (w wielkiej części) wszystkiego co katolickie, przeciw Rusi galicyjskiej z nader małemi wyjątkami zarówno temu dziełu nienawistnej, jakikolwiek jej odcień, występować z taką bronią? zasłaniać się taką tarczą? czy to niedobrowolne łudzenie siebie samych i Cesarza i Papieża? czy to nie szkodliwa robota i pomaganie (bezwiedne, w dobrej wierze i myśli), tej pracy zaprzeczania i wypychania Polski za San, która jest programem i ideałem Rusi? Wątpliwości i zarzutów było bardzo wiele. Oto, jak je krótko streszcza i zbija ksiądz Kalinka sam, w tej *Historyi Domu* którą spisywał:

„Na tak ciężkie zarzuty, Zmartwychwstańcy odpowia-„dali, że narodowość ruska jest faktem, z którym się liczyć „potrzeba; że jeżeli przez cztery wieki polskiego panowania „Rusini nie stracili swojej narodowości, wtedy nawet, gdy

„o nią nie dbali, to widocznie ta narodowość jest w myśli „Bożej i nie zginie dziś, tembardziej, gdy od roku 1848 „uczucie narodowe takim ogniem zapaliło wszystkie młodsze „ludy w Europie. Że im więcej będzie się Rusinom zaprze„czać ich narodowości, tem mocniej, a co gorsza, tem niena„wistniej dla Polaków stać przy niej będą i z niej tworzyć „potężny istrument, który społeczeństwo rozstroi i rozsadzi. „Prawda jest, że ta narodowość mało ma dotąd żywiołów „dodatnich, i gdyby została taką jak jest dziś, możnaby „z niej samych tylko klęsk się spodziewać. Ale *fecit Deus* „*gentes sanabiles*. Naprzeciw narodowości, która u wielu Ru„sinów opiera się na samej nienawiści, my chcemy postawić „narodowość opartą na miłości. Dzisiejsza narodowość ruska, „zwłaszcza też w ich intelligencyi, choć upornie stoi przy „swoich obrzędach, jest w większej części bez wiary; jestto „narodowość rewolucyjna i pogańska. My w niczem nie uj„mując ich narodowemu uczuciu, nie ubliżając bynajmniej „ich obrzędom, przynosimy im wiarę katolicką i ducha ka„tolickiego. Oni w imię patryotyzmu, i dla niego właśnie, „czują się obowiązanymi do walki z Polakami; my, przyj„mując najzupełniej ich patryotyzm, w imię Chrystusa Pana „do zgody z Polakami przywieść ich chcemy. Byle Rusini „byli szczerze katolikami, obawiać się ich nie mamy naj„mniejszego powodu; nigdy oni wtedy Moskalami nie zo„staną, ani dla Moskwy sympatyi mieć nie będą. Jako ka„tolicy, nietylko będą życzliwi Polsce, ale na Polsce jedynie „oprzeć się mogą. Ruś sama stać nie może. Jeżeli my ją „zaniedbamy, albo co gorsza, swojem postępowaniem drażnić „będziemy, w kierunku Moskwy ona posuwać się musi i do „niej przybliżać. A przeciwnie, jeżeli jej dopomożemy do „przejęcia się katolickim duchem, zapewnimy trwale i szczere „braterstwo pomiędzy nią a Polską. To nam najzupełniej „wystarczyć powinno.“

Teraz wzmianka krótka o historyi tego zakładu. Z grubsza tylko, i nie siląc się na opowiedzenie wszystkich księdza Kalinki trudów, zawodów, goryczy, których on sam nie

opowiada. Że były ciężkie i liczne, domyślać się można z samych zewnętrznych dziejów zakładu: a że znoszone i zwyciężone, to znowu poznać pozwala, że w przełożonym zakładu była wielka siła wytrwałości i poświęcenia, a nad nim błogosławieństwo, w nim ta *wola Boża*, której chciał być zawsze tylko narzędziem.

Kiedy dostał rozkaz założenia takiego domu we Lwowie, i nad nim przełożeństwo, nie miał nic. Przyjechał do miasta ze swoim brewiarzem i habitem (2 października 1880), i z poleceniem od Jenerała, żeby najął, a w możności kupił dom przy ulicy Piekarskiej od panien Franciszkanek, które miały ochotę tego domu się pozbyć. Dom był w stanie opłakanym, kaplica w jeszcze gorszym; żeby jedno i drugie zrobić tylko możliwem do użytku, trzeba było włożyć dużo pieniędzy; a przedtem, za to co było na gruncie, żądały Franciszkanki 20.000 złotych austr., i z tej ceny nic spuścić nie chciały. Podpisał umowę, i zobowiązanie że cenę szacunkową wypłaci przed końcem roku 1881. Pieniędzy nie miał nic. Na konieczne pierwsze roboty pożyczył 500 zlr., do prowadzenia ich i nadzoru przeznaczył młodego swego towarzysza księdza Skrochowskiego (niegdyś na świecie budowniczego). Ledwo się te roboty zaczęły, ksiądz Skrocholski dostał od Jenerała inne przeznaczenie, i musiał wyjechać ze Lwowa. Ksiądz Kalinka został z domem w ruinie, z obiecanym jednym ornatem i obiecanym jednym księdzem, którego mu Jenerał z Rzymu miał przysłać (ks. Hempla), nie miał co robić, wyjechał szukać pieniędzy.

Znalazł w Krakowie summę dość znaczną, którą księżna Odescalchi była złożyła na cel możliwego osiedlenia Zmartwychwstańców w Galicyi; za pierwszy tom czteroletniego Sejmu dostał 3000 zła.; mniejsze datki kapały choć trochę, tak, że w niedługim czasie miał w ręku 12.000 fl. Z tem mógł śmielej poczynać. Pisze przecie, że gdyby był przeczuwał wszystkie trudności jakie go czekały, nie byłby nigdy domu kupował, ani przełożeństwa się podejmował. „Pan „Bóg, znając jego małoduszność, wtedy mu dopiero złe gro-

„żące odkrywał, gdy się już cofnąć nie było można. Niespo- „kojny i zbyt przewidujący umysł księdza Kalinki, wybiegał „zawsze nad chwilę daną i dręczył się myślą, że zabraknie „ludzi i funduszów; szukał, przemyśliwał, czynił bez końca „zachodów, a prawie zawsze nadaremnie. Jeżeli ten dom „lwowski się utrzyma, i w przyszłości rozwinie, to z zupełną „prawdą można powiedzieć, że nikt inny, tylko Pan Bóg był „jego założycielem. Żaden człowiek do tego tytułu nie ma „prawa, najmniej ksiądz Kalinka. Rzecz stała się wbrew woli „jednych, ponad wolą drugich, samą tylko wolą i łaską „Bożą“. (*Historia Domus* §. 1).

Dom i kaplica restaurowały się czemprędzej, obiecany ksiądz Hempel przyjechał, ksiądz Bobrowicz (świecki ksiądz ruski, chełmski) pomagał; zaczęto myśleć o otwarciu konwiktu (zrazu tylko w domu, i to dla chłopców z I klasy), od 1 lutego 1881 r. Wzięto dwóch nauczycieli świeckich z poza domu, Rusinów; inne nauki rozdzielono między siebie (ksiądz Kalinka miał uczyć języka polskiego), uczniów zgłosiło się zaraz kilku (prawda, że z początku byli to synowie samych księży chełmskich). Wtedy nowe nieszczęście, ksiądz Hempel, prawa ręka przełożonego, rozchorował się tak ciężko, że po kilku miesiącach cierpień, prosił o pozwolenie wyjazdu do rodziny i tam umarł. Zastępca przysłany w jego chorobie, był i pomocą i pociechą małą. Po jakimś czasie dopiero doczekał się biedny przełożony, że mu przysłano kaznodzieję, księdza Bakanowskiego, i świeżo wyświęconego księdza Moszyńskiego. Wtedy odetchnął, pewien że i nabożeństwo w kaplicy i dozór nad dziećmi i domem pójdzie porządnie. Z zapisów pani Helclowej i Józefa Popiela przybyło coś funduszów; opieka uorganizowana pod prezydencyą ks. Adamowej Sapieżyny we Lwowie, a ks. Marceliny Czartoryskiej w Krakowie, zapowiadała mniej-więcej 6000 fl. rocznie; Cesarz nadesłał 500 fl.; wreszcie, niespodziewanie, od osoby o której ksiądz Kalinka do końca nie wiedział, czy nazwisko, pod którem się zgłosiła było prawdziwe lub przybrane, odebrał 15.000 reńskich. Przyszły w porę, bo uczniów zaczęło się

już zgłaszać tylu, że w małym domku o pomieszczeniu ich nie było można myśleć. Odprawiano ich z żalem, marząc o rozszerzeniu domu kiedyś, jak Pan Bóg da!.. I dał — 25 czerwca 1881, Biskup Krakowski poświęcił kamień węgielny pod kaplicę greckiego obrządku; a z zamknięciem roku szkolnego, uczniowie zdali examin i byli przyjęci do 2-giej klasy gimnazyum ruskiego. Na rok następny zgłosiło się ich już trzydziestu. Miejsca wszakże było tak mało, że i na tych (pomimo mieszkań przynajętych w sąsiednim domu) nie wystarczało; śpieszyć z budową, stawało się coraz naglejszą potrzebą. W tym celu podał ksiądz Kalinka petycyę do Sejmu, o jednorazową subwencyę 10.000 fl. Trudności było z tem niemało; posłowie polscy odrzucać jej nie myśleli, ale jedni bali się rozdrażnić Rusinów, drudzy nie byli pewni czy popierając ten zakład robią dobrze; posłowie ruscy występowali przeciwko z wielką namiętnością. W Izbie wszakże rzecz przeszła wielką większością; pierwsza połowa drugiego tomu *Sejmu*, i drugie wydanie tomu pierwszego, przyniosły coś znowu na koszta budowy: koszta utrzymania uczniów opędzały w znacznej części składki zbierane przez lwowską i krakowską opiekę. Roczne sprawozdania księdza Kalinki, jego w tej sprawie ogłoszone pismo *Internat Ruski* księży Zmartwychwstańców (*Przegląd Polski*, październik 1881), służyły skutecznie do przekonania umysłów i zagrzania serc, zatem do zabezpieczenia zakładu. Rósł on pomimo wszystkich trudności wewnętrznych i zewnętrznych, od Polaków i od Rusinów, jak znowu wielkopostne kazania i rekollekcye dawane przez księdza Bakanowskiego i Kalinkę (1882), podnosiły powagę zgromadzenia i ufność do jego posług duchownych. Niechęć Rusinów nie ustała, ale zwróciła się zawzięciej w inną stronę: a konduktorem który ją zwrócił, był oddany Jezuitom nowicyat Bazyliański w Dobromilu. „Z dwojga złego już Zmartwychwstańcy lepsi“ mówiono, — „bo zdaje się, że na prawdę po rusku uczniów swoich chowają“. Ale jeżeli zaczęło się budzić zaufanie do zakładu, że polonizować nie myśli, to zostawały w wielu Rusinach głębsze z tego po-

wodu obawy: mianowicie obawa katolickiego charakteru wychowańców, i braku w nich nienawiści do Lacha. „Jak Jezuici niegdyś szlachtę, tak ci zabiorą nam księży. Cóż „z tego, że wychowają Rusinów, kiedy na tych Rusinów co „z ich rąk wyjdą, my nigdy nie będziemy mogli liczyć". Zdanie to, z którem dawali się słyszeć przywódzcy zarówno rosyjskiego, jak ukraińsko-socyalnego odcienia opinii ruskiej, jest ciekawem i znaczącem świadectwem zakładowi przez nich wydanem. 24 czerwca 1882 r. zatknięto krzyż na wystawionej kaplicy wschodniego obrządku; dom prawie skończony, pozwalał przyjmować większą liczbę uczniów, która też rychło wzrosła do kilkudziesięciu chłopców. Zasady ich wychowania i prowadzenia były tesame, które ksiądz Kalinka niegdyś dla szkoły w Adryanopolu ułożył, jego (jak mówią bracia zakonni), systemem wychowania. Zasługę pomysłów przypisują jemu; przyznają tylko, że miał słuszność, kiedy sam o sobie mówił, że do praktycznego wykonania tego planu i do prowadzenia młodzieży nie był zdatny, bo był za miękki. „Jabym dzieci rozpieścił", mówił, i to miało być prawdą. (Uczniowie lubili go bardzo; po jego śmierci bez żadnego ze strony przełożonych żądania, dodali do swoich pacierzy modlitwę za *pokojnoho Witcia Kalinku*, którą codzień wiernie odmawiają).

Przecież choć dzieło idzie i nawet pomyślnie, to trudy i troski nie ustają, owszem mnożą się zwykle i rosną w miarę jak się rzecz rozwija. Tak było i tu; rodzice coraz liczniej się zgłaszali, uczniów przybywało, dom stanął, Metropolita Sylwester Sembratowicz bardzo się okazywał łaskawym na zakład i na przełożonego; niektóre Rady Powiatowe uchwaliły bursy dla wychowańców zakładu; przyjaciele i opiekunowie (ks. Roman i Aleksander Czartoryscy) przyjmowali po kilkunastu uczniów na wakacye; wszystko to było utrwaleniem zakładu, dobrą wróżbą na przyszłość. Ale zkąd wziąć utrzymania dla tej coraz większej liczby chłopców? odprawiać ich, choć się sami zgłaszają, kiedy możnaby ich dobrze wychować! Co z nimi robić, jak gimnazyum skończą? Wy-

puścić z opieki, żeby poszli Bóg wié gdzie i zepsuli się! A dopieroż ci, co będą mieli powołanie na księży, co z tymi robić? Żeby w nich to powołanie utwierdzić, a ich w wierności dla Kościoła, trzebaby ich po skończeniu nauk wysyłać na teologię do Rzymu. Zkąd na to wziąć; kiedy funduszów nie przybywa, ubywa raczej w skutku złych lat, i pewnego zwolnienia w energii składkujących. Sześć lat na które się zobowiązali, dochodzą do końca, czy zobowiążą się nadal w dostatecznej liczbie? czy nie nastąpi konieczność zmniejszenia zakładu? To były troski ostatnich lat księdza Kalinki, to powód tych starań usilnych, żeby Sejm wyznaczył subwencyę na pewną liczbę uczniów, żeby wyjednać subwencyę i od Cesarza; ztąd staranie, żeby własną pracą tych funduszów przysporzyć — (odczyty publiczne — życie Jenerała Chłapowskiego — druga część drugiego tomu *Sejmu*) i to wreszcie, ta ciągła wytężona praca, a w rożnych kierunkach, ta pamięć nieustanna o mnóstwie rzeczy naraz, i ta ciągła gryząca i trawiąca troska o Internat, i o wszystko inne, to powód jego choroby i śmierci. Radością a poniekąd szczęściem, koroną dzieła, było powierzenie Zmartwychwstańcom Kollegium greckiego w Rzymie; to dopełnienie Internatu. Jego uczniowie, którzy zechcą iść na księży, mają zapewnione miejsce, i zostaną pod tymsamym kierunkiem; a taki dowód zaufania ze strony Papieża podnosi oczywiście powagę Zgromadzenia w oczach ludzkich i własnych; jest głośnem i najchlubniejszem dla niego świadectwem. Nowy dowód, że w podjętem dziele jest *Wola Boża*. Ale, jak jej odpowiedzieć! jak jej nastarczyć, żeby nie zmarnować tego co się już zyskało. Oto przedmiot głębokich rozmyślań i gorączkowych niepokojów księdza Kalinki w ostatnim roku życia. I oto w krótkich słowach dzieje jego umiłowanego dzieła, jego Internatu ruskiego.

A teraz jego wartość? jego zasługa?

Kto miał słuszność, ksiądz Kalinka albo ci, co jego dzieło nazywali błahą utopią, lub gorzej, bo szkodą samochcąc sobie zadaną? Odpowiedź na to pytanie w części tylko

zależy od nas, w większej nierównie od czasu. Jak wszelki krok w tej sprawie, tak i ten nie przyniesie pożytku, jeżeli rychło a nieszczęśliwie miałby się zgruntu zmienić dzisiejszy nasz stan polityczny. Jeżeli rosyjska dążność do panowania, tak charakterystycznie wyrażająca się w tem samozwańczem kłamstwie, jakiem jest jej mniemane imię Wszech-Rusi, miało stać się rzeczywistością, i z dzisiejszych swoich zapędów i popędów wyjść z tryumfem, w takim razie Internat jak wszystko wpada w otchłań i skutku nie przynosi. Ale jeżeli dzisiejszy stan rzeczy potrwa; jeżeli ten zakład na kilkudziesięciu wychowańców wypuści co roku tylko kilku dobrych; jeżeli tych kilku po latach dziesięciu, dwudziestu, wzrośnie w liczbę i w różnych zawodach, w różnych stronach rozsieje dobre uczucia i przekonania, stanie się w tym wyrębie i zagajniku nasiennikiem zdrowego ruskiego patryotyzmu i prawdziwej wiary, czy to nie byłoby już skutkiem i pożytkiem? jeżeli się pomyśli, że każdy z tych świeckich miałby dom, rodzinę, stosunki z ludźmi, i wpływ, jako lepiej, staranniej od wielu chowany, a każdy z tych księży wpływałby na parafię, może nie na swoją tylko? Dajmy, że takich będzie procent niewielki, że będą gorsi, a nawet że ich będzie dużo, — że skryta natura potrafi utaić w sobie przez czas wychowania te polityczne i religijne nienawiści z któremi później wybuchnie, to czy ta liczba, choćby mniejsza dobrych, swoją wartość i znaczenie straci? czy nie będzie dla społeczeństwa całego ruskiego jak polskiego, wielkiem dobrem, punktem oparcia, może siłą? Jeżeli zaś — i tu zaczyna się zależność tego skutku i pożytku od nas — jeżeli nasza troskliwość i wytrwałość nie da zakładowi temu upadać, ale owszem rozwijać mu się pozwoli i pomnażać liczbę wychowańców, rozesłańców prawdziwej wiary i patryotyzmu opartego na miłości nie na nienawiści, w takim razie kto wié, jak przyszłe pokolenia błogosławić będą dzieło i pamięć jego założyciela; w takim razie może stać się rzeczywistością i sprawdzoną przepowiednią ta intencya, którą ksiądz Kalinka wypisaną na pargaminie zatknął na szczycie swo-

jej kaplicy w gałce pod krzyżem zamkniętą, i przyszłość przyświadczy, że „ten dom zbudowany i krzyż Chrystusowy „na nim podniesiony został przez Braci Zmartwychwsta- „nia Pańskiego, ku chwale Bożej i ku utrwaleniu zgody mię- „dzy Polską a Rusią, aby za tą zgodą święta Wiara kato- „licka w tym kraju wzmocniona i w dalsze strony na Wschód „rozszerzoną była“.

Zostaje jedno ważne pytanie, czy w swojem pojmowaniu Rusi ksiądz Kalinka nie przesadził, i z prostej drogi polskiego uczucia i interesu mimowolnie nie zbaczał. W odpowiedzi na to, trzeba jeszcze raz powtórzyć, że za skutek ręczyć, przyszłości być pewnym, nie mógł on, jak nie może nikt; zatem mimo głębokiego i stałego przekonania, mógł miewać (miewał z pewnością) takie chwile wątpliwości i wahania. A jeżeli to co on robi, obróci się na szkodę Polski? jeżeli ten żywioł ruski, który już sam z siebie jest we wzroście, w skutku jego starań nabierze sił więcej, które albo się wprost przeciw polskiemu obrócą, albo go przynajmniej owładną i stopniowo przeważać zaczną? Takie przypuszczenia i obawy (kiedy się zjawiały), usuwał rozumowaniem i przekonaniem, że Ruś katolicka i prawdziwie ruska, choćby najbardziej i najdłużej nie chciała, będzie musiała skończyć na zgodzie i miłości z Polską. A oprócz tego argumentu rozumowego, wyciągniętego z natury rzeczy, historycznego i politycznego, miał drugi płynący z wiary i pobożności, którego wartość rachunkiem sprawdzić się nie da, ten mianowicie, że skoro Polska względem Rusi ma wiele grzechów opuszczenia i zaniedbania, skoro jej stan dzisiejszy jest i ma być expiacyą za winy przeszłości — więc na ten rachunek pójdzie wszystko, co się dla zbawienia i dla ziemskiego dobra Rusi zrobi: a choćby to było nad miarę ściśle obliczonej potrzeby, choćby z jakiem ze strony Polski poświęceniem, ściągnie jej błogosławieństwo Boskie i z bogatą lichwą wróci się jej w przyszłości.

Czy w tem był ksiądz Kalinka zbyt śmiałym i ufnym, może aż trochę mistycznym, wiedzieć i sądzić nie możemy.

Ale w swojem uczuciu polskiem był w tym stosunku do Rusi (jak we wszystkich innych) tak prosty i trzeźwy, tak trafnym instynktem obdarzony, że podług jego uczucia i patryotycznego sumienia, każdy mógłby śmiało swoje w tej sprawie regulować. Żaden Polak szczerzej Rusi nie kochał, żaden nie życzył goręcej żeby miała przyszłość szlachetną i piękną, ale żaden nie był też dalszy od tej sentymentalności poetycznej, i od tej politycznej przesady, która z wielkiej miłości Rusi o Polsce nieznacznie zapomina, a z wielkiej miłości wschodniego obrządku dla zachodniego niema dość przywiązania i uszanowania. Te wszystkie zjawiska chorobliwe, — a bardzo niebezpieczne, gdyby miały trwać i rozszerzać się — te pytania, czy szlachta nie powinnaby przestać być polską, żeby Ruś ocalić i przywiązać, czy nie powinnaby przechodzić na wschodni obrządek; te zachwyty nad malowniczością jednego obrządku i porównania z drugim na jego niekorzyść; te zdarzające się próby ruskiej mowy w polskich domach, te wszystkie (w najlepszej wierze) pokusy poetycznej wyobraźni, czy ukrytej miłości własnej, wiodące ludzi bezwiednie ale koniecznie do odstępstwa, nie miały sędzi surowszego nad księdza Kalinkę. Dobrą wiarę oceniał, dobrej intencyi pobłażał, ale błąd i niebezpieczeństwo wskazywał bez ogródki i bardzo stanowczo. Miłość Rusi u niego nie stawała się sentymentalnem rozkochaniem, które w końcu zaślepia ludzi na to, czem jest Polska, i co jej są winni. „Mój Panie, wolałbym zawsze być polskim wojewodzicem, „niż ruskim kniaziem", odpowiedział raz jednemu z takich sentymentalnych; a praktyczną niemożliwość, utopijność takiej polityki, gorżki zawód i upadek małochlubny, na którym takie złudzenie (szlachetne zresztą) skończyćby się musiało, polityczną marność takiej myśli, jeżeli ona ma być poświęceniem, a dla ludzi niebezpieczeństwo tej ślizkiej równi pochyłej, u której spodu jest utrata honoru — odstępstwo, i widział dobrze i doskonale tłómaczyć umiał.

Stanowisko księdza Kalinki w sprawie między Polską a Rusią, jego starania około wychowania i przyszłości Rusi,

spotykały się nieraz ze sprzecznemi zdaniami i przekonaniami po stronie polskiej; nieraz raziły boleśnie uczucia i przekonania najgłębsze, najszanowniejsze. Jaka musiała być jego powaga, jakie zaufanie do jego rozumu, charakteru i patryotyzmu, jeżeli mimo to dzieło tak zdaniem wielu niesympatyczne i wątpliwej wartości, mogło się utrwalać i rozwijać? Zdarzało się często, że ludzie inaczej rzecz pojmujący, swojego zdania nie odstępowali, a do dzieła przecież przystępowali, pomagali, głosowali za niem w Sejmie lub wnosili składki, na wiarę księdza Kalinki: w tem uczuciu, że to co on robi, to dla Polski złem być nie może. Jest w tem wspaniałe świadectwo moralnej powagi i znaczenia tego człowieka w społeczeństwie; jest miara wpływu jaki wywierał, skutku jaki sprawiał. Ale jest też świadectwo piękne i dla społeczeństwa samego, jest miara jego postępu i dojrzałości. Lat temu dwadzieścia, kto wié, czy ksiądz Kalinka byłby tak skutecznie działał; kto wié, czy jego katolickie i polityczne stanowisko byłoby znalazło tylu zupełnie przekonanych, a tylu znowu chętnie powolnych; kto wié, czy bylibyśmy zdolni tak przyjmować wpływ człowieka, który niczem nas nie niewolił, tylko wyższością swego umysłu i charakteru, tylko wartością i wzniosłością tej wszechstronnej i czynnej miłości ojczyzny, którą nasz instynkt polski w nim czuł i za nią szedł.

A te sprawy nie wyczerpują bynajmniej całego zakresu jego czynności; dzieło trzebaby pisać, nie krótką wiadomość, żeby objąć wszystko co robił, i co dobrego zrobił.

VIII.

Te ostatnie kilka lat najcięższej może w życiu księdza Kalinki pracy, obejmują i łączą w sobie wszystkie dawniejsze tej pracy kierunki, dodają nowe i wyższe, a przez to są poniekąd streszczeniem i uzupełnieniem całego życia, pieczęcią na niem przyłożoną, czy włożoną na nie koroną największej zasługi. „Chciałeś zawsze działać, wdzierałeś się w każde „pole, nigdy nie miałeś dosyć, to teraz masz czegoś chciał“ — tak zdaje się mówić do niego *Wola Boża*, kiedy go na to miejsce przeznacza. Chciało mu się kiedyś być Sekretarzem przy Namiestniku — tem nie zostanie, ale będzie często poradnikiem wielu, w wielu politycznych sprawach kraju, i nieraz w sejmie, nieraz w Rządzie wpływ swój wywrze. Od lat trzydziestu widzi i powtarza czego nam brak w postępowaniu politycznem, w religijnych uczuciach i przekonaniach, w stosunkach towarzyskich, w literaturze czy w nauce; niechże teraz zblizka wszystkiego dogląda, i niech wpływa na to społeczeństwo, kiedy pośród niego stoi. Chciał je uczyć i podnosić przez znajomość siebie, przez historyę, niech ją dalej pisze. A kiedy przez całe życie wierzył, myślał i powtarzał, że Polskę odrodzić, a przyszłość jej zapewnić można przez odrodzenie przedewszystkiem jej ducha i sumienia, przez wiarę, przez miłość Boga, przez rozmyślną świadomą siebie jedność z Kościołem katolickim, stałą i czynną wolę pozostania w tej jedności, — to niech próbuje, sposobność ma!

Jak z tej sposobności Kalinka skorzystać umiał, poznać można ztąd, że zanim krótki czas upłynął, już on należał do każdej niemal rady czy roboty; już każdy niemal co coś zamierzał i zaczynał, bez jego zdania rzadko kiedy się obchodził. W pracach naukowych i sejmowych, w sprawach kościelnych, w uczynkach i stowarzyszeniach miłosiernych, odnosili się do niego uczeni i dziennikarze, posłowie i księża, młodzi i starzy, kobiety, a wpływ jego tak się szerzył i tak się wkorzeniał, że w końcu rzec można, Lwów zapomniał, że on mieszkał w nim od niedawna, i miał za swego, za swoją ozdobę, za swoją własność. Po jego śmierci, ktoby sobie był pozwolił lekko i w najlepszej myśli krytykować w czem księdza Kalinkę, byłby się naraził na żal i gniew niemały. Świadczy to bardzo na korzyść miasta, że w czasie stosunkowo krótkim tak się na wartości człowieka poznać i do niego przywiązać umiało; ale służy zarazem za miarę, jak jego wpływ sięgał głęboko a daleko, na różne strony; jaki musiał mieć szczególny dar, jaką umiejętność i jaką wytrwałą energię w działaniu na ludzi. Życie duchowne ożywiało się, a kaplica Zmartwychwstańców stawała się głośną przez kazania i rekollekcye, — które ksiądz Kalinka odbywał tylko w zastępstwie niejako, kiedy lepszego kaznodziei nie miał pod ręką, uważając siebie za złego. *Sejm Czteroletni* mimo przeszkód i utrudzeń, postępował naprzód; dodatkowo i jakoby mimochodem powstał żywot Jenerała Chłapowskiego, doskonałość w swoim rodzaju, a zarazem choć mały szkic historyi Księstwa Warszawskiego i Królestwa; historya jednego człowieka, ale taka, że kto zechce, wiele się z niej o tamtej nauczy. Udział zawsze żywy i zawsze wskazujący, praktyczny, w posiedzeniach Akademii Umiejętności i w pracach lwowskiego oddziału jej Komisyi historycznej; współpracownictwo najchlubniejsze, a rady nieocenione, nieraz krytyki ostre dla *Przeglądu Polskiego;* wskazówki dawane nowemu codziennemu pismu we Lwowie — *Przeglądowi*; — Towarzystwo św. Wincentego tamże, odczyty publiczne, konfessyonał prawdziwie oblężony, korespondencya

na wszystkie strony i we wszelkich sprawach od najważniejszych kościelnych i krajowych, aż do osobistych spraw ludzi którzy się do niego zgłaszali, oto wyliczenie pobieżne jego czynności, w którem niezawodnie niejedno się jeszcze opuściło. Zakres i ciężar ogromny, zdumiewający, jeżeli się zważy, że nic nigdy nie zbywał lekko, wszystko wykonywał rozważnie, dokładnie, troskliwie i pilnie. O jednem tylko wspomnieć chcemy, jako publiczności poza Lwowem najmniej znanem, o kazaniach księdza Kalinki, tyle przynajmniej ile koniecznie trzeba, żeby o nich dać najogólniejszą wiadomość. Nie są one złe, jak o nich sam niesprawiedliwie mówi; owszem, są mądre i bardzo dobrze pisane. Zdaje się, że jeżeli nie wszystkie jakie w życiu mówił, to w każdym razie bardzo znaczna ich większość pozostała w jego papierach, bo sam mówi (w *Historyi Domu*), że improwizować nie czuł się na siłach, musiał zawsze napisać to co miał mówić, a czasem i na pamięć się nauczyć. Jest ich ogółem trzydzieści kilka. Najdawniejsze zdają się być z czasów kiedy był kapelanem zakonnic w Jarosławiu, bo i datę czasem mają oznaczoną, i zaczynają się od słów: „Najmilsze Siostry". Takich jest zwykłych niedzielnych cztery, jedno do zakonnic przy odnawianiu ślubów, jedno do dziewcząt przystępujących do pierwszej Kommunii, i ośm z rozpamiętywaniem Męki Pańskiej. Z czasów lwowskich są te wielkopostne, które miewał w dalszym ciągu i w zastępstwie księdza Bakanowskiego; inne znowu przy rekollekcyach dla kobiet (i do tych może należy nauka o stanowisku kobiet, o obmowie, o obowiązkach względem sług). Jedno osobne na Wielki Piątek, jedno o *Spowiedzi*, i znowu osobne o *przeszkodach do Spowiedzi*, jedno na Boże Narodzenie, jedno na Zielone świątki, trzy o świętych (Józefie, Stanisławie Kostce i Franciszku Salezym), i wreszcie jedno (z roku 1878) przy ślubie do nowożeńców. Wszystkie mają swój osobny rodzaj. Są bardzo krótkie, nigdy retoryczne, praktyczne, zbliżone do tego co Francuzi nazywają *conférences*, tylko od francuzkich prostsze. Potoczne często tak, że zdaje się, jak żeby się słuchało

zwykłej księdza Kalinki rozmowy; nieraz zdarzy się zdanie (nawet czasem koncept), który się od niego słyszało w rozmowie: a zawsze oryginalne, pełne mądrych a niespodziewanych spostrzeżeń, pełne tej praktycznej znajomości życia i psychologicznej znajomości natury polskiej, która wszystkie jego pisma cechuje. W wydaniu dzieł znajdą one miejsce, i dadzą poznać księdza Kalinkę z tej nowej nieznanej strony, w nim zaś kaznodzieję wielkich zalet, bynajmniej nie tak małego jak sądził.

Po śmierci Szujskiego (1883), kiedy Wydział Filozoficzny Uniwersytetu Jagiellońskiego szukał najgodniejszego następcy, zwrócił naturalnie uwagę na Kalinkę. Ten odpowiedział, że katedra historyi polskiej byłaby dla niego szczęściem, o jakiem nawet marzyć sobie nie pozwalał, ale że przyjąć nie może. Gdyby nawet nie był do innych obowiązków przywiązany, to jeszcze w takim razie przyjąćby nie mógł, bo jedną tylko część historyi polskiej zgłębił, a w swoim wieku nie czułby się już na siłach rozpoczynać studium nad całą.

W roku 1884 wyszedł Żywot Jenerała Chłapowskiego, klejnot naszej literatury biograficznej, a zarazem szkic historyi porozbiorowej, przynajmniej rzut oka na nią, politycznie bystry i mądry, pisany świetnie, dla piszących wzór, dla wszystkich doskonała nauka. Niektórzy mówią, że tej nauki za dużo a przynajmniej że za wyraźna; że ten polityczny dydaktyzm, który jest we wszystkich pismach Kalinki, tu (w części ostatniej zwłaszcza) występuje zbyt jawnie. Być może że tak jest; co do nas, widzieliśmy tylko nauki mądre i tak doskonale powiedziane, że nie wydało nam się jakoby ich było za dużo; a Chłapowskiego młodość (wojny Napoleońskie) i rok 1831, a w tym zwłaszcza ten dramat straszny, kiedy Chłapowski stoi pod Wilnem i mógłby je wziąć, a nie może bez rozkazu, którego mu Giełgud nie daje, liczymy do świetnych ozdób naszej literatury. Rok 1886 wreszcie przyniósł część drugą *Sejmu*, najświetniejszą może z całego dzieła. Propozycye przymierza austryackiego pomi-

nięte milczeniem; przymierze pruskie bezskuteczne i coraz mniej pewne; dalej pokój Rosyi ze Szwecyą i bliskość pokoju z Turcyą; w Warszawie pośpiech w uchwaleniu naprawy Rzeczypospolitej; forma Rządu wniesiona — ma być uchwaloną w nowym podwojonym składzie Sejmu; wśród tego epizod o sprawie unickiej w Sejmie i o stanie Unii i Rusi w kraju. Z prorogacyi Sejmu korzysta autor, żeby wtrącić rozdział (niezbędnie potrzebny) o literaturze politycznej Sejmu (wpływ Roussa i mistrzowskie szkice naszych pisarzy, z których jeden tylko może Seweryn Rzewuski zbyt dobrze osądzony). Wreszcie obrady nad formą rządu; projekt następstwa tronu w domu Saskim; prawo o miastach, jedno z najmędrszych tego Sejmu i najpiękniej opisanych, i opowiadanie dochodzi do 18 kwietnia roku 1791, do 3 maja już tylko dwa tygodnie.

Ksiądz Kalinka życzył sobie bardzo, żeby pan Paweł Popiel, znawca wielki tych czasów, a tradycyą i pamięcią najbliżej dziś z niemi złączony, napisał recenzyę. Stało się zadość życzeniu, a recenzya kończyła się słowami: „kraj cały „powinien prosić księdza Kalinkę, aby kończył pracę najwy- „trawniejszą, jaką miłość ojczyzny w ostatnich czasach nat- „chnęła“. Ksiądz Kalinka nie mógł kończyć pracy, ani nawet tej prośby i tego sądu czytać. Kiedy recenzya wyszła, był już na śmiertelnem łożu.

Zdrowie jego oddawna nie było dobre. Ciągła praca, snu za mało, klasztorne pożywienie tak ubogie, że zdrowem być nie mogło, podkopały razem organizm. Żołądek zwłaszcza był przez całe lata w najgorszym stanie; przez całe lata także powtarzały się bolesne napady scyatyki. Od pewnego czasu widocznem było, że ksiądz Kalinka wygląda źle, że się nad swój wiek starzeje, i szybko. O tem wszakże, żeby koniec miał być blizki, nikt nie myślał; zdawało się koniecznem i pewnem, że człowieka tak potrzebnego ludziom i swojej własnej chwale, Pan Bóg zostawi na ziemi do zupełnej, jeżeli nie do późnej starości. Na wiosnę roku 1886, rozchorował się ciężko; lekarze przecież o powrocie do zdrowia,

a nawet do sil nie wątpili. Zalecili kuracyę wodną w Kaltenleutgeben, a po niej morskie kąpiele. Pierwsza służyła doskonale. W listach do braci zakonnych donosi, że ma się bardzo dobrze, tylko się wstydzi że „próżnuje, żyje zwię-„rzęcem życiem, i tak tyje, że jak wróci, nie przeciśnie się „przez furtę, ale trzeba będzie robić dla niego wyłom w mu-„rze, z czego wynikną nowe koszta dla biednego domu“. Ostatni raz spotkał się tu z towarzyszem prac emigracyjnych, Klaczką: a o nowych także znajomościach wspomina, w sposób zabawnie cechujący jego wysokie o historyi, a niskie o sobie pojęcie: „Jest tu profesor i bibliotekarz uniwersytetu „z Pesztu, Szilagyi. Dowiedziawszy się, że jest także *znako-„mity historyk polski,* zgłosił się do mnie, aby mi powie-„dzieć, że w tym roku mają otworzyć papiery familijne „Esterhazego, odnoszące się do rozbioru Polski, które w sto „lat po jego śmierci miały być rozpieczętowane. Jam się nie „śpieszył korzystać z tej wiadomości, bo nie o to mi idzie, „by nowe materyały gromadzić, tylko o to, by ze zgroma-„dzonych już należycie skorzystać“. Ale pan Szilagyi nalega, podejmuje się wyjednać zaproszenie od ks. Esterhazego, i obiecuje pozwolenie papierów do Lwowa, i świetne przyjęcie w Peszcie. „O ile z jednej strony ujęła mnie jego „dobroć, o tyle recepcya niezasłużona w Peszcie mnie od-„stręcza. Wstydziłbym się, gdyby przed Węgrami reprezen-„tował naukę polską taki ignorant, jak ja“. Jednak namyśla się, i prosi o zdanie, bo może to szkoda nie zajrzeć do tych nieznanych papierów; a potem tak kończy: „Mnie praw-„dziwie i śmieszy i wstydzi także, że mnie mają za historyka „i za uczonego, kiedy na prawdę jestem tylko lichym expe-„dytorem różnych interesów, jakie Pan Bóg na mnie przy-„syła. Całkiem inaczej trzebaby żyć i pracować, aby być god-„dnym nazwiska historyka“. (List z 19 czerwca 1886 r).

Czy morze, czy jak sam przypuszczał, niezdrowe pożywienie w Scheveningen zepsuły dobry skutek kuracyi wodnej, dość, że wracając ztamtąd (w sierpniu), nie czuł się już tak zdrowym jak w Kaltenleutgeben. Nierównie jednak zdrowszym

niż przez cały rok ostatni. Wszystkie czynności prowadził z podwojoną energią. Trzeci tom *Sejmu* posuwał się ciągle naprzód, a zapewnienie Internatowi stałej subwencyi od Sejmu i od Cesarza, było jego główną troską. Jeździł w tym celu i do Wiednia, i otrzymał pomoc hojną, ale jednorazową, bez zobowiązania na przyszłość, co go dość mocno zafrasowało; byt Zakładu wydawał mu się zawsze niepewnym i zagrożonym, dopóki nie będzie na stałych bursach oparty. W końcu października przyjechał do Krakowa na walne posiedzenie Akademii Umiejętności — (posiedzeń tych nigdy prawie nie opuszczał); w dyskusyi brał żywy udział (przemawiał w interesie wydawnictw historycznych), krakowską opieką Internatu zajmował się wiele; wieczorami czytywał w małem kółku świeżo napisane rozdziały *Sejmu* (wizerunek ks. Piatolego, Ignacego Potockiego itd.); skarżył się jednak parę razy, że ze zbytecznego natężenia myśli miewa czasem chwilowy ból w głowie, „jakżeby się tam jakie nitki rwały.“ Ostatniego wieczora, 2go listopada, czytał ostatnie karty swego dzieła, ocenienie Ustawy 3go Maja, i opowiadał, że doda porównanie jej z konstytucyą francuską roku 1789, porównanie dowodzące wyższości konstytucyi polskiej. Nazajutrz żegnał nazawsze (nie domyślając się tego) miasto rodzinne, miasto swoich wspomnień i swojej szczególnej miłości, żegnał je na samem wyjezdnem słowami: „dobrze mi tu było, chciałbym tu często wracać.“

Porównania z konstytucyą francuską już nie napisał. Ledwo wrócił do Lwowa, przyszło zwykłe, ale tym razem długie cierpienie scyatyczne, zmuszające go do leżenia w łóżku. Ledwo się podniósł, przyszła wiadomość o śmierci księdza Semenenki, jednego z dwóch założycieli i jenerała Zgromadzenia. Kto wié, czy wrażenie tej straty, niepokój o przyszłość, nie wpłynęły tak na organizm już bardzo skołatany, że wywołało albo przynajmniej przyśpieszyło wybuch choroby. Jakieś pomyłki we Mszy pierwsze zwróciły uwagę, nie jego samego ale otaczających, a niebawem objawiło się zapalenie błon mózgowych. Przytomność o tyle była, że chory

ludzi poznawał i na zapytania odpowiadał trafnie; o tyle nie była, że to co mówił sam z siebie, było podobne do sennych rojeń. Jak we śnie, tak jemu w chorobie przypominały się tysiączne wrażenia z przeszłości, i opowiadał otaczającym naprzykład, że był u niego ten lub ów dawno zmarły przyjaciel, i podobnie. Nadmiar pracy teraz dopiero, kiedy już nad sobą nie mógł panować, odzywał się skargą: „oh, „te listy! gdybyście wiedzieli jak mnie te listy męczą, a mam „ich tyle!“ Przywiązanie do swego dzieła trzymało się długo; pytał raz lekarza, czy może się spodziewać życia, „bo chciałbym koniecznie skończyć Stanisława Augusta.“ Ale i tę ofiarę zrobił: odniósł zwycięstwo nad tem ostatniem swojem ziemskiem uczuciem. Raz w ciągu choroby, i to po przyjęciu Sakramentów, zdarzyło się parę godzin przytomności zupełnej, i wtedy był już i spokój zupełny w pożegnaniu się ze światem, braćmi, przyjaciółmi; oderwanie się od świata i zupełnie poddanie się woli Bożej. Wtedy i swego dzieła się wyrzekł, a z długiej rzewnej, pełnej poleceń ostatniej przemowy do braci, ostatniem niemal słowem było „módlcie się „nie o to, żebym ja żył, ale żeby się wola Boska wypełniła.“ I jedno jeszcze zalecił „módlcie się o nawrócenie Rosyi.“ To była zawsze jego myśl: ta Rosya taka duża i silna że usunąć jej, zrobić iżby jej nie było, nie można; ona zaś złą zostać musi i duszy nie zmieni, dopóki przez zmianę wiary nie uczuje w sobie sumienia. Po nawróceniu Rosyi dopiero można wyglądać spokoju dla Polski, spokoju dla Europy: „módlcie się o nawrócenie Rosyi.“

Ostatni raz odezwał się wtedy ten umysł, ta dusza, swoim pełnym głosem. Stan przytępionej połowicznej przytomności i senności wrócił po paru godzinach, i trwał już do końca. Śmierć nastąpiła 16go grudnia przed południem, około 10tej godziny.

Był Kalinka zrazu gorącym młodzieńcem, w patryotyzmie nawet namiętnym (jak świadczą jego oburzenia i skargi) i był naturalnie, jak wszyscy podobni wówczas, spiskowcem; był dziennikarzem, a na emigracyi został znakomitym publicystą; z tego wyszedł wyżej i nadspodziewanie wysoko, na pisarza doskonałego i wielkiego historyka; był wreszcie kapłanem w wierze i służbie Bożej gorliwym jak mało: a przypatrując mu się jakim był w każdym z tych zawodów, jest się skłonnym uwierzyć, że ten właśnie był jego prawdziwem powołaniem. Najrzadszy to na świecie rodzaj zdolności, ten co różnym zadaniom równie dobrze umié podołać. Ale w tym razie myliłby się, kto w pomienionych zawodach chciałby widzieć właściwą Kalinki siłę i przeznaczenie. Świetny publicysta, znakomity historyk, doskonały ksiądz, nie był przecież stworzony ani na pisarza, ani na historyka, ani na księdza, tylko na ministra. Stać u steru spraw politycznych swego kraju (wewnętrznych czy zagranicznych — jedno jak drugie byłby równie dobrze potrafił) — znać to położenie nawylot, rozumieć je w jego ogólnych, przyrodzonych, niezmiennych warunkach, i we wszystkich zmiennych bieżących stosunkach; nagiąć się do konieczności, jaką te stosunki nakładają, lub upatrzyć dobrą sposobność, jaką w sobie kryją; w zamęcie i sprzeczności interesów i stosunków różnych widzieć zawsze interes polski jak stałą gwiazdę polarną i za nim iść niemylnie, a żadnego szczegółu nigdy z oka nie spuścić; o niczem nigdy nie zapomnieć ani zaniedbać; nieprzyjaciela lub przeciwnika znać nawylot i zawsze wiedzieć co on myśli i czego chce; przyjaciela znać także i wiedzieć jak i kiedy dodać mu bodźca; w ludziach czytać jak w otwartej książce, i zmiarkować zaraz, który jak i do czego ze swoim rodzajem umysłu i charakteru da się pożytecznie obrócić; użyć go tam gdzie może służyć najlepiej, a używszy, czuwać nad nim i pilnować żeby się nigdy nie zaniedbał; uznawszy rzecz za dobrą postanowić, postanowiwszy wyko-

nać; obejmować jednym rzutem oka i mieć zawsze przytomny cały zakres religijnego, politycznego, umysłowego, i ekonomicznego stanu i życia narodu; wiedzieć zawsze gdzie w każdym z nich jest ten punkt słaby, który potrzebuje odmiany i naprawy; pchać wszystko ustawicznie, bez wytchnienia i przerwy, żeby koniecznie szło naprzód, a od nikogo i niczego nie żądać więcej, niż w danych warunkach otrzymać można — to była istota sama i cecha główna natury i zdolności Kalinki, który był przez to jednym z nader w Polsce rzadkich przykładów zupełnie politycznego charakteru i temperamentu. Takim był w swoich artykułach dziennikarskich, takim w praktycznem działaniu na emigracyi, takim w swoich dziełach historycznych, i takim nawet na polu religijnem i kościelnem. To jest ksiądz-organizator, który jedno zakłada, drugie odnawia, przypomina trzecie, a wszystko posuwa i dźwiga. W wielkiem dziele religijnego odrodzenia Polski zajmuje się sprawami swego Zakonu, sprawami prześladowanych, sprawami Unii na polskiej czy tureckiej ziemi; ale ma zawsze obok tego dość czasu i baczności, żeby tu założyć Towarzystwo św. Wincentego i organizować miłosierdzie, tu przypomnieć, że zaniedbane jest przykazanie „dzień święty święcić,“ gdzieindziej zachęcać do opatrywania ubogich kościołów.... przykładów takich możnaby mnożyć bez końca, a wszystkie stwierdziłyby tylko, że ten człowiek wszędzie i na każdem polu umiał dostrzedz co było potrzebne i do zrobienia, i albo sam to robić, albo drugich do roboty popchnąć i dopilnować żeby wykonali. Taki człowiek w ministeryum byłby nieocenionym skarbem, duszą i sprężyną działań; w kraju bez rządu i gabinetu, gdzie nie miał najłatwiejszych środków działania, nie mógł polecić, rozporządzić, nakazać; ale co robił, to musiał robić namową, perswazyą, działać na przekonanie i wolę każdego z osobna; — człowiek taki byłby zupełnie nie do pojęcia, gdyby się nie wiedziało, że miał sprzymierzeńca i pomoc w dobrej woli wielu, w tym patryotyzmie oświeconego społeczeństwa, które czuje że potrzebuje się podnieść i podnieść się chce. Kalinka, jak

jest oznaką tej dążności i skutkiem tej siły odrodzenia, która jest cechą i misyą obecnego okresu naszych dziejów, tak jest tego odrodzenia dalszą przyczyną i w niem jedną z wielkich sił poruszających; i dlatego będzie on jedną z naczelnych figur naszej historyi ostatnich lat czterdziestu, jeżeli kto kiedy tę historyę napisze. Że tajemnicą tej jego wartości i siły była miłość ojczyzny, może nie gorętsza i wznioślejsza jak u innych, ale jedna z najczynniejszych, najtrwalszych, najwszechstronniejszych, jakie były kiedy w duszy obywatela i Polaka; miłość ojczyzny, która na ziemi miała swój przedmiot, ale „szukała swego zródła daleko od ziemi;“ zbytecznie przypominać: — jak próżno byłoby dochodzić, ile w tem życiu było cierpień, zawodów, goryczy, walk z sobą samym i z drugimi. Zasługi i dzieła Kalinki wykazać i spisać można; udręczeń jakie przebył, zliczyć trudniej. Jedne są widoczne, drugie zamknięte w jego duszy, zostały tajemnicą między nim a Bogiem: a kto się nad jego życiem zastanawia, ten tylko domyśla się że były, „lecz ich nie zliczy, nie zmierzy.“

Jakie one były? zgadywać można że różnego rodzaju i różnego początku, własne i ogólne, od ludzi i od siebie samego, od nieprzyjaciół, a niekiedy od przyjaciół; że nie brakło ani fałszywych sądów i potwarzy, ani starań, których skutek w ostatniej chwili zawodził; ani bolesnego pasowania się z samym sobą w niepewności co wybrać, co postanowić, co lepsze i z *wolą Bożą* zgodniejsze; ani wyrzeczenia się własnej woli, ani tej żmudnej pracy wiązania sto razy przędzy sto razy zerwanej i rozwikłania splątanej; wszystko to z pewnością w tem życiu było i nie jeden raz, ale ciągle, chronicznie, nie po kolei, ale razem obok siebie: może nie zawsze wszystko razem, ale pewno nigdy jedno tylko udręczenie naraz. A nad tem wszystkiem dopiero zgadywać można napewne, to udręczenie najgorsze i nieustające, które jest tłem i treścią każdego u nas poważnego charakteru i życia, samem powietrzem którem oddychamy; to niepewność, czy się to wszystko na co zda; czarna troska o przyszłość

i pytanie, czy ona jest albo czy jej niema? Przed ro
1863 było jeszcze inaczej; ale po nim, a zwłaszcza w
latach dalszych, kiedy nie już w Polsce, w Europie
zwaliło się tyle, a na zwaliskach zostały jako arbitry l
świata te dwa mocarstwa, co rozbiorem Polski wzrosł
nienawidzą jej tak, że wolałyby zginąć niż jej odżycie
puścić, i na wyścigi śpieszyć zaczęły z jej zagładą, w
odpowiedź na to pytanie stała się trudniejszą. Prawa n
dów niema, sumienie publiczne jeżeli gdzie jest, to za
milczy oczy zamyka i głosu podnieść nie śmié; honor
tarty do szczętu, udaje, że każde kłamstwo bierze za pra
każde szalbierstwo za uczciwość, i każdy gwałt za pr
to stan świata! A wewnątrz wszystkie groźby i wszy
pokusy nieszczęścia: zwątpienie, rozkład, odwyknienie
nych od drugich, przywykanie do nowych jakichś idea
spółeczne antagonizmy i nienawiści, religijne prześladow
i dobrowolne w imię niby postępu odstępstwa; wsch
województwa budzące się i odgrażające w poczuciu odrę
narodowości; najcięższa kryzys wewnętrznego przeobraż
przebywana w tym stanie niesamodzielności i zgnębieni
samo wystarczyłoby bez ekonomicznej ruiny, bez wy
z zachodniej a wywłaszczeń z wschodniej strony, by k
chwilę życia zatruć pytaniem, „jak się to skończy? jak
to przetrzymać zdoła?" Rychło po śmierci księdza Ka
mówił ktoś z gniewem: „u Niemców to Ranke do dzie
„dziesięciu lat żyje i pisze, a u nas Szujski umiera
„pięćdziesięciu nie doszedł, Kalinka kiedy zaledwie skoń
„sześćdziesiąt." Prawda, jest pole do zazdrości i do wściek
na widok, że tam nawet w tych rzeczach tyle powodzen
u nas tyle nieszczęścia. Ale fakt sam jest tak naturalny
dziwić nas nie może. Ranke żyje i pisze do stu lat bl
bo nie drży o nic z tego co kocha; bo dzieje się dobrze je
jego ojczyźnie; bo w teraźniejszości bezpieczny, o przys
jest aż może do zuchwałości spokojny: bo nie potrzebuje
czem myśleć, o nic się troszczyć, prócz swoich badań.

w historyi spokojnie i wyłącznie, bo wié, że jest Moltke na czele wojska a Bismark na czele rządu, jak przed laty był York czy Blücher, Brunswik czy Fryderyk; jak po latach, ufa, przyjdą jacyś inni. On nie powołany do tego żeby Prusy dźwigał, uzdrawiał, poprawiał, ratował. Historyk narodu, którego przeszłe dzieje skończyły się rozbiorem, ma serce rozdarte samym już przedmiotem swoich badań, a im większe, tem bardziej rozdarte; im głębsze, tem bardziej skrwawione. Historyk narodu, który ma obowiązek dźwigania się, czuje, że w tym obowiązku zbiorowym jego rola i jego odpowiedzialność jest wielka. On każde złe utajone głęboko choćby na samem dnie narodowego charakteru i sumienia, ma wydobyć, pokazać, osądzić, i z jego skutków nauczyć nas, że je z siebie wyrzucić musimy, jeżeli to prawda co mówimy, że ojczyznę kochamy, i że jej chcemy. On musi być nie spektatorem tylko i malarzem przeszłości, ale jej spowiednikiem i sędzią; on nie historyi ma uczyć, ale przy niej katechizmu i polityki, a kunszt Liviusza łączyć z Macchiavella roztropnością i ze Skargi apostolskim duchem. Trzema płomieniami świecić musi jego lampa: niedziw, że długo płonąć nie może. Dlategoto Ranke żyje tak długo, dlatego zawcześnie umiera Szujski i Kalinka. Ale dlatego także mają ci historycy z naszych czyścowych czasów zmysł i dar, jakiego nie widać u większych może zkądinąd historyków szczęśliwszych narodów. Takiego charakteru, takiego praktycznego nauczania polityki na politycznych błędach przeszłości, takiego rachunku narodowego sumienia i dyagnozy narodowych słabości, jakie nam w dziełach swoich zostawił Kalinka i Szujski, nie mają Francuzi w dziełach Guizota a cóż dopiero Thiersa, ani Niemcy w dziełach Rankego, ani nawet Anglicy w dziełach Macaulaya. To jest odrębna cecha i to wielkość zasługi Kalinki jak Szujskiego, że będąc najściślejszymi jak być można historykami, umieli być razem nauczycielami w rzeczach polityki, reformatorami w rzeczach publicznego ducha, sumienia i obyczaju. I takiej też historyi potrzebuje naród, który się ma dźwigać; takiej będzie się uczył, jeżeli dźwigać

się ma rzetelną wolę. Nie zbawia się narodów książkami, choćby najmędrszemi: ale zdarza się przecie czasem, że z książki myśl dobra przesiąka w umysły, przenika je i przejmuje tak jak drożdże musi skleić i zaprawić sypką mąkę, jeżeli ma z niej być chleb. Takie drożdże my mamy: jeżeli mąka niemi nie przesiąknie, a na nich chleb nie urośnie, to już nie będzie winą tych, co drożdże zrobili i dali.

Co dobre, to nigdy łatwo i prędko nie idzie: ale że te drożdże zaczyniły już trochę naszą mąkę, oznaką może być sam X. Kalinka i jego dzieła. Żaden pisarz, choćby największy, nie może swemu narodowi dać tego, czego z niego nie wziął. On to wyraża, podnosi na wyższy szczebel i do wyższej potęgi, ale tego nie stwarza. A jak w pierwszej połowie tego wieku, nie byłoby naszych poetów, gdyby nie było w duszy narodu wszystkich porozbiorowych cierpień i nadziei, tak w drugiej smutniejszej tego wieku połowie, nie byłoby tych historyków, gdyby w narodzie, w jego części myślącej rozumnie a czującej na prawdę, nie było tej potrzeby, tego pragnienia, tego dążenia, żeby swój rachunek sumienia zrobić ściśle i surowo, swój stan poznać trzeźwo i nabyć mądrości, przez nią mocy życia i sztuki długiego życia. Początek mądrości określa Pismo św., jest nim bojaźń Boża; jej warunek i skutek pierwszy, opisuje wielki Grek, jako znajomość siebie samego; a inny znowu Grek dodaje, że jej skutkiem ostatnim ma być praktyczna rzeczywista pomoc w życiu, kiedy mówi: „biada wiedzy, która nie pomaga wiedzącemu“. Wszystkie te trzy pierwiastki i znamiona mądrości są w dziełach Kalinki. A jak rozmarzone nerwowe natury w początkach naszego wieku, nie rozumiały tego, że pomiędzy uczuciem i rozumem jest wrodzona i przeznaczona im zgoda, ale pojmowały je jakoby dwie potęgi wiecznie sobie sprzeczne i do walki z sobą przeznaczone, jak dziś (i zawsze) jest wielu, którzy niechcą przekonać się, że niema niezgody między rozumem a wiarą, taksamo wielu teraz uwierzyć nie może, że polityczna mądrość i psychologiczna jak

historyczna znajomość swego narodu, nie sprzeciwia się miłości ojczyzny. Niezrozumienie tej prawdy sprawia i tłómaczy ten gniew, jaki dzieła Kalinki wywołują gdzieniegdzie; ale i ono ustąpi, a raczej dziwić się tylko można, że już ustąpiło tak znacznie. Przed laty trzydziestu, książka taka nie byłaby mogła powstać; dziś choć bolesna bardzo, rozchodzi się ona prędzej, czyta powszechniej, niż niejedna głaczcząca i przyjemna, a jej autor za gniew niektórych ma zadośćuczynienie w podziwieniu i uszanowaniu ogromnej większości czytelników. Książka podnosi jego powagę nie pośród uczonych tylko, ale w narodzie, i utwierdza na stanowisku i w sławie wielkiego obywatela, jednego z pierwszych u nas ludzi współczesnych. Znak to dobry: a historyczne dzieła Kalinki mogą służyć za miarę nietylko że u nas kunszt dziejopisarski wyszedł wysoko w górę, ale także, że pogłębiło się nasze myślenie, a nasze pojęcie siebie samych posmutniało zapewne, ale spoważniało i zahartowało się. Pragnienie i zdolność poznania siebie i sądzenia siebie, przygotowuje i wyrabia zdolność świadomego postanowienia i statecznej woli.

Trzebaby więcej niż go mamy czasu na to, by różnorodną zasługę X. Kalinki zgłębić i ocenić: więcej znajomości jego duszy, niż jej dać może ćwierć nawet wieku ciągłego patrzenia i podziwiania, żeby w jednym zarysie określić jego chrześciańską i patryotyczną cnotę. Zostawiając więc przyszłości obowiązek oddania mu sprawiedliwości na jaką zasłużył, poprzestaniemy dziś na tej uwadze, że w jego żywocie daje się dobrze śledzić droga — *via dolorosa* — jaką naród przeszedł przez ostatnich lat czterdzieści. Zrazu to złudzenie serc prostych, a niedoświadczonych umysłów, złudzenie, że sprawa dobra — przez to tylko że dobra — musi zwyciężyć łatwo. Ludzie oczywiście ją kochają, bo mają sumienie i honor — Bóg oczywiście musi jej błogosławić, bo sam przykazał „nie zabijaj, nie kradnij, nie pożądaj rzeczy bliźniego twego“ — a więc nie może być inaczej, tylko kiedy się sprawa Polski odezwie, cały świat uczciwy przy niej się oświadczy i ona wygra. Na tem stanowisku, w tem złudze-

niu, byliśmy przed rokiem 1830, byliśmy po nim, kiedy z emigracyi gotowaliśmy i szerzyli różne spiski i plany powstania, na tem stanowisku, w tem złudzeniu był i Kalinka, kiedy w r. 1846 myślał, że na głos krakowskich manifestów odpowié cała Europa, a przynajmniej Słowiańszczyzna; że wojsko rosyjskie pierzchnie na wieść, że gdzieś pokazały się ułańskie chorągiewki.

Rok 1846 otwiera oczy najboleśniejszem zaprzeczeniem i rozczarowaniem. Nie! nie wygra się, bo się niema liczby i siły, niema się podstawy; nie można być państwem kiedy się nie jest zupełnem organicznem społeczeństwem! Rok 1848 przynosi naukę drugą: rewolucya a powstanie to nie to samo, nie jednoznaczne jak mniemaliśmy naiwnie dotąd! rewolucya to nie sprawiedliwość i wolność, ale anarchia, rozkład, rozpuszczenie wszelkiego żywego organicznego składu i jestestwa w chaosie bezkształtnym i bezładnym, w którym atomy krążą same nie wiedzą jak i poco, a organizmy giną.

Co więc zostaje? na czem można oprzeć nogę, żeby krok naprzód i wyżej postawić? Może tym archimedesowym punktem jest ten popęd, który w ludzkości żyje, a do lepszego dąży, to prawo postępu i szlachetnienia, które urzeczywistnia się pomału i w walkach straszliwych, ale jest treścią dziejów tego świata. Instynktem, więcej bezwiednie niż ze świadomością, ale przecie dąży do tego nasza cywilizacya, żeby wprowadzić chrześciaństwo w międzynarodowe stosunki i prawa. W tem wielkiem zadaniu wieku, w tym postępie prawdziwym, nasza nadzieja i nasze zbawienie. Przed nim ustąpią zwyciężone przemoce i gwałty, a dzieło i era pokoju i równowagi musi się oprzeć i osadzić na zwrocie tego co nieprawnie wzięte; należne wszystkim prawo do życia i własności, wtedy dopiero będzie zabezpieczone i pewne, kiedy świat uzna otwarcie i głośno, że grabież jest występkiem, a restytucya obowiązkiem. Ale że nic w historyi nie dzieje się cudem, a wszystko zawsze tylko trudem, więc na ten chrześcijański, ludzki, cywilizacyjny instynkt, oglądając się i licząc,

zaglądać pilnie w głąb swego sumienia i swego stanu, poprawiać co złe, mnożyć wszystkie zasoby i pierwiastki życia; uczyć się warunków i sposobów życia w Państwie. Bo nie jest naturalnem i żywotnem, ale sztucznem i mdlem, to, co w skutku wymyślonych kombinacyj rękami drugich się buduje; trwałość i życie ma tylko to, co może powiedzieć jestem, a gdy powié, nikt oczywistej prawdzie zaprzeczyć nie może. To druga emigracyjna, publicystyczna epoka w życiu Kalinki, w życiu całej jednej i niemałej części narodu. I to zawiodło. Pięć panien oszczędzało oliwy w swojej lampie i dolewało jej, żeby nie zabrakło; pięć drugich dmuchało na płomień, żeby się raźniej palił, a podsycać go nie miało czem, i zamiast rozniecić, zgasiły ten płomień, tak, że ledwo się tlić może. Nie dać mu zgasnąć do szczętu, dolewać do lampy ciągle, jak najwięcej, a ostrożnie żeby płomień nie błysnął zanadto i niechętnych oczu na siebie nie zwrócił; strzedz go przed tymi co go chcą zalać i zdusić; strzedz i przed temi pannami, co byle go chwilę rozżarzonym widziały, nie dbają czy go nie zgaszą doreszty; oto trzeci okres tego życia i trzecie najcięższe zadanie. Wszystko czego niema, siłę, rozum, bogactwo, liczbę, wszystko trzeba znaleść w sobie i z siebie wydobyć; trzeba uprawiać, siać i plewić, — a żąć będzie ktoś kiedyś w przyszłości. „Wszystko co robimy“ mawiał często X. Kalinka „to nie jest na dziś, ani na jutro, ale na pojutrze co najprędzej“ ale wszystko, od dziury w moście aż do polityki, trzeba naprawiać czemprędzej, dźwigać i budować, i nic nie zaniedbać. Skutek jakiś choćby mały i chwilowy zawsze z tego będzie, a im dłużej i więcej tych usiłowań, tem on będzie większy i pewniejszy. Oto myśl i czynność tych ludzi, których z przekąsem i natrząsaniem, nazywamy *konserwatystami*: tych pięciu panien, o których drugie pięć mówi że gaszą ducha! Mówią to te, których działania skutkiem jest gaszenie ostatnich iskier polskiego życia i siły na Rusi i Litwie, i niewidziany przedtem tryumf nieprzyjaciela. Myśl dobra, czynność zbawienna i skuteczna, ale niedostateczna. „Czy wy myślicie, że przez wasze rady

powiatowe, drogi, szkoły i książki choćby najmędrsze, ubezpieczycie, uratujecie przyszłość? Jeden wicher zdmuchnie to wszystko i rozwieje bez śladu; trwalszej trzeba obrony i głębszych dla niej fundamentów; — pisał X. Kalinka w jednym liście: Troszczycie się i frasujecie o wiele, a jednego wam potrzeba, tego jednego, o czem najmniej myślicie, czego brak najmniej czujecie". Na wszystko potężny nieprzyjaciel znajdzie środek i radę, jednej tylko rzeczy nie zwycięży, duszy narodu silnie siebie świadomej w swojej wierze i w swojej woli, i z tą potęgą połączonej, która ma Boskie słowo że jej bramy piekielne nie przemogą. W tej pracy odbudowywania, którą prowadzimy wszyscy, Kalinka innych nie zaniedbując, historykiem i politykiem być nie przestając, obrał część najważniejszą, został księdzem, by w duszy polskiej zbudować Bogu przybytek, a wierze i bytowi narodu twierdzę, jedyną niezdobytą, — żeby utrzymać to co było chwiejące i zagrożone, zdobyć na nowo to, co już utracone.

Czy to działanie, jego osobiste jak zbiorowe, nie miało skutku? Nie możemy się na to skarżyć, i życie jego może być miarą nietylko głębokości tej otchłani nieszczęść, w którąśmy wpadli, ale i miarą postępu, jaki się w nas dokonał. Tragikomiczne sceny dyktatur krakowskich z r. 1846, są i będą możliwe zawsze przy wszystkich na świecie ludowych rozruchach; ale dziś ani Helcel, ani Henryk Wodzicki jużby w nich roli nie przyjął. Gdyby jaki rząd utajony chciał rozrządzać losami narodu i od niego żądał posłuszeństwa; znalazłby zwolenników i fanatyków jak w r. 1863, ale znalazby i takich, którzy z góry powiedzieliby mu *nie*, bez obawy że tem *nie* zgrzeszą przeciw ojczyźnie, jej miłości i jej czci. Nie bez trudu, a nieraz nie bez wewnętrznej walki utrzymuje się polityczna droga i postawa tej części Polski, która polityczne życie ma, ale się utrzymuje statecznie przez lat jednak z górą dwadzieścia. Z nauk niejedna stanęła tak wysoko, jak dawno, jak może nigdy w Polsce nie stała, a po raz pierwszy zjawiła się sztuka; ruina majątków — jeżeli nie mylą się ekonomiści — jest przeniesieniem majątku z jednych rąk do dru-

gich, i przemianą ich z większych na mniejsze, ale nie jest ubytkiem summy narodowego bogactwa. A wreszcie z religijnych tradycyj i uczuć, zaczynają się wyrabiać i hartować nawet między młodymi, katolickie przekonania silniejsze i powszechniejsze, niż się je tu dawno widziało, dość silne dzięki Bogu, żeby już niejedną trudną chwilę, niejedną próbę cierpliwie i roztropnie wytrzymać. Czy to na zawsze? czy na długo? czy się co dla nas, a zwłaszcza w nas nie zepsuje; czy się zepsuć nie damy lub nie zepsujemy sami? Spodziewajmy się że nie, i strzeżmy się żeby nie; ale dziś tak jest, że od lat dwudziestu zaniedbujemy i marnujemy mniej, przyrabiamy i zdobywamy cokolwiek (ci z nas oczywiście, którzy po temu mają sposobność). Dwa pokolenia z których jedno otworzyło oczy i zeszło w głąb swego sumienia w r. 1848, a drugie w r. 1863, grały taką rolę, tak pojmowały swój obowiązek względem ojczyzny, w czasach i kolejach najtrudniejszych, jakie ona przebywała. Kalinka nie był w tych pokoleniach i czasach jedynym, zasługa dzieli się dzięki Bogu między wielu. Ale historyk, polityk, i kapłan, miał zakres czynności tak przestrony jak może nikt drugi, i miał jak może nikt drugi wszechstronną zdolność uczynienia zadosyć wszystkim tym obowiązkom. Myśl wszędzie przytomna, ręka wszędzie czynna, poruszająca i pchająca naprzód naukę, sprawy polityczne, sprawy kościelne, a podnosząca w górę sumienia i dusze, to właściwy charakter Kalinki, który go między zasłużonymi ludźmi jego czasu wyróżnia i wyszczególnia. Ta epoka naszych dziejów, którą on nazywał epoką Polski pokutującej, jest a przynajmniej ma być początkiem *Odrodzenia i Reformacyi*, odrodzenia i poprawy umysłowej, politycznej i religijnej. Wszyscyśmy do tego dzieła powołani, a jego trzy działy tak są z sobą złączone i od siebie zależne, że choć kto szczerze w jednym się zamyka i jednemu poświęca, służy wszystkim trzem. Ale takiego drugiego nie było, któryby do wszystkich trzech równe odebrał powołanie i uzdolnienie, we wszystkich równie mądrze, równie gorliwie, równie niezmordowanie działał.

Jeżeli nasze smutne czasy znajdą kiedy swego historyka, jeżeli z naszych posiewów będzie kiedyś plon taki, żeby o siewcach warto było wspominać, to potomni nie odmówią współczucia i podziwienia wielu ludziom, z którymi my przestawaliśmy jak z przyjaciółmi i równymi, a których rozmiary przecie nie były zwykłe, a bohaterstwo ciche i smutne, ale prawdziwe. Jak ci za których tak żałośnie skarży się Krasiński, na górach stali i „dźwigali ciężkich krzyżów brzemię,“ a „ziemia obiecana,“ którą ich poprzednicy w ostatniem jeszcze pokoleniu widzieli choć zdala, przed nimi usunęła się tak, że oni już tylko wiedzieli w której stronie jej szukać, ale dojrzeć już nie mogli. „Widzieli światło niebieskich promieni“ jak tamci, ale widzieli także, jak ich plemię zamiast do promieni dążyć, odwracało się nieraz w przeciwną stronę. „Do godów życia“ i oni zasiąść nie mieli, a jeżeli jak tamci zapomnieni nie będą — w tem się poeta myli — to poniewierki potwarzy i nikczemnego prześladowania znieśli więcej aniżeli poprzednicy. Między tymi, a wyżej od wielu, stoi ta postać dziwna, która jak różne zajęcia tak i różne czasy łączy w sobie i skupia: w polityce uczucia, pojęcia, zamysły księcia Adama i Zamoyskiego, z koniecznościami położenia i pracami ostatnich lat, i usiłowań najnowszych robotników tej winnicy, dziś na Galicyę jedną ograniczonej; w historyi następuje po Lelewelu, po Helclu, i z młodszym Szujskim w parze rozpoczyna cały szereg nowych prac, nowych ludzi, oznacza zwrot wyraźny a potrzebny, oznacza nowy okres i szkołę. W Kościele wreszcie stoi między Kajsiewiczem i Koźmianem i całą tą grupą współczesnych odrodzicieli katolicyzmu, a tymi dawnymi apostołami jego, którzy wiarę chcieli nieść na Wschód, a z niej i dla ojczyzny mieć szaniec, jakimi był Skarga, Pociej i święty połocki Męczennik... myśl ich porzuconą wziął do serca i ożywił, dzieło zaniedbane, szaniec rozsypany i prawie z ziemią zrównany, naprawiał i sypał znowu tak gorliwie, tak gorąco, jak w tym wieku żaden przed nim, jak po nim za jego przykładem znaleźli się dzięki Bogu inni...

Dlaczego go Bóg zabrał, kiedy mógł jeszcze żyć dłużej i tyle dobrego dla chwały Bożej, dla zbawienia dusz ludzkich, dla uzdrowienia i dźwigania ziemskiej ojczyzny zrobić? Dlaczego zabrał, próżno pytać; tego się na tym świecie nie dowiemy. Ale pytajmy raczej dlaczego go dał, a odpowiedź znajdzie się zaraz. Dał na to, żeby był solą tej biednej ziemi, i pracą swoją, rozumem swoim, cnotą, wiarą, miłością swoją ją użyznił; dał na to, żeby był pomocą, radą, podporą i nauczycielem; i dlatego dał mu w jednem ciele i duchu potrójny charakter i urząd historyka, polityka, i kapłana. Dał go na to wreszcie, aby był wzorem, i wzorem skutecznym naśladowanym, co już nie od niego tylko od nas zależy; żebyśmy nauk jego słuchając, a w jego żywot i przykład się wpatrując, zwyciężyli w sobie dawnego człowieka, dawnego Polaka z XVII czy XIX wieku, z jego wrodzonemi wadami i politycznemi błędami, a oczyszczali i podnosili w sobie ten pierwiastek, wrodzony także a szlachetny i święty, który w nas jest, kiedy go wady i błędy nie głuszą. Niech ten duch, ten zmysł święty, który niegdyś Litwę ochrzcił i ślubem wiecznej miłości związał, który na cudowne hasło z Częstochowy zerwał się do broni w Tyszowcach, który Sobieskiego wiódł pod Wiedeń, a w Trzecim Maju zrobił akt skruchy i postanowienie poprawy, niech ten oczyści swoje złoto z glin i żużli które do niego przywrzały, niech się krzepi i wzmaga w doskonałej, wszechstronnej i czynnej miłości ojczyzny, jaką była miłość ta u Kalinki, — a wtedy może stać się prawdą to, co on za życia lubił powtarzać: *Deus elegit infima ut confundat fortia.*

Czy to nie urąganie — mówić o tem zawstydzeniu potężnych, kiedy oni właśnie urągają nam i pewni swego tryumfu, trzęsąc głowami, szydzą, wołając *ubi est Deus eorum?* Prawda, takiego prawa do rozpaczy nie miał może żaden naród w chrześciańskim świecie. W księdze wyroków rosyjskich i pruskich zapisana jego zagłada, a środki jej takie, że każdy organizm musi się od nich rozłożyć, a każdy duch zepsuć. Ratunku znikąd, chyba z nieba cudem, ale Bóg

cudu nie robi, choćby mógł gdyby zechciał; a w przyszłości, choć prędzej lub później ci dwaj potężni będą musieli do siebie się wziąć, to którykolwiek zwycięży, zawsze będzie równo źle. Jedni z nas mówią, że ten przecie lepszy co dzikszy, bo młodszy i więcej pierwotny, może być jeszcze zdolnym do poprawy; drudzy mówią, że ten co przewrotniejszy i zepsutszy, przecie mniej niebezpieczny, bo z dawnego chrześciańskiego wychowania mimo jego woli coś mu jeszcze ludzkiego w duszy zostało — ale jedni i drudzy czas tylko tracą i głowę marnie łamią nad pytaniem, dawno już w duszy polskiej i w chrześciańskiem sumieniu rozwiązanem. Który z nich gorszy, albo lepszy? Żaden. Oba sobie równi, oba jednako przewrotni i nieubłagani wrogowie nie Polski tylko, ale prawdy, sumienia, i Boga. Jeden wychowania i sumienia chrześciańskiego nie miał nigdy: drugi chwycił pierwszą sposobność żeby się go wyprzeć i w sobie zagładzić, ale oba jednako (drogą muzułmańskich instynktów i bizantyńskich tradycyj jeden, drugi drogą swojej religii i swojej filozofii), zaprzeczyli Boga i jego prawo, a ubóstwili człowieka. Dla jednego przez długi czas Bogiem był Car, dla drugiego rozum ludzki; dla każdego jest nim dziś on sam, Rosya albo Prusy, a oprócz tego niema nikogo i nic, żadnego prawa, żadnego obowiązku, żadnej prawdy, żadnej zasady, żadnego względu za życia, żadnego sądu po śmierci. A oni dziś rządzą światem, i choćby jeden drugiego miał zabić, cóż z tego, kiedy ten drugi zostanie! W tym stanie świata musi przychodzić na Polaka najczarniejsze z uczuć, rozpacz, a z jej przepaści podnosi się jak piekielny jaki wyziew bluźnierstwo: „albo niech Bóg prędko zrobi cud, albo jeżeli nas już „naprawdę na zagładę oddał, to niech powié, żebyśmy się „darmo nie męczyli.“

Musi przecie rozpacz być na coś potrzebna, musi z Bożego przejrzenia przeznaczoną być ludziom, a może i narodom, skoro przebyć ją musiał sam Bóg, Jezus Chrystus. Jeżeli On, wiedząc że jest Bogiem, mógł myślеć i wołać: „Boże, czemuś mnie opuścił,“ to cóż dziwnego, że czasem pyta tak

człowiek albo naród, że się od Boga opuszczonym sądzi? Ta pokusa rozpaczy, najcięższa ze wszystkich i w życiu Chrystusa Pana ostatnia boleść, musi być potrzebną jako ostatnia zasługa, ostatnie zwycięstwo, ostatni tytuł do zmiłowania i nagrody. Przyjść ona musi: o to chodzi, żeby ją przebyć i przemódz. A jeżeli teraz zaczął się jej czas, to z nią razem w tym najgłębszym kręgu otchłani ukazują się błyski otuchy i pokrzepienia, na które oczów zamykać się nie godzi. Stare przekleństwo przywiązane do hasła *eritis sicut Deus*, sprawdza się i na tych co ubóstwili siebie, jako ludzki rozum czy jako Państwo: historyczny Bóg Hegla w Prusy wcielony, niepokoi się i lęka i ukryć tego nie może, *„ihm wird bei seiner Gottähnlichkeit bange.“* Południowa Słowiańszczyzna w kolebce niegdyś zduszona, przez wieki w letargu, bez woli i działania, bez historyi, a dziś wracająca do życia, uczy, że przemoc nie zabija tego co Bóg stworzył; Irlandya uczy, że każda niegodziwość odnosi karę i mści się na tym kto ją popełnił, w szpik jego kości wszczepia śmiertelną chorobę. Z tych przykładów możemy się uczyć my, i nasi ciemięzcy: i brać z nich do serca otuchę jedni, a drudzy groźbę. Do tych zaś znaków przyszłości dodajmy jeszcze jeden. Gdyby zliczyć summę polskiego rozumu i polskiej cnoty w wieku XVIII i w naszym, pokazałoby się, że ten choć tak ciężki i smutny, miał więcej charakteru, więcej miłości ojczyzny, więcej poświęceń, więcej na różnych polach zdolności, więcej bojaźni Bożej i własnej godności; że na liczbę i na jakość dobrego jest dziś więcej niż przed stu laty. Człowiek, którego pamięci i czci poświęcone są te karty, był tej różnicy, tego dokonanego postępu dowodem i miarą, a razem czynnikiem i wzorem. I dlatego na jego grobie można, nie łudząc się i marnem pochlebstwem nie odurzając, powiedzieć, że jeżeli się ten postęp ku lepszemu nie zatrzyma — jeżeli nie zatrzymamy go własną ręką i wolą — to kiedyś może świat odrodzony ze zbudowaniem ujrzy i przyzna, co nam brzmi jak urągowisko, *Deus elegit infima ut confundat fortia.* A może ze zdziwieniem i czcią doda te słowa, któremi hi-

storya przez usta Kalinki daje świadectwo i potwierdzenie przeczuciowym sądom poetów: „dane bywa Polakom chwy- „tać z góry rzeczy niecodzienne, wznieść się nad pojęcia „ogółu, przeczuć niejako myśl Bożą, i tę myśl siłą ducha i „łaski nieba w życie wprowadzać.“

PRZYPISY.

Do strony 23.

Po wydrukowaniu powyższego ustępu, dowiedzieliśmy się od księdza Smolikowskiego, że ksiądz Kalinka sprawę tę opowiadał jak następuje: dzienniki polskie, a zwłaszcza poznańskie, były surowo zakazane. On był korespondentem jednego z nich. O tem dowiedziała się policya, i to powód rewizyi. Na stole leżała zaczęta korespondencya, którą obecny przypadkiem Szukiewicz ukrył zręcznie i wyniósł.

Do strony 69.

Artykuły W. Kalinki w Wiadomościach Polskich (podług własnoręcznego oznaczenia w exemplarzu ks. Marcelliny Czartoryskiej).

Rok I. (1857). Żale Polaków na Zachód. Listy o Królestwie. Agronomiczny korespondent Kroniki Warszawskiéj. Nasze zadania i uchybienia. O wydawnictwie materyałów historycznych. Listy o Rusi. Adres uczniów Towiańskiego do cesarza Alexandra (wspólnie z Klaczką). Kościół Polski w Paryżu. Niemcy i koleje żelazne.

Rok II. (1858). Rząd Rosyjski. O podróżujących i godności narodowej. Przewodnik Polski w Paryżu. Rady mieszkańca Wielkopolski. Obchód w Montmorency. Konspiracya dzieci we Lwowie. Hramotka pana Kuliszy. Polityka rosyjska w Polsce.

Rok III. (1859). Polska pod trzema obcemi Rządami. Niewiasta polska na wsi. Śmierć Zygmunta Krasińskiego (wspólnie z Klaczką). Sofiści i młodzież za czasów Sokratesa. Rozkoł. Jeńcy galicyjscy we Francyi. Wyznanie Jereja (zakończenie Klaczki). Plan konspiracyi i kadrów powstańczych.

Rok IV. (1860). Względy polskie w sprawie władzy świeckiej Papieża. Papież i Polska. Duchowieństwo na Litwie. Zamach pana Muchanowa na Towarzystwo Rolnicze. Polska po za krajem. Listy o wychowaniu w Królestwie. Życie publiczne w Wielkopolsce. O kościele katolickim w Polsce (recenzya dzieła ks. Lescoeur). Ani razem ani przeciw. Gustaw Potworowski (wspomnienie pośmiertne). Polska w r. 1860 (wspólnie z Klaczką).

Wielu mniejszych artykułów nie oznaczył ks. Kalinka wcale; znać nie zdołał sobie przypomnieć, przez kogo były pisane.

MOWA

na pogrzebie

X. WALERYANA KALINKI

we Lwowie, dnia 18 Grudnia 1886 r.

„Wola Boża“: to było wybrane, często powtarzane godło X. Kalinki. Trzeba je mieć w sercu, i pamiętać że ta wola jest i Opatrznością, żeby na jego śmierć nie szemrać. Każdego zwyczajnego nam szkoda kiedy ubędzie, bo naszych sił mało: a Pan Bóg zabiera tak dobrego, tak potrzebnego, że jego ubytek, to nie szkoda, ale publiczna narodowa klęska. Ten prosty ksiądz, ten zakonnik ubogi i pokorny, był duszą tylu spraw, tylu usiłowań dobrych, światłem tylu rozumów i sumień, bodźcem tylu prac szlachetnych i przydatnych, że nad jego grobem chce się tylko ręce załamać nad pytaniem, co się z tem wszystkiem stanie, kiedy tej duszy nie stanie?

Cóż było w tym człowieku innego i lepszego jak w wielu, że jego strata wydaje nam się tak ciężką, aż straszną? Był zbiór niepowtórzony wszystkich przymiotów, które miłość Ojczyzny robią doskonałą i skuteczną; znajomość swego narodu najgłębsza, uczucie jego potrzeb najtrafniejsze; świadomość jak w pewnem położeniu postąpić żeby nie zbłądzić; zdolność działania i nadawania działaniom popędu, rozum ogarniający wszystkie religijne, polityczne, społeczne i na-

ukowe stosunki i potrzeby narodu, wola i praca zdolna jedne z nich podjąć, drugie przynajmniej ludziom wskazać, a wskazawszy, dopilnować żeby wykonali — a to wszystko dopiero objęte i trzymane razem tą miłością, której przedmiotem jest i przeszłość, i dziś, i jutro, i ziemia, i oświata, i bogactwo narodu, wszystko: ale przedewszystkiem jego dusza, jego wartość i szlachetność, jego charakter bożego syna i sługi, który ma pełnić wolę swojego Ojca w niebiesiech i na królestwo Jego na ziemi pracować, żeby sługa wierny został w niem dziedzicem i obywatelem. To przykładanie ręki do wszystkiego, a nigdzie bez skutku, do spraw Kościoła i wiary, do nauki, do spraw politycznych, do miłosierdzia; to dźwiganie wszystkiego do góry; ta praca budowania wszystkiego co się zwaliło, a przedewszystkiem ten cel i praca odbudowania wszystkiego od wewnątrz, od duszy, i podniesienia jej zarazem do szczytów wierności Bogu i sprawiedliwości względem ludzi, to był Kalinka! tośmy w nim czuli i znali; i dlatego dziś za trumną tego prostego księdza, za tym najskromniejszym pogrzebem ubogiego idziemy wszyscy — a możemy powiedzieć, że w nas wyobrażony jest cały naród — z myślą, jeżeli nie wołaniem: o Boże! czemuś go zabrał!

Trzy były dotąd epoki naszego porozbiorowego życia. Pierwsza wojenna, z nadzieją wybicia się wstępnym bojem, zakończona powstaniem roku 1830. Kalinka do niej nie należał, ale wziął z niej tę wierność niezłomną, tę wiarę w swoją sprawę i w swoje prawo, które były tej epoki cechą i chlubą.

Druga była epoka emigracyjna. Prawda, było w niej wiele złego i wiele szkody. Ale kiedy dziś, nawet między nami staje się modą, niby dowodem politycznego rozumu mówić źle o emigracyi, to tylko życzyć trzeba nam i drugim, byśmy nie doczekali czasów, w których świat europejski pozna po własnej szkodzie — co już dziś widzieć może, kto ma oczy — że w tych przestrogach, które Europie dawała okrzyczana a nieraz wyśmiana emigracya, był rozum i była

prawda, że ona daleko patrzała i dobrze widziała. Kalinka, emigrant późniejszy, emigrant przez ostatnie dopiero lat dwanaście znaczenia i działań emigracyi, nabrał w tych latach wędrówki znajomości politycznego świata i jego spraw, przebył prawdziwą dyplomatyczną szkołę, a nie wpadł nigdy w zwykłą pomyłkę wielu emigrantów, którą jest nieznajomość realnego stanu kraju, polityka teoretyczna i idealna, bez gruntu pod nogami, przeto często utopijna. On kiedy zbliska, naocznie, studyował bieg spraw i naturę sił politycznych Europy, kiedy się dla Polski polityki uczył i punktów oparcia dla niej szukał, to stan wewnętrzny Polski samej miał zawsze przed oczyma, znał go nawskróś, zgłębiał trzeźwo, i Polsce samej o jej stanie dawał — *Wiadomości*. Z tej emigracyjnej epoki jego życia wyszła doskonała u niego, lepsza u wielu z nas znajomość tej nieubłaganej statyki i dynamiki politycznej, bez której nic obliczyć, nic napewno począć się nie da w wewnętrznych czy zagranicznych stosunkach, bez której niema planów, tylko są marzenia; niema praktycznych powodzeń, tylko są teoretyczne rozumowania.

Ten charakter i kierunek realny, praktyczny, nadawał — nie on jeden, bo było tam ludzi znakomitych wielu — ale on najsilniej może emigracyjnym działaniom, od wojny Krymskiej, aż do chwili, kiedy i one były zaskoczone i porwane a wreszcie zniweczone wypadkami, których początek jak kierunek w innych był rękach. Między temi umysłami znakomitemi i zdolnościami pierwszego rzędu, niejeden był mu równy lub wyższy pod pewnym szczególnym względem, ale żaden nie miał w tym stopniu co on daru objęcia i prowadzenia wielu spraw naraz, zmysłu organizacyjnego i daru rządzenia, rozpoznania odrazu co jest do zrobienia i wskazania sposobu jakim zrobione być może; użycia właściwego człowieka do właściwego mu rodzaju pracy, zmuszenia go, żeby powierzoną sobie wykonał. Ten wzrok obejmował cały ogół, a nie przeoczył, nie zaniedbał nigdy żadnego szczegółu. Ta czynność wielostronna, która się wciskała w parlament angielski, w Bułgaryi śledziła postępu pierwszych skłonności

do powrotu na łono Kościoła, prasę i opinię francuską uczyła znać stan a rozumieć sprawę Polski; która w znakomitych cudzoziemców umiała tchnąć miłość tej sprawy i wywołać ich dzieła, a która z zapałem i utęsknieniem największem pracowała — (już wtedy) — nad ścieśnieniem węzłów między Ojczyzną a Kościołem, mogła była życie zapełnić. Nie zapełniała go. Po za nią była jeszcze czujność zwrócona zawsze na wszystkie naukowe kwestye i sprawy, były cywilizujące, humanizujące dzieła miłosierdzia, była troskliwa pilność około każdego z osobna (zwłaszcza młodego) człowieka, żeby jego rozum, serce i charakter oświecać, podnosić, kształcić — ah! i któż zliczy, ile tam było zasobów i skarbów, jak ten człowiek „rozdawał siebie samego swej braci.“

Z epoki emigracyjnej wziął Kalinka, co w niej było najlepszego: znajomość europejskiego świata i zagranicznej polityki, doświadczenie, poświęcenie: a co się w niej najlepszego robiło, do tego należał.

Przyszła epoka trzecia. Ze wszystkiego co było, nie został kamień na kamieniu, i jeszcze każdy z osobna rozbija się na proch, żeby z niego i ślad nie został; a gdzie jest ślad, to go zaorać; gdzie tli iskra życia, to zdeptać; gdzie jeszcze ostatnie tchnienie, to zadusić. A tryumf coraz zupełniejszy i coraz łatwiejszy: polska szabla się złamała dawno, później zachodni rozum nie zrozumiał, nie wystarczył, nie chciał się bronić zawczasu — i dzisiaj mówi Krasińskiego „Szatan“: „Ja jestem rozum,“ „ja jestem konieczność“ i „ja ziemi panem.“

Otóż nie! Panem ziemi jest tylko Bóg; koniecznością tylko Jego wola, a rozum ludzki tylko ten prawdziwy, który tej woli szuka i słucha. Co ona postanowi i jak rozstrzygnie, to się kiedyś pokaże; czego ona od nas chce, to możemy poznać. Ratowania pierwszego warunku samej istoty życia: duszy narodu, przywrócenia jej do sił i zdrowia. A środki potemu jakie? Znajomość siebie i rzetelność z sobą: to historyk; roztropność i statek w postępowaniu: to polityk; zjednoczenie sił własnych, wątłych i rozprzężonych, z jedyną

niezmienną, z jedyną nieomylną, z jedyną niezwyciężoną, z Bogiem i z tym Jego mądrości składem, którym jest Kościół: to kapłan. Wszystko zniszczone, prócz duszy! Dobrze: zobaczymy, czy ta się da zniszczyć i czy z tego korzenia co nie puści? To rola Kalinki w naszej historyi. Zaczęła się — i toczy się walka już nie o ziemię, nie o prawa, nie o instytucye, nie o mienie; walka o duszę, prowadzona wszystkiemi siłami gwałtu, wszystkiemi środkami zepsucia i rozkładu — a czasem niestety nie bez pomocy rąk polskich. Tej walki bohaterem jednym z największych był ten prosty zakonnik, którego tu dziś chowamy.

W pierwszych latach po klęsce, Kalinka nie miał wytkniętego działania przed sobą; skorzystał z tej bezczynności, żeby napisać książkę. Żywot księcia Adama Czartoryskiego może tyle nauczyć, tyle oświecić... Żywot ten nie napisał się nigdy, ale z przygotowawczych do niego prac powstały *Ostatnie lata Stanisława Augusta*. W publicyście, w pisarzu politycznych artykułów i broszur, objawił się niespodzianie i w wieku już dobrze dojrzałym historyk.

Opatrzność to Boska zaprawdę dała nam na te czasy niemocy ten kordyał historyi. Pierwszy środek uzdrowienia znajomość siebie, a w tem zwierciedle nabyć jej, zobaczyć się możemy — i tym kordyałem się leczyć, byleśmy — jak Skarga mówi — byleśmy chcieli! Kalinka, świadczą wszystkie jego pisma dawniejsze, był wielkim znawcą psychologii narodu, znał wszystkie odmiany i wszystkie skłonności naszej natury, czytał w nich jak w otwartej księdze. Ale że z tą intuicyjną wrodzoną znajomością duszy, połączył odrazu tę umiejętność badania dziejów, którą się zwykle tylko długą nauką nabywa, że kunszt dziejopisarski, ten tak szlachetny, tak rzadki i trudny, posiadł odrazu tak że pisał historyę jak mistrz, to było niespodziewane, to była rewelacya, którą objawił się i stanął odrazu w pierwszym rzędzie jako historyk-badacz, historyk-polityk i historyk-artysta. *Sejm Czteroletni* okazał tę zdolność w pełniejszym jeszcze blasku, rozszerzył zakres tej zasługi, pomnożył zasób tej nauki i zna-

jomości siebie, ale w tem pierwszem dziele była już cała istota rzeczy i cała jej doskonałość. Nie tu miejsce jej dowodzić, ani zbijać tej czasem zawiści, częściej płytkości, która w prawdach historyi widziała zagrożenie narodowych uczuć. Ta część zadania należy z prawa do historyków. Tu tylko jedno słowo. Z męką w sercu, ze wstydem na czole, zagłębiał się Kalinka w te dzieje smutne nie tyle jeszcze zdradą lub przemocą obcych, jak tem, że Polacy sami nie dość dzielnie, nie dość mądrze, nie dosyć Polski bronili. A ten wstręt przemógł, ten przymus sobie zadał, dlaczego? Dlatego właśnie, żeby się przekonali i nauczyli że nie dosyć, że trzeba mądrzej, że trzeba silniej, że trzeba stateczniej, że trzeba wyżej! a tego na żadnych czasach i wypadkach tak wyraźnie, tak zrozumiale nie mógł wykazać, jak na tych, które przez to że ostatnie i najbliższe, najprędzej nam sumienie wzruszyć a oczy otworzyć powinny.

Ale nauki historyi, ale znajomość siebie, na co? co po niej, jeżeli nie ma podnieść, poprawić? „Biada wiedzy, która nie pomaga wiedzącemu," która zna tylko i konstatuje. Siłą samej tylko znajomości siebie nikt, człowiek czy naród, nie zdoła się podnieść. Trzeba więcej, trzeba woli w człowieku czy narodzie, i trzeba w nich tej jeszcze siły, której w nich samych już niema. Żeby duszę ratować, nie dosyć człowieka, trzeba Boga i Jego łaski; nie dosyć lekarza (historyka czy polityka), trzeba kapłana.

Kalinka został księdzem. Jeden był na świecie zakon, do którego on ze swoją naturą i przeszłością musiał lgnąć całą siłą przywiązania i pragnienia, to ten, co z duszy polskiej poczęty, jej obronie przeznaczony, od Zmartwychwstania Pańskiego wziął nazwę. A z martwych budzić trzeba było wiele i wielu: ale też budzili dobrze, i nie zasypiał już zwykle ten, kogo oni raz ocucili. Wspaniałe są w dziejach naszych te postacie księży, co dusze chcą zbawiać, a gdyby się to dało, zbawiliby, przynajmniej poratowaliby Ojczyznę. Taki był Skarga, którego żeśmy słuchać nie chcieli, wyrzekamy dziś gorżko na siebie; taki był, ze swojem słowem

nieraz Skargi godnem, Kajsiewicz. Kalinka był cichy i nie strzelał jak tamci „grzmiącemi słowy do serca spółbraci,“ ale dzieje Kościoła i dzieje narodu polskiego postawią go w szeregu tych wielkich kapłanów-reformatów, odrodzicieli. Słowami nie grzmiał, ale wpływem obejmował zakres szerszy niż Kajsiewicz; do spraw politycznych więcej od niego należał, działał przez historyę, działał przez naukę, działał przez dar przekonywania ludzi i posuwania ich naprzód, co niejeden z nas tu obecnych poświadczy: działał przez miłosierdzie, przez swój polityczny rozum i doświadczenie; a tak umiał działać, że gdzie przyszedł, tam się życie budziło, tam się poczynało działanie, tam się powtarzał prawie ewangieliczny cud, że choć się na miejscu ledwo kilka chlebów znalazło, rzesza odchodziła pokrzepiona, mocniejsza, odważniejsza, ufniejsza. W tym pisarzu, w tym uczonym, w tym historyku, w tym polityku, w tym wielkim po ludzku i po świecku patryocie: — był apostoł.

A w tej apostolskiej pracy największe, najtrudniejsze dzieło ostatnie, ze wszystkich najbardziej umiłowane, bo w niem jak nigdzie wyraźnie bezpieczeństwo i zbawienie dusz krwią Pana Jezusa okupionych, schodziło się z zabezpieczeniem świeckiej Ojczyzny. Lud wielomilionowy, z Kościołem niegdyś polską zasługą połączony, a opieszałością niestety polską nie dość ściśle złączony, od wieku gwałtem i zdradą od Kościoła odrywany, w małej już tylko części przy nim zostawiony, gdyby doreszty miał uledz przemocy i kłamstwu, to co powstrzyma ten potop, którym one światu grożą? Gdzie, zkąd, jak znaleść przeciw niemu wały i tamy? W duszy, w sumieniu tego ludu. Utwierdzić jego wiarę, zbawić jego duszę, a swojej ziemi on już wtedy sam będzie bronił, i wał się znajdzie. Wątpiono, nie dowierzano czasem, pytano czy się to uda i przyda. Odpowiedź może dać tylko czas, ale odpowiedzialność zaprzeczenia byłaby za wielka. Dzięki Bogu, żeśmy to zrozumieli, i że tego przeczenia nie było i niema, owszem jest rzeczywiste, skuteczne, daj Boże coraz dzielniejsze poparcie.

Oto co Kalinka robił w epoce trzeciej. Z pierwszej wziął gorącość uczuć; w drugiej nabrał politycznego rozumu i doświadczenia; w trzeciej prowadził walkę o duszę i pracę budowania. I w tej pracy samym środku, samym ogniu, kiedy był najpotrzebniejszy, kiedy skutek, kiedy plon z jego zasiewu zawisł zda się na jego długiem życiu, Bóg go zabrał! zabrał tej pracy około młodzieży ruskiej, zabrał Zgromadzeniu, które tylko co straciło Semenenkę — jak ono te straty przetrzyma? przerwał pracę lekarską i naukę polityki z przerwaną Historyą Czteroletniego Sejmu, teraźniejszości i przyszłości, narodowi i Kościołowi zabrał...

Wola Boża.

Jedno z ostatnich słów X. Kalinki było: „nie proście o to, żebym ja żył, ale żeby się wola Boża spełniła.“ Jak się ma spełnić i przez kogo? Przez nas. Kiedy jednego zabraknie, takiego co stawał za wielu, powstaje strach rozpaczy bliski, kto go zastąpi, kto tak potrafi; z nim runie wszystko czem był i co robił. Kto zastąpi? Nikt jeden z osobna. Kto tyle i tak potrafi? Zapewne, że żaden. Ale żeby wszystko co robił z nim runąć miało, to nie. A od czegóż my jesteśmy? Na co nam jego nauki i przykład, gdyby cokolwiek miało się chwiać i upadać? Żaden jeden nie zastąpi, ale wielu razem może jego dzieło nie jedno — wszystkie (prócz książki, bo tej nikt nie dokończy) — prowadzić dalej i od upadku strzedz. Weźmy go za wzór, żeby, jeżeli co ma upaść, nie upadło z naszej winy, z naszego zaniedbania. Zaś da Bóg, że nie upadnie, „byleśmy chcieli“; bo upada to tylko, co się zaniedbuje; trzyma się, co o siebie mądrze i szlachetnie dbać umié. Zdarza się czasem, że po jednym doskonałym następuje wielu dobrych. On, jak nikt może drugi, „mnożył się przez czyny żyjące“; do nas należy, żeby przyszłość miała „z niego jednego tysiące,“ a w tych tysiącach te siły wiary, mądrości, działania, miłości, których on był zbiorem i wzorem.